



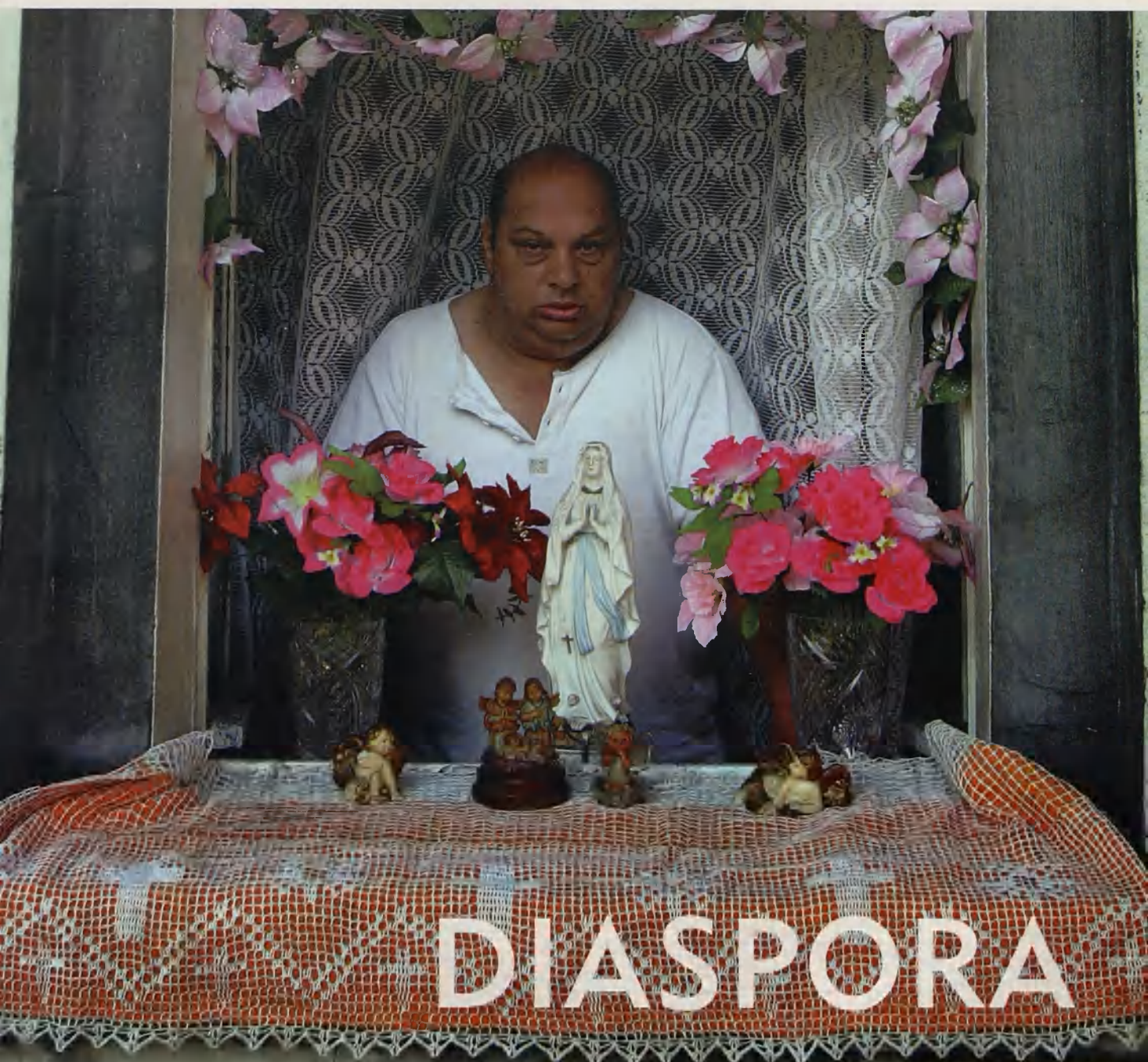
Nr 3 (10) 2015

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu 284017

Fabryka Silesia

KWARTALNIK



DIASPORA

BITTNER / CZERSKI / HELANDER / JODLINSKI
KADŁUBEK / KARWAT / KORNHAUSER / MIKOŁEJKO
SCHIEB / VILLQIST / WANIEK / ZAGAJEWSKI I INNI

zapraszają w dniach

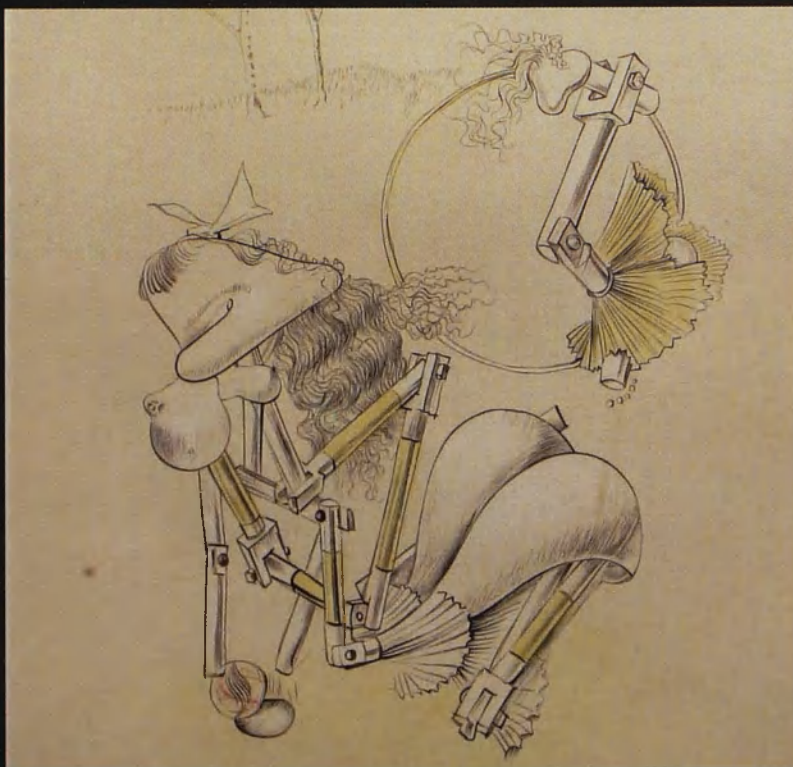
18.09.2015 - 17.01.2016

na wystawę

BELLMER / VISAT

KATOWICE ul. ks. J. SZAFRANKA 9, www.mhk.katowice.pl

Wystawa prac, głównie graficznych, słynnego katowiczana Hansa Bellmera (1902–1975) oraz wielu znakomitych twórców – takich jak: Max Ernst, Dorothea Tanning, Man Ray, Unica Zürn, Hans Richter, Meret Oppenheim, Roberto Matta, Wifredo Lam, Joan Miró, Niki de Saint Phalleó – związanych z paryskim Wydawnictwem Georgesa Visata oraz Galerią Suzanne Visat





Nr 3 (10) 2015

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19

Tel.: (32) 201-77-74

E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl

Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Katarzyna Jeruszka (kjeruszka@fabrykasilesia.pl),

Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl),

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,

Ingmar Villqist

Projekt i opracowanie graficzne:

Andrzej Pasierbski

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska

Korekta: Grażyna Kwiek

Projekt okładki i grafika na ostatniej stronie:

Joanna Nowrot

Zdjęcie na okładce:

Arkadiusz Gala/Dziennik Zachodni

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym

(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego

kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,

RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)

Wydawca:

Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach

(www.rok.katowice.pl)

Dyrektor Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ

STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem

Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der

Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

W materiałach przyjętych do druku, także fotogra-

ficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo

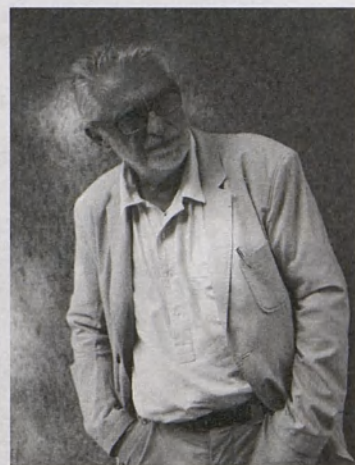
do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów

zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania

internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.

Nakład: 1300 egz.

Czy wszyscy jesteśmy
uchodźcami i wiecznymi
emigrantami, żyjącymi
tylko w złudzeniu,
że chroni nas trwały
i bezpieczny dach
nad głową?



Odpowiedzi szukajcie w esejach Zbigniewa Mikołajki
i Zbigniewa Kadłubka. Przyjrzyjcie się również _ w szkicach
o Janoschu i Horście Bienku, rozmowie z Kazimierzem Kutzem
albo opowieści Joanny Helander _ co to znaczy być wypędzonym
z „krajny lat dziecińczych” albo innego „Niemandslandu”.

W innych wariantach ten sam ciąg problemów egzystencjalnych
_ po prostu: ludzkich _ znajdziecie w wierszach Wolfganga Bittnera,
Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego. Albo w prozie
Maksymiliana Czerskiego, bodaj po raz pierwszy publikowanego
w naszym kraju. Kim był? Polakiem i Ślązakiem? A może Niemcem
i Żydem, skoro w Izraelu tworzył w języku Goethego? A może był tylko
„prawdziwym katowiczanielem”, skazanym _ w polskim mundurze
wojskowym _ na sowiecki obóz, a potem „wieczną tułaczkę”?

Polecam, by przyglądnąć się losom Polaków, Niemców i Ślązaków,
którzy _ czy na pewno dobrowolnie? _ wyjeżdżali od połowy
XIX wieku do Ameryki Północnej i Południowej, do Francji i w głąb
Niemiec. Czy wiemy, kim są ich potomkowie? Przyjrzyjcie się też
tym, którzy na Górnym Śląsku mieszkają „od zawsze”,
czyli od urodzenia _ niekiedy nawet „godajom” zamiast mówić
_ a jednak odmawia się im prawa do bycia Ślązakami.
Oni też są diasporą? Wewnątrz Rzeczypospolitej?!

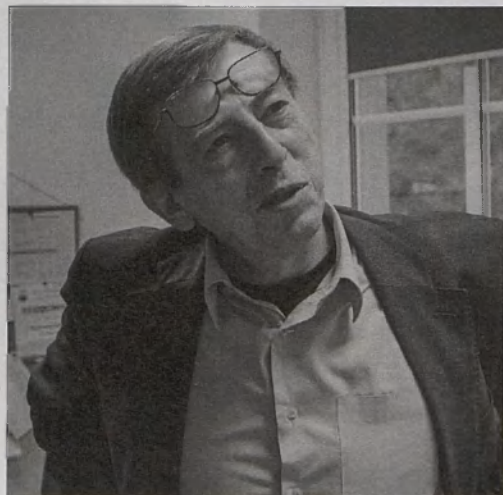
Krzysztof Karwat

redaktor naczelny

4 | KRZYSZTOF KARWAT

Na szczytę bez Janka

Czy teraz, kiedy pomysłodawcy i redaktor naczelny naszego pisma nie ma, powinniśmy coś zmienić, przemodelować formułę ideową?



10 | ZBIGNIEW MIKOŁEJKO

Diaspora, czyli kondycja ludzka

Diaspora to przeznaczenie zgola uniwersalne, pisane wszystkim ludom i czasom.

16 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Domy ukazują twarze

Domy mają twarze. Nawet te opuszczone, które ich mieszkańcy musieli zostawić i pośpiesznie udać się w nieznaną.

21 | HENRYK WANIEK

Tutaj, czyli gdzie indziej

Człowiek oderwany od ziemi, odcięty od swych korzeni, pragnie ponownego złączenia się z początkiem, do którego przynależał przed oddzieleniem się i rozdarciem.



26 | MARIA SZMEJA

Jak nomadzi

W przeszłości Ślązacy relatywnie często podróżowali. Bieda na prowincji cesarstwa niemieckiego skłaniała ich do szukania pracy w centrum kraju.

30 | MARCIN ZASADA

Od Opola do Opola

Pierwsze to górnośląska stolica, drugie – ślad na mapie dzikiej amerykańskiej krainy pozostawiony przez tych, którzy 150 lat temu pierwsze Opole opuścili, by założyć drugie. W Minnesocie.



36 | JÓZEF KRZYK

Z gołymi rękami na dżunglę

To nie będzie opowieść o sukcesie, ale o ciężkiej pracy i ciągłych zmaganiach, często zakończonych porażką.

40 | DAWID SMOLORZ

Nad Sekwaną i Loarą

Kiedy Niemcy i Związek Radziecki dzielą między siebie Polskę, a Francja wypowiada Hitlerowi wojnę, wśród Polaków w Burgundii robi się nerwowo.

46 | ROSWITHA SCHIEB

Śląskie ślady w Berlinie

Wraz z burzliwym rozwojem metropolii, który nastąpił po zjednoczeniu Niemiec, Śląsk stał się najważniejszym zapleczem dla nowej stolicy Rzeszy.

52 |

Śląskość? Rozpływa się...

z Cornelusem Ochmannem rozmawia Bartosz T. Wieliński

56 | GRAŻYNA KUŹNIK

Nasi Cyganie

Kibice wpadli na romski piknik w Siemianowicach ze śpiewem: „Chcemy dnia śląskiego, nie pikniku romskiego”, „Nie pracujecie, nie piknujecie”.



62 |

Stąd nie da się uciec

z Kazimierzem Kuterm rozmawia Krzysztof Karwat

68 | ANDRZEJ GWÓDZ

„Pruski Żyd” z Cieszyna

Był w Polsce stan wojenny i Kurt Weber chyłkiem, jak przestępca, przyjechał na pogrzeb brata, bo ludowa władza zaordynowała mu 48-godzinną wizę.



72 | MAREK KOSMA CIEŚLIŃSKI

Ucieczki i powroty

Kiedy siedemnastoletni Franz Waxman wyjeżdżał do Drezna i Berlina, miał za sobą pierwszych pięć lat życia spędzonych w dzisiejszym Chorzowie.

78 | LESZEK JODLIŃSKI

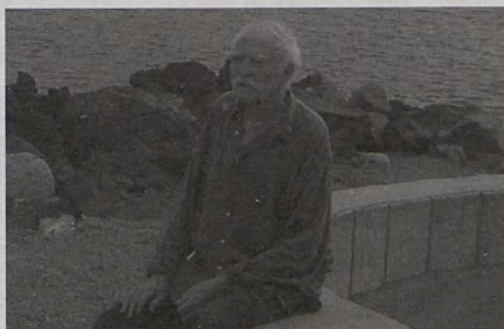
Obcy u siebie

Wierzę, że Horst Bienek doświadczył na emigracji i wyzwolenia, i opresji. Wyzwolenia od niemieckości i śląskości.

82 | ANGELA BAJOREK

Wyrzucony z Niemandslandu

Janosch: Posiadam niemieckie obywatelstwo. Ale nie mam poczucia przynależności do kraju. To głupie, gdy ktoś jest dumny z miejsca swego urodzenia.



87 | JOANNA HELANDER

Ostrygi czy krupnioki

Wyjeżdżałam z Polski uskrzydłona. Miałam 23 lata, opuszczałam na zawsze zaduch PRL-u, nie musiałam dłużej rozwiązywać problemów z hasiakami i wodą w piwnicy w kamienicy mojego ojca.

95 | ALEXANDER CZERSKI

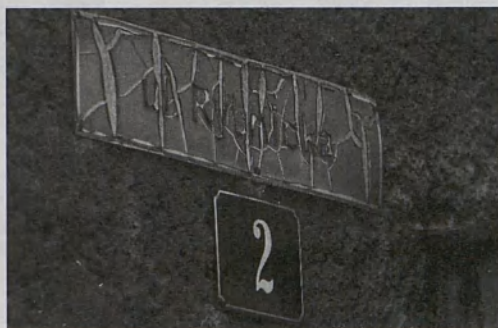
Okrężną drogą

Moja ostatnia noc w Związku Radzieckim dobiegła końca. Przed nami polska granica, śląskie hałdy, pachnące siarką i potem, i chlebem.

100 | DARIUSZ PAWELEC

W poszukiwaniu „świata nieogarnionych rzeczy”

Julian Kornhauser i Adam Zagajewski spędzili w Gliwicach dzieciństwo i okres licealny, obydwaj podjęli studia w Krakowie, z którym to miastem kojarzeni są zdecydowanie bardziej niż ze swoimi śląskimi początkami.



104 | JULIAN KORNHAUSER

Wiersze

107 | ADAM ZAGAJEWSKI

Wiersze

111 | WOLFGANG BITTNER

Wigilijny wieczór, w który kradliśmy cebulę

W 1945 miałem cztery lata. Wojnę i okrucieństwa okupacji mieliśmy już za sobą. Jesienią musieliśmy opuścić Górny Śląsk, jadąc na dachu pociągu i zatrzymując się na krótko u znajomych w Poczdamie.

114 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Pojedynczość diaspory

Odwirowani z domowego, wypchnięci za drzwi ojczyzny, przepłoszeni. Wykorzeni ze swej sadyby ludzie diaspory.

116 | KRZYSZTOF KARWAT

Nasi solenizanci

Pierwszy skończył dziewięćdziesiąty rok życia, drugi _osiemdziesiąty, a ten najmłodszy miałby sześćdziesiąt pięć lat. Florian Śmieja, Piotr Lachmann, Stanisław Bieniasz...

118 | INGMAR VILLOIST

Tylko jedno słowo

Dzisiaj rzadko już o nich myślę, czasem coś samo się przypomniało; potrzeba silnego bodźca, żeby ich wspominać; żyją gdzieś tam, starzeją się jak ja, ale są bardzo daleko.

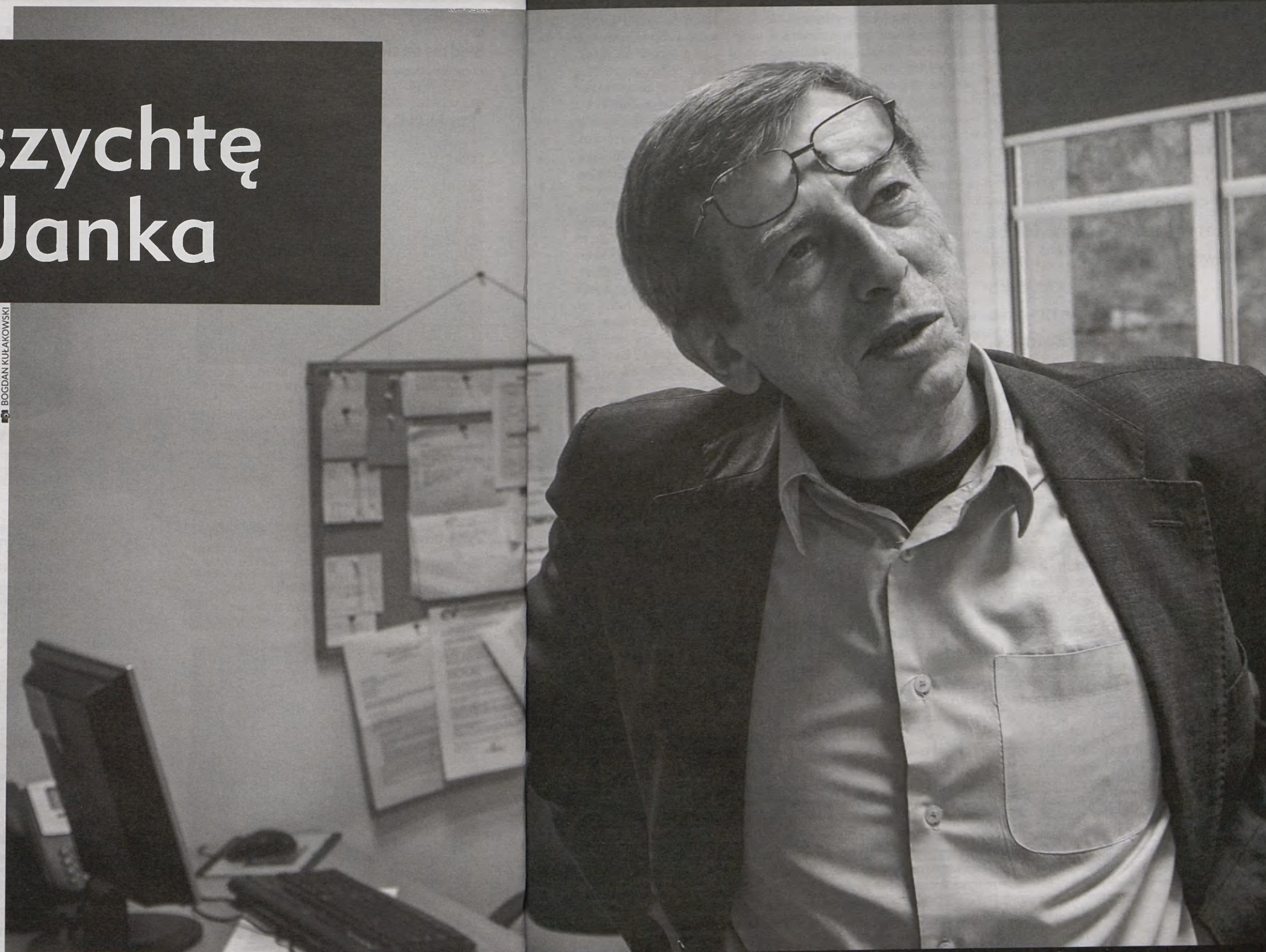
120 | KSIĄŻKI

Nadesłane i wypatrzone

Krzysztof Karwat

Na szczytę bez Janka

BOGDAN KUŁAKOWSKI



Na jego redakcyjnym biurku
znalazłem zapalniczkę.
Przez parę tygodni
towarzyszyła mi
w redagowaniu tego wydania
„Fabryki”. Choć palę dużo,
to przecież nie tyle, co on,
no, chyba że biesiadowałem
z nim w którejś z katowickich
kawiarni, a wtedy i ja umiar
traciłem. Zapalniczka
spoczywa teraz na dnie
szuflady. Zepsuła się.
Nie zdążyła wylać ostatniej
kropli gazu. Czy dopiero
wtedy poczułem, że zostałem
osamotniony?

6

No, nie jestem zupełnie sam. Wydawca Adam Pastuch i koledzy z Rady Programowej natychmiast mnie wsparli, dając nie pierwszy dowód – zresztą nigdy w to nie wątpiłem – że ten kwartalnik to także ich kawałek życia, który nam wielkodusznie podarował właśnie Janek. Ten straszny uparciuch, jak przy jakiejś lepszej okazji niż nagle śmierć nazwał go Kazimierz Kutz. Tak, Jan F. Lewandowski był uparty – jeśli przyjąć, że jest to słowo wyjęte z frazeologizmu: uparcie dażyć do celu. Uparcie, czyli konsekwentnie. Uparcie, czyli do skutku.

Ach, ileż to razy gadałem z nim o programie tego pisma. Niejedna zapalniczka tego nie wytrzymała. A jednak samodzielnie, choć słuchać potrafił i liczył się z naszymi opiniami, zakreślał obszary, po których z nim – przez dziewięć kwartałów – chodziliśmy. Miał tę rzadką umiejętność wydobywania ze współpracowników tego, co w nich najlepsze i z punktu widzenia interesów kwartalnika – najcenniejsze. Cele te osiągał benedyktyńską pracą, właściwie codzienną, bo pisanie i redagowanie podpierał rozległą lekturą. I długimi rozmowami z autorami. Stąd w naszym piśmie taka ich różnorodność. Owszem, wielu z nich było od razu „gotowych”, ale przecież nie zabrakło wśród nich i takich, którzy pozostawali ukryci w tych swoich uczelniach, niszowych instytutach, stowarzyszeniach społecznych, redakcjach czy zamkniętych rewirach swych domów, skąd tak trudno się wyrwać, bo wokół szaleje skomercjalizowany *news*, wylewający się z mediów tak wielką falą, że nietrudno zwątpić w sens publicznej dyskusji, programowo pozabawionej ideologicznej agresji i tabloidalnego tonu.

Do dziś nie wiem, jak JFL tę determinację w sobie podsycał i z jakich źródeł czerpał, skoro nie tracił wiary, że rozmowa o Górnym Śląsku – tym dawnym, tym współczesnym, ale i tym dopiero się wyłaniającym obok nas i z nas – ma głęboki sens, bo czyni nas wszystkich obywatelami, a nie tylko biernymi uczestnikami życia publicznego.

Tak zakreśloną potrzebę i ambicję podzielili z nami czytelnicy. I to okazało się największym sukcesem Janka. Tym łatwiej przyszło nam się do niego dołączyć i trwać przy nim także wtedy, gdy wydawało się, że może jednak trzeba będzie się poddać. Teraz – mimo wszystko – warto spróbować ciągnąć dalej ten wózek z „Fabrycznym” urobkiem. Nie powinniśmy przystawać, bo unieważnilibyśmy to, co już zostało zrobione.

Interesuje nas fenomen kulturowy

Kierunek został wytyczony. A nie jesteśmy na pustyni. Coś przecież za nami stoi. Proszę wziąć do ręki zredagowane przez Jana F. Lewandowskiego numery. Nie mam wątpliwości: zawierają nie tylko walory zasobnego archiwum. Jestem pewny, że z zamieszczonych w „Fabryce” esejów, tekstów publicystycznych i utworów literackich można nadal czerpać pogłębioną wiedzę i przede wszystkim inspirację do samodzielnego myślenia o Górnym Śląsku, jego szczególnym miejscu w Rzeczypospolitej i Europie.

Czy teraz, kiedy pomysłodawcy i redaktora naczelnego naszego pisma nie ma, powinniśmy coś zmienić, inaczej rozłożyć akcenty, przemodelować formułę ideową? Przeczytajmy kilka zdań z manifestu programowego, który Lewandowski ogłosił ponad trzy lata temu, przed wydaniem pierwszego numeru: „Nazwa »Fabryka Silesia« zapowiada sprawy górnośląskie, z nawiązaniem do tradycji, a metaforycznie stwarza sugestię regionu twórczego, co kieruje ku przyszłości. Zależy nam na tym, co indywidualne, lecz szczególnie interesuje

nas wspólnota, jej źródła – wielokulturowe dziedzictwo, historyczne iskrzenia, industrialne korzenie i górnośląskie pejzaże. Nasze czasopismo poświęcone jest szeroko pojmowanej kulturze Górnego Śląska. Interesują nas dokonujące się w niej zmiany, które odczuwamy, lecz często nie potrafimy ich rozpoznać i zrozumieć. Stąd ambicją wydawania pisma poddającego analizie i refleksji to, co w dyskursie publicystycznym nazywane jest fenomenem kulturowym Górnego Śląska, także z myślą o czytelnikach w całym kraju. Nasza formuła łączy eselistykę z pogłębianą publicystyką, a poszczególne numery mają charakter monograficzny”.

Gdybym stanął pod przymusem – teraz, po śmieci JFL – napisać nowego przesłania, nie zmieniłbym w nim ani jednego słowa. I to jest jakiś rodzaj deklaracji, choć zdaję sobie sprawę, że bez kreatora tego kwartalnika i głównego moderatora dyskusji o Górnym Śląsku, uwzględniającej nowoczesne pojmowanie regionalizmów w naszym zglobalizowanym świecie, pismo jednak będzie musiało być trochę inne. A mam na uwadze nie tylko zmiany szaty graficznej, które – żywie nadzieję – czytelnicy przyjmą ze zrozumieniem, bo chodziło nam o to, by poprzez uwspółcześnienie tzw. layoutu zbliżyć się także do młodszych generacji odbiorców (i autorów).

Niezmiennie przesłanie

Jasia Lewandowskiego poznałem pod koniec lat 80. i odtąd utrzymywaliśmy stały i częsty kontakt, który szybko przerodził się w coś więcej niż koleżeńska czy zawodowa zażyłość. Nie używał – ani w mowie, ani w piśmie – wielkich słów, bo ich chyba nie lubił, więc tutaj tyle o tych naszych wieloletnich związkach. Dodać tylko trzeba, że nieraz uczestniczyliśmy w tych samych projektach wydawniczych, medialnych debatach, sesjach i konferencjach, publicznych spotkaniach, a jeszcze częściej – w pozornie niezobowiązujących do niczego rozmowach, nieustannie naprowadzanych przez Janka na ten sam temat: Górny Śląsk! Kiedy więc pojawiła się „Fabryka Silesia”, stała się – w moich oczach – naturalną emanacją tego, co w jego życiu stanowiło trwałą, niezmienną wartość. Tak jak to zapisał w cytowanym już przesłaniu: „Interesuje nas wspólnota, jej źródła – wielokulturowe dziedzictwo, historyczne iskrzenia...”.

Dr Jan F. Lewandowski był wybitnym filmoznawcą, rzetelnym publicystą i historykiem, obdarzonym łaską odważnego, przejrzystego myślenia, mówienia i pisanie. Wolnym od grzechu przeintelektualizowanej ekwilibrystyki słownej i erystycznych popisów. Stąd taka czystość i jasność jego publicystycznych czy krytycznych wywodów – obojętnie, czy ujętych w formie artykułu prasowego, większego szkicu zamkniętego w okładki broszury albo jakiejś pracy zbiorowej, czy też autorskiej książki.

Pozostawił dorobek poważny, obszerny, wielowątkowy, a jednocześnie zaskakująco jednorodny. Bo był wierny wyłącznie „swoim tematom”, właściwie nigdy poza nie nie wychodził. Nie tylko, gdy chwycił za pióro albo siadał do klawiatury komputera. Także w owych środowiskowych rozmowach, redakcyjnych dyskusjach czy prywatnych pogaduchach. Z Jasiem bowiem było tak, jak z owym sierżantem z niewybrednego żołnierskiego dowcipu. Jasiowi też „wszystko się kojarzyło”. Wyłącznie z Górnym Śląskiem. Na dowód wynotujmy choćby tylko kilka tytułów jego najważniejszych książek: *Kino na pograniczu: wędrówki po dziejach filmu na Górnym Śląsku*, *Historia Śląska według Kutza*, *Przesyłka ze Szkocji*. *Generał Józef Zajac i jego kolekcja*, *Wojciech Korfanty*, *Epizody toszeckie*, *Czas autonomii*.

Do tego trzeba dodać niezliczone artykuły, rozproszone po dziesiątkach tytułów prasowych, a także liczne opracowania redaktorskie i redakcyjne. Pracował w wielu gazetach, tygodnikach i miesięcznikach, był naczelnym jednego z pierwszych prywatnych tzw. pism branżowych, filmowej „Premiery”, także – choć krótko – „Kina”. Wydawał książki filmowe i filmoznawcze. Organizował konferencje i sesje naukowe. Przecież to właśnie Jan F. Lewandowski reanimował w latach 70. legendarny Dyskusyjny Klub Filmowy „Kino-Oko”, a potem stworzył prężne Śląskie Towarzystwo Filmowe, zaś w Instytucji Filmowej „Silesia-Film” położył podwaliny pod Filmotekę Śląską i Centrum Sztuki Filmowej. Bez niego to, co czasem nazywa się kulturą filmową Górnego Śląska, pozostałoby cherlawe, nieopisane, nienazwane.

Do Przedmieścia Eichendorffa

Pozostawił nam notatki z projektami kolejnych numerów „Fabryki”. Na pewno ich nie wyrzucimy do kosza. Czy jeszcze coś?

Śmierć – zwłaszcza nagle, a w naszym mniemaniu nic jej nie zapowiadało – zawsze pogrąża w tajemnicę sprawy, których już nie odkryjemy. Dopiero po pogrzebie dotarły do mnie informacje, jakich nigdy nie spodziewałem się usłyszeć. Choćby taka, że Janek planował powrót „na stare śmieci”. Do prowincjonalnego, ale jakże pięknym historii nacechowanego Toszka, a właściwie – do jego wiejskiego osiedla Oracze, które – pisał niedawno – „naziści w ramach zwalczania słowiańskiego nazewnictwa” zamienili na Vorstadt Eichendorff (Przedmieście Eichendorffa), choć „nowa nazwa nie przyjęła się”.

Miałby Janek opuścić swe ukochane Katowice? On, który tak niechętnie z nich wyjeżdżał i nigdy nie wpadał w nostalgiczne nastroje?

Coś się jednak musiało w nim niepostrzeżenie zmieniać, skoro – już po jego śmierci – dotarły do mnie dotąd niepublikowane *Wspominki pyskowskie*, które tutaj muszę we fragmencie przytoczyć: „Najpierw trudno było się do Liceum w Pyskowicach dostać. Były wtedy egzaminy wstępne! A ja dostałem się do czterdziestoosobowej klasy na ostatniej albo przedostatniej pozycji. Zapamiętałem to uczucie, gdy jednak znalazłem siebie na tej liście. Poczułem się szczęśliwy (...).

Pamiętam jakieś echa Marca 1968 roku. Pamiętam, jak zapisywało na siłę do ZMS (Związku Młodzieży Socjalistycznej), a my, chłopcy z Toszka, broniliśmy się. Nie pamiętam, czy w końcu nas zapisano czy nie... Ale szczególnego nacisku politycznego, wtedy wszechobecnego, nie przypominam sobie. Przez jakiś czas uczestniczyłem w olimpiadach wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Raz trafiłem na eliminacje powiatowe w Gliwicach. A w kolejnej szkolnej edycji, zniechęcony propagandowymi pytaniami, celowo błędnie wypełniałem odpowiedzi, żeby nie uczestniczyć w dalszych rozgrywkach. Na pytanie jednego z nauczycieli, co to się stało, wyrzuciłem z siebie: A co mnie to obchodzi, kiedy Gomułka ma imieniny... (...)

Żyłem w nieco osobnym świecie, chociaż starałem się dostosować do pyskowskiej realności, wyciągnięty z toszeckiego dzieciństwa. Niemniej trochę z boku, pogrążony w krainie książek. Bo czytałem namiętnie, pochłaniałem książki, szczególnie historyczne. Doszedłem wtedy do książek Pawła Jasienicy, przejmowałem się jego dramatem, poznawanym ze słuchanej w domu „Wolnej Europy”.

Nie wrócił do Toszka. Ani na jego „przedmieście”. Został z nami w Katowicach. ■

Krzysztof Karwat

– publicysta, krytyk,
poeta, redaktor naczelny
kwartalnika „Fabryka Silesia”



Zbigniew Mikołajko

Diaspora, czyli kondycja ludzka

W starych mitach, w opowieściach religijnych i legendach jakże często pojawia się obraz boga jako siewcy. Jako siewcy ludzkości, narodu, plemienia, a niekiedy – po prostu – człowieka-osoby.

11

Dzieje się tak głównie wtedy, gdy przychodzi mówić o sytuacjach granicznych: narodzinach i śmierci, rozrachunku z życiem i sądzie. Co oznacza oczywiście, że w konsekwencji – jak w przypowieściach Jezusa – siewca zmienia się u kresu w żniwiarza, „gospodarza” i pana zbiorów: „Tym, który siewce dobre nasienie, jest Syn Człowieczy. Rolą jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Nieprzyjacielem, który posiał chwast, jest diabeł; żniwem jest koniec świata, a żęćcami są aniołowie. Jak więc zbiera się chwast i spala ogniem, tak będzie przy końcu świata” (Mt 13, 37-40).

Bywa przy tym, że podobna wizja, zwłaszcza w łonie religii zbawienia, jest zerwaniem ze starszymi jeszcze obrazami – kształtowania człowieka z najpodlejszych materii świata, z gliny, prochu czy błota. Szczególny pod tym względem jest Pawłowy „hymn o zmartwychwstaniu”, gdzie objawia się zarówno śmierć dawnego i materialnego Adama, jak i narodziny Adama nowego, przemienionego już w byt duchowy, wyrwany ku wiekuistemu życiu z ziemskiej zgnilizny: „Lecz powie ktoś: A jak zmartwychwstają umarli? W jakim ukazują się ciała? O, niemądry! Przecież to, co siejesz, nie ożyje, jeżeli wprzód nie obumrze. To, co zasiewasz, nie jest od razu ciałem, którym ma się stać potem, lecz zwykłym ziarnem, na przykład pszenicznym lub jakimś innym. Bóg zaś takie daje mu ciało, jakie zechciał; każdemu z nasion właściwe”.

“

Cóż znaczy, jeśli sięgnąć do jego pierwocin, słowo „diaspora”? Z miejsca niesie ono w sobie rzeczy dramatyczne i tajemnicze.

I z miejsca jest też najeżone napięciami wewnętrznymi.

Grecki termin *diasporá* oznacza tyle, co „rozproszenie, uwolnienie, rozmieszczenie, rozsianie”.

Podobnie rzecz się ma ze zmartwychwstaniem. Zasiewa się zniszczalne – powstaje zaś niezniszczalne; sieje się niechwalebne – powstaje chwalebne; sieje się słabe – powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe. Jeżeli jest ciało ziemskie, powstanie też ciało niebieskie. Tak też jest napisane: „Stał się pierwszy człowiek, Adam, duszą żyjącą, a ostatni Adam duchem ożywiającym. Nie było jednak wpiertw tego, co duchowe, ale to, co ziemskie; duchowe było potem. Pierwszy człowiek z ziemi – ziemski, drugi Człowiek – z nieba. Jaki ów ziemski, tacy i ziemscy; jaki Ten niebieski, tacy i niebiescy. A jak nosiliśmy obraz ziemskiego [człowieka], tak też nosić będziemy obraz [człowieka] niebieskiego” (1 Kor 15, 35-38, 42-49).

Hymn świętego Pawła – „ku pokrzepieniu serc” – jest jeszcze, w obliczu rychłego przezeń spodziewanej paruzji Chrystusa, do głębi przesycony nadzieją, której nic nie potrafi zdławić. Z czasem jednak, gdy ponowne przyjście Zbawiciela oddali się w bezkres, pewność ta ulegnie zachwianiu i kultura chrześcijańskiego Zachodu coraz mocniej zacznie doznawać grozy śmierci, z przypisanym jej stygmatem powszechnego rozkładu. I w ikonografii czy literaturze „gospodarza” i pana żniw, poczynając od średniowiecza, coraz częściej i coraz dosadniej zastąpi inny kosiarz. Ten właśnie, który ohydnie i bezwzględnie zapanuje nad światem ciała i doczesnej materii, odsyłając, przynajmniej pozornie, poza horyzont doświadczenia wszelkie powaby Ziemi Obiecanej. A boski posiew zmieni się bez pardonu w *dissipatio humani generis*, „rozsypanie rodzaju ludzkiego”, jak to widać chociażby w scenach przeraźliwej pacyfikacji Niderlandów z *Triumfu śmierci* Pietera Breughla Starszego (ok. 1562, Muzeum Prado).

Taką oto „rolą jest świat” (Mt 13, 38), w którym skruszała nadzieja. Świat, który zresztą już autorowi Dziejów Apostolskich, mimo jego wiary, zdawał się od samego początku mocno niepewny, wyzuty z wielu aspektów Obietnicy i oddany we władanie wygnańcom. Tylko wygnańcom. „Bóg chwały ukazał się ojcu naszemu, Abrahamowi, gdy żył w Mezopotamii, zanim zamieszkał w Charanie. I powiedział do niego: „Opuść ziemię swoją i rodzinę swoją, a idź do ziemi, którą ci wskażę”. Nie dał mu jednak w posiadanie ani piędzi tej ziemi. Obiecał tylko, że da ją w posiadanie jemu, a po nim jego potomstwu, chociaż nie miał jeszcze wtedy syna. Powiedział Bóg tak: „Potomkowie twoi będą wygnańcami na obczyźnie...” (Dz 7, 2-3, 5-6).

13

Ziemia zawsze cudza i zawsze własna

Cóż to ma jednak wspólnego z pojęciem diaspor? I dlaczego przywołuję te religijne wątki? Ano, przywołuję je dlatego, aby – nie lękając się wcale paradoksu – z miejsca je niejako zawiesić, aby z miejsca wziąć je niejako „w nawias”. Ukazą one bowiem wówczas – sięgając jakby ku pierwotnej nagości, wolnej od wszelkiego uwikłania historycznego czy kulturowego – trudny, a być może nawet drastyczny, sens *conditio humana*, kondycji ludzkiej. Nasze, jakby powiedzieli filozofowie egzystencji, „(w)rzucenie w świat”, absolutnie niezależne od naszego zachcenia, od naszego pragnienia czy decyzji – i zarazem nasze zeń usunięcie, także absolutnie pewne, także absolutnie niezależne od naszej woli i mocy. To po pierwsze.

Po drugie zaś, samo słowo „diaspora” ma w zanadru pewne znaczenia, które w wielkiej mierze zbiegają się z najgłębszymi i „pierwotnie nagimi” znaczeniami przywołanych tu wypowiedzi religijnych. Cóż zatem znaczy, jeśli sięgnąć do jego pierwowocon, słowo „diaspora”? Z miejsca niesie więc ono w sobie rzeczy dramatyczne i tajemnicze. I z miejsca jest też najeżone napięciami wewnętrznymi. Grecki termin *diasporā* oznacza zatem tyle, co „rozproszenie, uwolnienie, rozmieszczenie, rozsianie” i wywodzi się bezpośrednio od słowa *spora* („zasiew, posiew”), to zaś od czasownika *speirō* („prószyć, siać”), poprzedzonego przedrostkiem *dia* („roz-”, albo, jak kto woli, „od – do”, „od krańca do krańca”). Pierwotne znaczenie słowa prowadzi nas więc w to samo miejsce, w które nieomylna dłoń Boga przywiodła autorów Pisma: ku studni losu – losu jednostki, losu gromady. Różnica jest tu taka, że – jakkolwiek i Pismo, i inne opowieści religijne, mityczne, baśniowe znają obraz siania czy sadzenia pojedynczego człowieka – akcent słowa „diaspora” pada nade wszystko na los zbiorowości człowieczej, zawsze jakoś rozsianej, zawsze żyjącej w rozproszeniu większym lub mniejszym (przynajmniej potencjalnie, przynajmniej

w gotowości do drogi, do rozsiania się w świecie, jeśli nawet obecnie, w tej oto chwili, żyje się jeszcze w skupisku, w jakimś wspólnotowym związaniu z miejscem).

Tak zresztą mówią najdawniejsze użytki słowa. W antycznej Grecji odnosi się ono zatem zarówno do zwycięzców i panów (obywateli miasta-państwa kolonizujących podbity teren), jak i zwyciężonych (przykładem mogą być Meseńczycy wygnani przez Spartę na lat sto ze swego terytorium). I ku podobnym znaczeniom sięga też oczywiście Septuaginta, dzieło żydowskiej diaspory z Aleksandrii, Biblia w greckim przekładzie, która przywołuje pojęcie głównie w potencjalnym znaczeniu. Jako kary Bożej wymierzonej „ludowi o twardych karkach”, który zostanie rozproszony „po wszystkich królestwach ziemi” (Pwt 28, 25). I jako obietnicy, jak zapowiada Psalmista: „Pan buduje Jeruzalem, gromadzi rozproszonych z Izraela” (Ps 146 (147), 2).

Za sprawą dziejowych nieszczęść, jakie spadły na lud wybrany, stał się on swoistym modelem wszelkiej diaspory, zawsze przecież próbującej sobie poradzić z dramatycznym rozdarciem: między rozpaczą a nadzieją, między prześladowaniem a obietnicą, między zakorzenieniem na nowym miejscu a zachowaniem tożsamości, między goryczą nostalgii a pragmatycznym podejściem do życia, między obczyzną a ojczyzną.

Diaspora więc to przeznaczenie zgoła uniwersalne, pisane wszystkim ludom i czasom. Nie ma bowiem, w istocie, takiej cywilizacji, takiej postaci wiary, kultury, narodu czy plemienności, która nie zrodziłaby się właśnie z dobrowolnej lub przymusowej wędrówki, z emigracji, uchodźstwa, wygnania, rozproszenia pośród inności. Z diaspory. Z niespokojnej obecności na ziemi zawsze cudzej – i zawsze własnej.

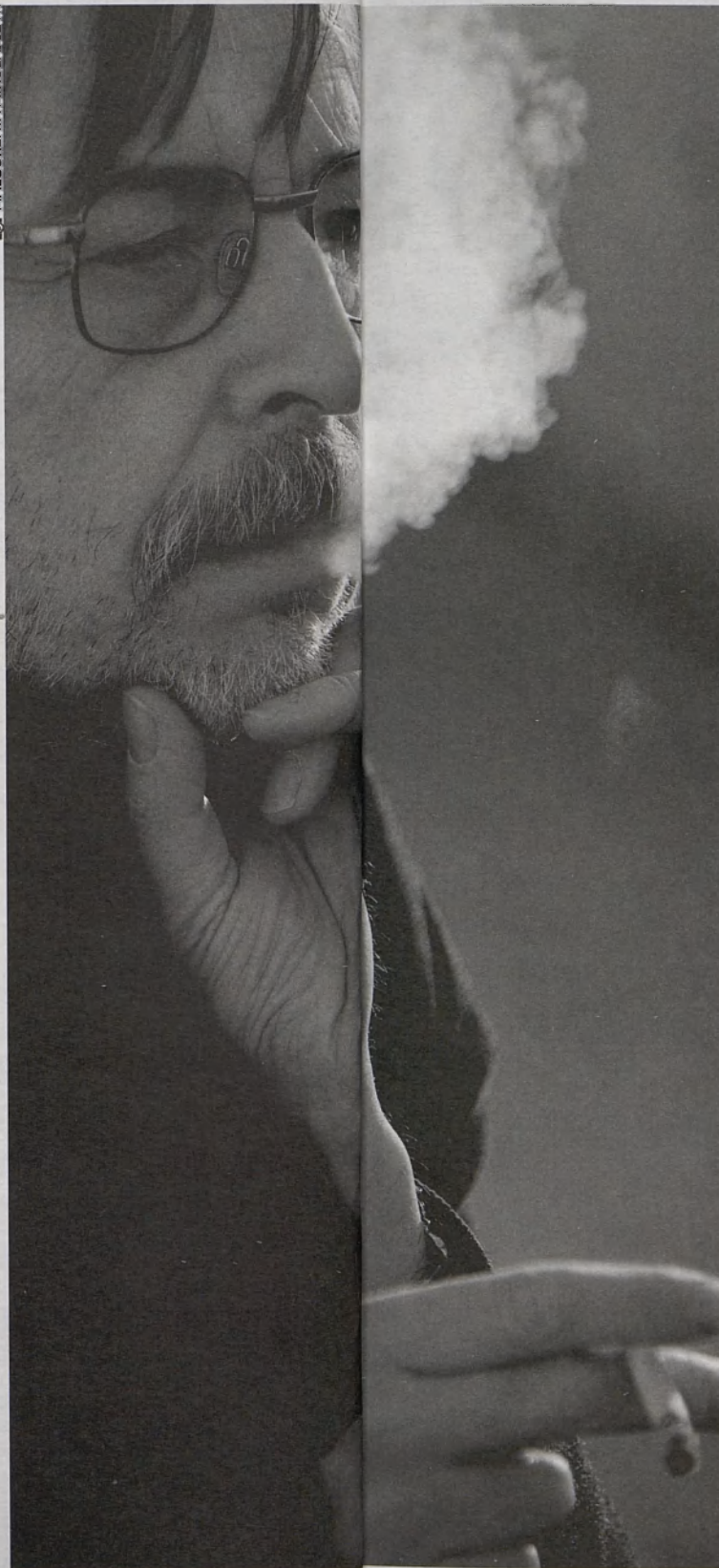
Bez zgody „na spokojne łoże”

W końcu od tego właśnie, jeśli przyjąć świadectwo Księgi Rodzaju albo wielu prastarych mitów, choćby greckich czy rzymskich, rozpoczyna się nasz ziemski los – nasze rodzenie w bólach, pracowanie w pocie czoła i zmaganie z siłami zła: z wężem, jakiego nosimy w sercu i jaki czyha także na naszą piętę. W końcu wielcy twórcy religii czy systemów moralnych – choćby Mojżesz i Jezus, Zaratustra i Mahomet, Budda i Dżinna – skazani byli na taki wędrowny, wygnańczy żywot. W końcu dzieje literatury, filozofii, sztuki, polityki – od Owidiusza po Dantego i Goyę, od romantycznych „wieszczów” po Miłosza i Herberta, od Platona i Arystotelesa po Machiavellego i Freuda, od Saula po Napoleona i Kościuszkę – roją się od wygnańców. Tak jakby piętno tułactwa, wyrzucenia, wędrowania w surowym, gorzkim pyłe obcych dróg musiało być ich koniecznym znakiem wielkości, koroną chwały. Nie darmo pisał przecież Norwid:

*Każdego z takich, jak ty, świat nie może
Od razu przyjąć na spokojne łoże,
I nie przyjmował nigdy, jak wiek wiekiem,
Bo glina w glinę wtapia się bez przerwy,
Gdy sprzeczne ciała zbija się aż cwiekiem
Później... lub pierwój...*

Norwid mówi tutaj o ich dojmującej nieprzystawalności do świata, każdego świata – tego, który z tych lub innych powodów zostawili za sobą, ale i tego również, który mają przed sobą. Mówi, że są oni ucieleśnieniem jakiejś zasadniczej niezgody na konwencjonalny, obłaskawiony bieg rzeczy. Na bycie ową ludzką „glina”, która bez oporu, przykładnie „w glinę wtapia się bez przerwy”. Nie z własnej winy: to

MAŁGORZATA MIKOŁAJCZYK



„świat” bowiem, „jak wiek wiekiem”, odmawia im zgody „na spokojne łoże” – nawet wówczas, gdy obłudnie, po faryzejsku, próbując zmasać swe grzechy wobec wielkości, chce ich czcić pośmiertnymi pomnikami. Ale, niczym za życia, wymykają się oni zawłaszczeniu, przypisaniu do tej lub tamtej piędy ziemi, a ich martwe ciała mnożą się w aktach kultu, stają się „sprzecznymi ciałami”, zwielokrotnionymi, zamieszkującymi nieraz dwa lub trzy różne grobowce albo miejsce nieznane, jakiś żebraczy dół śmierci. I tym samym kategoria uchodźcy, emigranta, banity jest kategorią wiecznotrwałą, metafizyczną, przekraczającą czysto ziemskie koleje losu i doraźne formy istnienia, sięgającą jakby samej istoty bytu, wzywającą do pytań o przeznaczenie i sens istnienia.

Anonimowe twarze uchodźców

Nie odnosi się to jedynie do wygnańców wielkich i obdarzonych sławą, do emigrantów, którzy stali się symbolami czy też „ikonami” narodowej albo uniwersalnej kultury. Takie metafizyczne, przekraczające historyczny czy materialny wymiar bytu, znaczenie da się również odnieść do anonimowego, „pozbawionego twarzy” tłumy, jaki zmierza ku nieznanemu horyzontowi – pod obwisłą, starganą szmatą nieba, pośród struchlałych brzoź – na obrazie Ferdynanda Ruszczyca *Wychodźcy* (1902), znajdującego się dziś w Litewskim Muzeum Sztuki w Wilnie.

Mówię o tym obrazie dlatego, że zapowiada on przyszłą, straszną epokę uchodźców i emigrantów. Historię wygnania coraz to nowych ludzi. Historię, która nie tylko ciągle trwa w najlepsze, ale też tworzy zupełnie nowe kształty naszego bytu zbiorowego i indywidualnego. „Nie tylko problem ten wydaje się tak samo palący – pisze Giorgio Agamben – zarówno w Europie, jak i w innych miejscach, lecz także możliwe jest, że w sytuacji nieuniknionego rozpadu koncepcji państwa narodowego i ogólnej korozji tradycyjnych kategorii prawnopolitycznych, uchodźca być może jest dziś jedyną możliwą figurą ludu”.

Szary tłum z Ruszczyca to zatem ten sam tłum, który wkrótce tułać się będzie w exodusach obu wojen światowych, rewolucji i czystek etnicznych, klęsk głodowych i ekologicznych, lokalnych rzezi. Jego anonimowość – wszystkie te twarze, jakie widzimy na fotografiach i ekranach – rozmazują się i giną w naszej pamięci, stają się bez znaczenia. I wszystko doprawdy jedno, czy to są twarze włoskich, polskich albo irlandzkich emigrantów płynących „za chlebem” do Ameryki, Żydów pędzonych do getta albo obozu, Niemców z Mazur i Pomorza pchających wózki z dobytkiem, kobiet z Darfuru wydanych na pastwę głodu i żołdackiego gwałtu, Hutsi i Tutu oczekujących na nóż rzeźnika, uchodźców z Syrii. I nawet wtedy, gdy autorzy tych widoków próbują ocalić coś osobistego, niepowtarzalnego – oddać wyjątkowość twarzy i gestów, zatrzymać w pamięci tę oto kobietę z rowerem, tego oto żydowskiego starca, to oto afrykańskie dziecko konające z głodu, obok którego przysiadł już sęp – ich wysiłek idzie na marne. Wszystko bowiem pochłania bezlitośnie machina historii, w kolejnych spazmach wyrzucającej na nieczuły swój brzeg nowe fale wypędzonych, emigrantów, uchodźców. Ludzi, których jedynym prawem staje się – pozbawione jakichkolwiek gwarancji – „prawo do życia”. Czyli, w istocie, do balansowania na granicy prawa i bezprawia, cywilizacji i dzikości, egzystencji i śmierci, społeczeństwa i czysto biologicznego trwania. ■

Zbigniew Mikołajko

– filozof i historyk religii, eseista, wykładowca akademicki, profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk

*Nie mamy ojczyzny,
Jednak żyjemy.
Błądzimy w ucieczce
Z miasta do miasta,
Z jednych granic
w drugie.*

Eurypides

*Czasami domu nie mamy
nigdzie. Czasami znamy
tylko skrajne wyobcowanie.*

bell hooks
(właśc. Gloria Jean Watkins)

Zbigniew Kadłubek

Domy ukazują twarze

Domy mają twarze. Nawet te opuszczone,
które ich mieszkańcy musieli zostawić
i pospieszenie udać się w nieznane.
Domy potrafią śpiewać. Ale umieją także
narzekać i płakać. Owdowiałe domy
często lamentują.

1.

Dom jest najważniejszy. Domy, i w ogóle cała przestrzeń dookoła człowieka jest inkarnacją człowieka – i odwrotnie człowiek inkarnuje dom, lasy, pola, miasta, łąki, mosty. Dom i to, co jest w środku, to domena serdeczności. Jednocześnie jednak istnieje w domu coś, jakaś energia, jakaś siła, jakaś moc, która rozgania i rozrzuca to, co zanadto domowe, ciepłe, bliskie, znane, ukochane. Ostatecznie nawet dom i rodzinne pielesze tchną czymś lekko obcym i często to przeczując, dziwimy się i próbujemy za wszelką cenę tę nutkę obcości zagłuszyć. Dlaczego w domu i tak intymnej domowości tkwi jakby coś niejasno obcego?

Pobawmy się etymologią. Otóż wydaje się, że w samym słowie „dom” możemy doszukać się przejściowości, niestałości, umiarkowanego tylko zakorzeniania się. Przynajmniej dzieje się tak w greckiej postaci domu, w słowie „ho oikos”. Pochodzi to słowo od indoeuropejskiego rdzenia VIK, który zawiera w swym polu semantycznym osiedlanie się, wchodzenie dokądś, przybywanie, przychodzenie do domu, jak również wchodzenie w jakiś stan. Ale tenże rzeczownik grecki „ho oikos” ma ten sam rdzeń co grecki czasownik „hiko”, który znaczy „przychodzę”, „przybywam”.

Jaką lekcję otrzymujemy dzięki tym etymologicznym poszukiwaniom domowości? Dom to miejsce wiecznego nadchodzenia. Dom to stan nadejścia. Pole znaczeniowe greckiego *oikosu*, a naszego domu sugeruje *przechodniość* i *przychodniość*; ustawiczny przeto proces dochodzenia do sytuacji zamieszkania, zadowolenia się, ustalenia lokum bytu. Dom nie jest gotowy. Dom jest efektem dotarcia dokądś, przyjścia. Nie wolno wszelako absolutyzować owego stanu, chociaż budynek i domostwa mają trwałe fundamenty. Nie ma domu o bezwzględnej rdzenności. Nie istnieje żaden taki dom, który nosiłby cechę elementarnego pierwszeństwa zamieszkania. Dom czeka na przybyszów. Czyli dom – w tym znaczeniu, jakie tutaj próbuję wydobyc – należy do drogi, do zdążania, przybliżania się; dom jest tylko częścią podróży, pielgrzymki, tułaczki.

2.

Taka idea przechodniości domu pojawiła się na przykład w *Utopii* Tomasza Morusa. Angielski humanista, by wpłynąć na zmianę relacji między ludźmi, postulował ustami portugalskiego obieżyświata Rafała Hytlodeusza, żeby każda rodzina „posiadała” dom tylko na dziesięć lat, a następnie obowiązkowo przeprowadzała się do innego. Rodzina mieszka w domu przez dziesięć lat, a potem go opuszcza i losuje inny. Morus uczy jednego: by nie totalizować miejsca zamieszkania. Żeby nie przebóstwić lokalu. Uczy, że rezydujemy na jakiś czas w tym lub tamtym lokum. Że nawet wtedy, gdy posiadamy pałac, powinniśmy żyć tak, do niczego się nie przywiązując, jak byśmy byli tylko tymczasowo w tym pałacu zakwaterowani.

Jest to myśl – nietrudno zauważyć – bliska chrześcijaństwu, które upatruje w każdym człowieku wędrowca, który idzie przez świat w kierunku nieba, który na tym świecie jest *hospes et advena*, gościem i przybyszem. Żyjemy na świecie, jak byśmy byli na krótkiej i mocno przereklamowanej wycieczce objazdowej. Życie to krótki rajd po wertepach. Samo życie na tym świecie – tak widzi to chrześcijaństwo – jest diasporą, stanem rozsiania pośród napierającej ze wszech stron obcości.

3.

Dom jako taki trzeba zawsze myśleć z drzwiami. Prawdziwy dom to taki dom, który ma otwarte drzwi. Nie ma oczywiście pojęcia domu bez pojęcia wytyczenia, granic, czyli bez okien i progu, ale dom to miejsce przychodzenia, udzielania gościny, obszar całkowitej dostępności. Najbardziej prostackie jest zatem myślenie domu w kategoriach posiadania, dzierżenia, zamykania się, izolowania się. Najgorszym domem jest twierdza.

Europa, Polska, Górny Śląsk, bez przesady można powiedzieć, są domami o tyle, o ile posiadają świadomość każdego domu. Czyli świadomość przechodniości. Czyli wiedzę o tym, że dom jest domem tylko jakby wynajętym, przejściowym, nie do końca własnym. Zamieszkuje się ten dom w przytomności możliwego opuszczenia go po jakimś czasie. Podstawowy warunek europejskości, wysnuty z greckiej filozofii i kultury, to nie status cywilizacyjny, ekonomiczny bądź jakaś tak zwana kultura, lecz zasada hizekji. Czyli greckie prawo bezwarunkowej gościnności. Przyjmowało się „hiketę”, czyli błagalnika-imigranta, włączając bez względu na jego pochodzenie, religię. Nie patrząc na to, czy był grzesznikiem, zabójcą (jak król Edyp) czy tylko uciekinierem, którego przepędzono z jego własnej ziemi w imię jakiejś idei bądź przez zwykłą chciwość (dopasowaną do jakiejś

idei). To dlatego Europa niknie, gdy zamyka granice, zaryglowuje drzwi. Im więcej rygli, tym mniej Europy. Im liczniejsze i silniejsze patrole hiszpańskie u wybrzeży marokańskich, tym słabsza i bardziej mgławicowa staje się Europa. Ale również, pamiętajmy i o tym: im szczelniej pozamykane drzwi, tym mniej Górnego Śląska.

4.

Diaspora to dom rozsiany. Greckie słowo *he diasporá* pochodzi od czasownika *diaspeiro*, rozrzucam, rozsiewam, co może przywoływać obraz siewcy na bezkresnym polu. Jednak z pojęciem diaspory i z wyobrażeniem, czym jest diaspora trzeba kojarzyć dom i wszystko to, co jest domowe, ponieważ greckim synonimem diaspory jest *apoikia*, czyli wydomowienie, wyrzucenie z domu, wygnanie z domu, usunięcie z ojczystej ziemi. Również inny synonim diaspory był używany w grece – *aichmalosía*, jeniectwo, niewola (*aichmalótikós* – jeniec wojenny). Diaspora zatem oznacza stan życia poza domem, po tym, gdy kogoś usunięto z domu siłą. Jest skutkiem przemocy.

A zatem diaspora potrafi znaczyć coś metaforycznie, ale przede wszystkim posiada ciekawą historię związaną z dziejami Żydów. Diasporę powinniśmy kojarzyć z Łukiem Tytusa w Rzymie. Jest to łuk tryumfalny na Forum Romanum, który upamiętnia zdobycie przez przyszłego cesarza Tytusa Jerozolimy, ogarniętej powstaniem antyrzymskim. Działo się to w drugiej połowie pierwszego wieku. Wespazjan i Tytus po pokonaniu Żydów odbyli olśniewający pochód tryumfalny w Rzymie, pokazując światu zdobyte (to znaczy zrabowane) bogactwa (wybudowano z nich zresztą Koloseum i Templum Pacis na Forum Wespazjana). Jerozolima nieco później przestała być nie tylko Jerozolimą czy też ruinami Jerozolimy – została miejscem z nową nazwą. Można powiedzieć, że nie tylko ludzie ulegli rozproszению, rozsianiu, samo miasto podzieliło los jego mieszkańców. Zostało wygnane tak samo jak ludzie, udało się w obce strony, udało się w obcą nazwę, gdy wybudowali Rzymianie nowe pyszne miasto na ruinach Jerozolimy i nazwali je Aelia Capitolina (wzniesiona przez cesarza Hadriana w 130 roku po Chrystusie).

Żydzi okresowo nie mieli w ogóle wstępu do byłej Jerozolimy. Rozeszli się po świecie w żalobie. Z tego właśnie powodu w Nowym Testamencie diaspora oznacza Żydów rozproszonych w krajach pogan. Na przykład św. Jakub Apostoł używa słowa „diaspora” (Jk 1, 1) w tym znaczeniu. W swoim liście na samym początku pozdrawia wszystkie dwanaście pokoleń Izraela, które żyją w diasporze (*en tē diasporá*), czyli rozrzuconych po całym ówczynie zamieszkanym świecie. O diasporze (jako *galut*, czyli wygnaniu) nikt nie jest w stanie powiedzieć więcej od Żydów. Ale dzisiaj o diasporze wiele moglibyśmy się dowiedzieć także od Kurdów, Chińczyków, Chorwatów. Najliczniejsze diaspory na świecie tworzą obok Włochów także Polacy (prawie 22 miliony ludzi). Nikt chyba nie policzył Romów. W diasporze w wielu krajach Europy i obu Ameryk żyje także wielu Górnoślązaków. Można również powiedzieć, że Górnoślązacy żyją w diasporach współcześnie na Górnym Śląsku, który przestaje być górnośląski – a zaprogramowane otoczenie nieśląskie nie sprzyja podtrzymywaniu tożsamości.

5.

Jak się żyje w rozproszению? Jak się żyje w diasporze? Żyje się w pewnym dziwnym napięciu. Tym napięciem i wytężeniem egzystencji byłby zapewne wysiłek, by utrwalić poczucie tożsamości, odmienności, inności, podmiotowości. Na obczyźnie – albo we własnym kraju, który stał się nagle obcy i jakby nieobecny, jakby widmowy – ludzie uczą się także czegoś bardzo ważnego: że tożsamość jest krucha. Że tożsamość to coś niezwykle delikatnego. Może dlatego ludzie diaspory mają zdolność zmartwychwstawiania z historii do tajemnicy. Może właśnie z tego powodu ludzie diaspory są szczególnie przebudzeni – wrażliwi na język, akcent, dotyk polityki, widok krajobrazu, szczegół z historii, interpretację losów rodzinnych.

Diaspora to taka grupa ludzi, mógłby ktoś skonkludować powyższe, do której nie dociera, że zmieniło się niebo, pod którym żyje. Jednocześnie nie czerpie już przyjemności z fetyszyzacji historycznych faktów swojej przeszłości. Roszczenia jej nie interesują. Lokuje tak zwane prawdziwe szczęście gdzieś daleko. A po kilku pokoleniach sama nie wie, gdzie to jest. Bo gdy gubi tożsamość, gubi poczucie pewności siebie. Głęboka przynależność – jako forma tożsamości, która nie ma nic wspólnego z żadnym systemem pojęć – oznacza przeznaczenie, oznacza egzystencję, oznacza pojedynczość. I oznacza diasporę.

Ludzie bez tożsamości stają się zewnątrzsterowalną masą. Sprawa w demokracji bardzo niebezpieczna. Gdy ktoś steruje mną z zewnątrz, nie jestem w stanie nawet siebie prawdziwie doświadczać. Właściwie nie żyję, tylko wydaje mi się, że żyję. Nie podejmuję decyzji, tylko ktoś inny podejmuje decyzje za mnie. Cóż mówić w tych okolicznościach o zachowaniu etycznym, prawdzie, o powiedzeniu światu „tak”, afirmacji życia. Ciśnienie jednak bywa często zbyt wielkie, ponieważ małe nie wybroni swojej indywidualności podczas naporu większego. Zaczyna się wtedy wyparowywanie czegoś wartościowego. Taka diaspora wartości, które fruną gdzieś w przestwór nieba. Gdy w XX wieku powiedzą marksiści, że świat, że wszystko na świecie ulatuje, w jakimś sensie dobrze oddadzą tę ideę rozpylania i rozsiewania. Ale to wietrzenie właściwości – jako swoistą diasporę – najlepiej opiszą pisarze austriaccy (Musil, Kafka, Broch).

6.

Dawno temu, gdy rozważałem znaczenia domu i tego, co domowe dla kogoś, kto buduje niejako na nowo swoją tożsamość w odmiennym kręgu kulturowym, natknąłem się na średniowieczny czterowiersz, który prawdopodobnie funkcjonował jeszcze parę wieków temu jako przysłowie. Łacińskie przysłowie zatem jest stare, ale echa idei w nim zawartej słyszę także teraz, gdy dyskutuje się o możliwości przyjęcia syryjskich bądź innych uchodźców w Polsce albo gdzie indziej.

*Inter nos dum sis,
tu vive velut nos;
Quando domum venias,
ibi vivere quis veluti vis.*

*Gdy jesteś u nas,
Żyj tak jak my.
Gdy wrócisz do domu,
Żyj sobie jak chcesz.*

Czy w diasporze żyje się pod dyktando otoczenia? Czy jest to konieczne, żeby w domu, który jest wspólny i przechodni, jak zauważyłem wcześniej, nalegać na monotonizację wszystkiego, na ujednolicanie, na zrównywanie, na zestrąnianie na siłę, nie oglądając się na delikatną materię tożsamości? Na pewno nie jest. Ale jest wygodne w administrowaniu, manipulowaniu i wprowadzeniu wszelkich mechanizmów czyniących ze wspólnoty masę. Jest wygodne wówczas, gdy z podmiotów czyni się przedmioty. Wszelkie unifikowanie ma znamiona czegoś antyludzkiego.

Widać to dobrze na Górnym Śląsku. Unifikowani Ślązacy, którym się uparcie odmawia uznania ich kulturowej regionalnej tożsamości, sami niestety czasami unifikują. Sami wynajdują w swym górnośląskim domu innego – i każą mu żyć *velut nos*. Nie dostrzegają przybyszów, gwałcąc świętą zasadę bezwarunkowej gościnności: żyj tak jak my! Sami zapominają, że są przybyszami. Jakie im twarze – tym, którzy przyjechali na Górny Śląsk – ukazują domy?

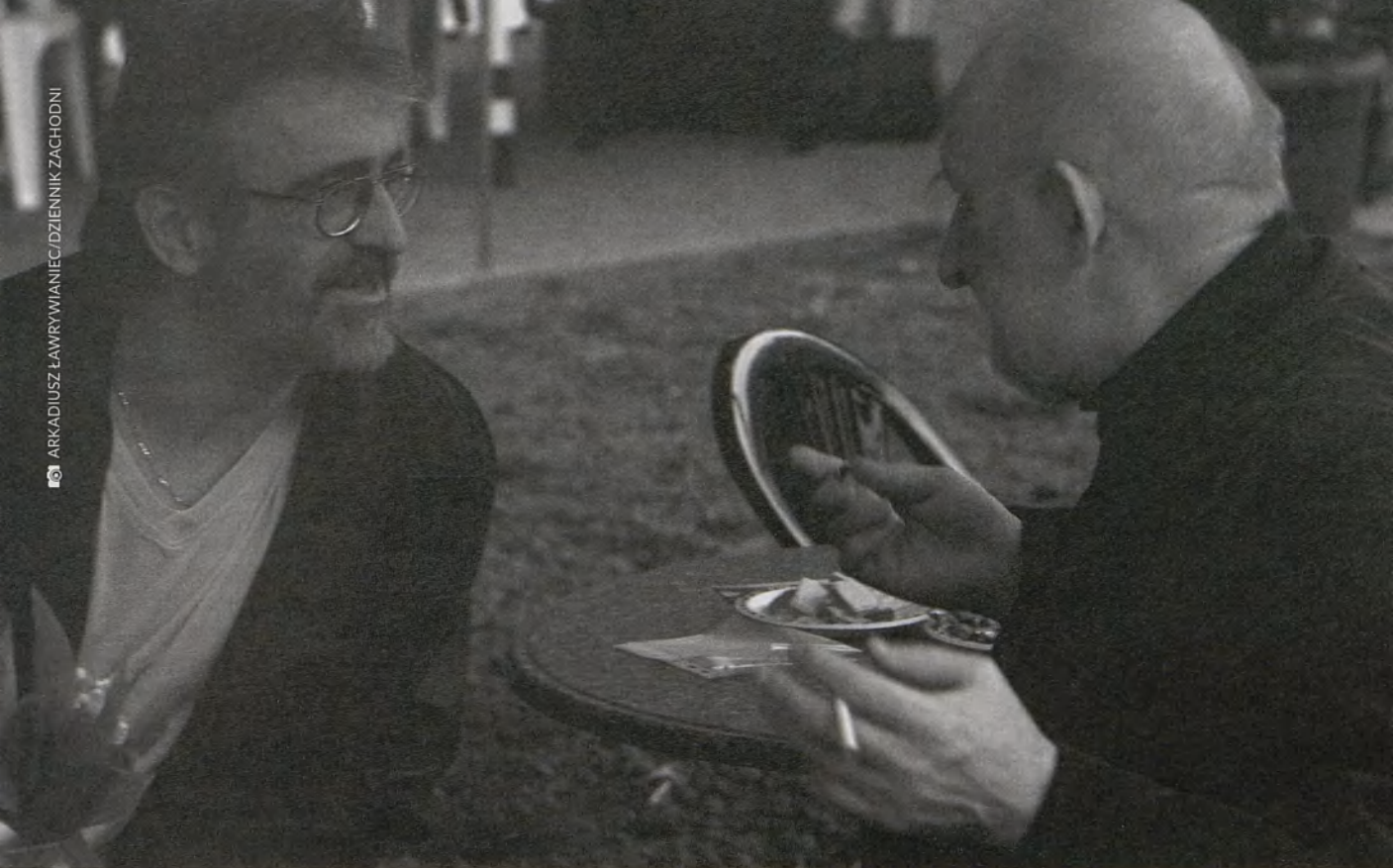
7.

Zamieszkiwanie jest zawsze czymś więcej niż zarządzaniem domem i naprawianiem dachu. Zamieszkiwanie zawsze wyrasta ponad miejsce, w którym się żyje. Grekom łatwo było ów szczęśliwy powrót w domowe progi utożsamiać niejako z powrotem do prawdziwego, wiecznotrwałego domu. Taki powrót do domu, którego już nic nie zburzy, nazywali zbawieniem (*he sotería nostimos*). Bo takie autentyczne zamieszkiwanie już jest, że wykracza poza doczesność.

Opowiadano o Anaksagorasie z Klazomenaj, gdy nauczał w V wieku przed Chrystusem w Atenach, że prowadzi spokojne życie w dostatniej *polis* ateńskiej, podczas gdy niewiele obchodzi go losy jego wschodniej ojczyzny uciskanej przez Persów. Złośliwcom owym filozof odparował: „Uważaj, co mówisz! Bardzo mnie obchodzi mój kraj!”. A mówiąc to, wskazał ręką niebo. Gest Anaksagorasa, jego rękę pokazującą niebo, chciałbym, żebyśmy mieli nieustannie przed oczami, gdy rozemocjonowani rozprawiamy o ojczyźnie, historii, regionie, wolności, domu, wypędzeniach, diasporze, Górnym Śląsku i Europie. ■

Zbigniew Kadłubek

– filolog klasyczny, komparatysta, eseista, tłumacz,
profesor Uniwersytetu Śląskiego

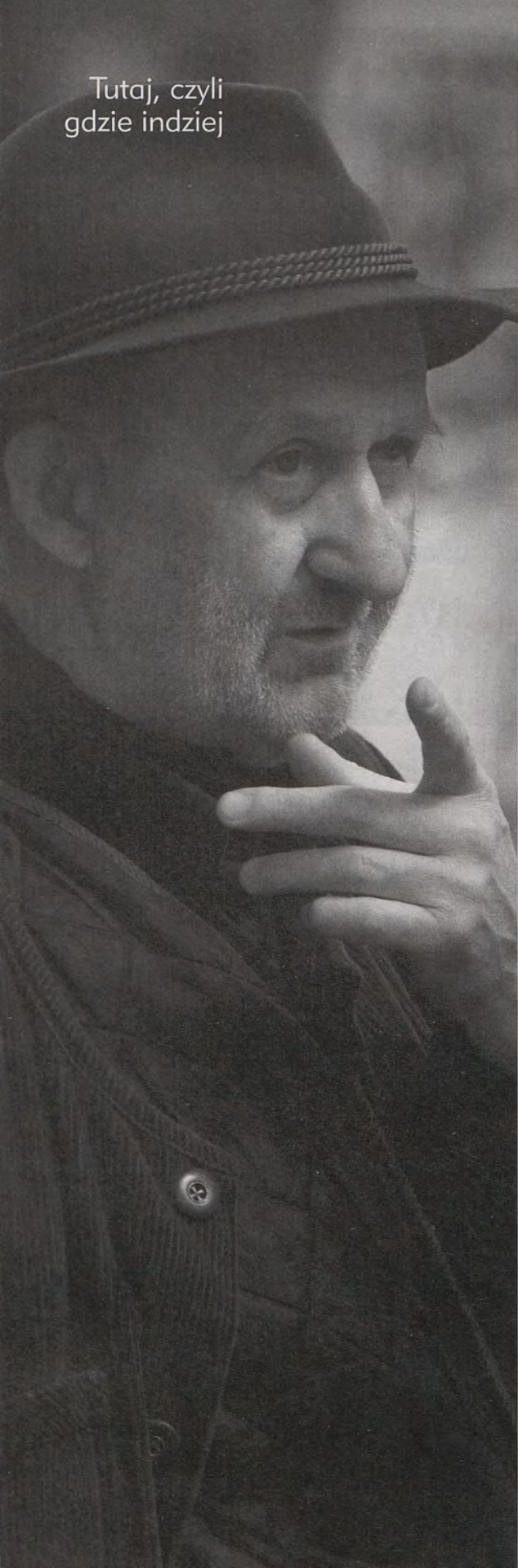


Henryk Waniek

Tutaj, czyli gdzie indziej

Człowiek oderwany od ziemi, wygnany z trwania, odcięty od swych korzeni, pragnie ponownego złączenia się z początkiem, do którego przynależał przed oddzieleniem się i rozdarciem. Tęsknota oznacza tak naprawdę życie nieskończenie daleko od swojego miejsca.

Emil M. Cioran. *Zarys rozkładu* (tłum. M. Kowalska)



Tutaj, czyli
gdzie indziej

ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC/DZIENNIK ZACHODNI

Powyższe słowa Ciorana kuszą, by wejść w gąszcz tematów dla Śląska zasadniczych. Ale zamiast rozwijać ich surową wymowę, wspierając się wyłącznie osobistą optyką, skieruję uwagę ku kilku mniej dramatycznym sprawom, w których wyraża się osobliwość śląskiej przestrzeni. Przestrzeń tę traktuję integralnie, bez uciekania się do podziałów – tu Górny, tam Dolny; między nimi ta nieszczęsna Opolszczyzna, wymyślona w sztabie pułkownika Grażyńskiego; jeszcze Zaolzie z ziemią hulczyńską; czy nawet Górnoślązki Dolny Śląsk (*Oberlausitzer Niederschlesien*) w okolicach Görlitz. Wcale mi to rozdrobnienie terytorium nie przeszkadza czuć w każdym jego punkcie, że jestem na Śląsku, w bardzo różnicowanej śląskiej teraźniejszości, a równocześnie w czasie historycznym – pocziwym, tajemniczym, a nierzadko tragicznym.

Choć tak dokładnie określony przez geografę – rzeki, wyżyny, niziny – ma jednak ten kraj swoją przestrzenną specyfikę, wynikłą z faktu, że ostatecznie każdy obszar, poza przymiotami fizycznymi, które go definiują, posiada też właściwości metafizyczne. Przeto obok geograficznej, jego treścią równorzędną, a może nawet nadrzędną, jest wypełniająca go masa ludzka i przez nią demonstrujący się duch miejsca. W tym przypadku był to przez stulecia duch zastanawiająco jednolity, mimo że wieloetniczny, wielojęzyczny, wielowyznaniowy i co tam jeszcze chcemy. Tak przynajmniej było, bo w minionych sześćdziesięciu latach ten stan rzeczy uległ erozji, dodając inne przymiotniki, oszczędzając jedynie (choć też niezupełnie) geograficzno-fizyczne ramy tej ziemi. Można mieć tylko nadzieję, że ta ziemia, rozciągająca się pomiędzy Górnośląskim Okręgiem Przemysłowym na wschodzie a Nysą Łużycką na zachodzie, na różne sposoby pozbawiana swej tożsamości, ma szansę odzyskać ją w rezultacie toczących się debat. Na razie nie mają one przełożenia na praktykę administracyjną czy polityczną. Co więcej, dyskusje toczą się w elitarnych kręgach akademickich lub specjalistycznych, będąc tylko wyrazem niepokoju, spowodowanego „nienaturalnością” śląskiego statusu. Dobrze jednak, że się toczą, i niech tak będzie.

Schlesisch na Warmii i Mazurach

Jeśli zaś idzie o osobliwość przestrzeni Śląska, tej fizycznej i duchowej, to pod działaniem czynników, które nazwijmy dziejowymi, jej „geograficzność” staje się płynna i wylewa się poza ściśle granice, zarówno tradycyjne, jak i polityczne. W szczególnych przypadkach może się wydawać, że Śląsk znajduje się gdzie indziej, a myśląc i mówiąc o nim, możemy odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z fantomem, wyposażonym w sfalszowany rodowód. W każdym razie, tak to czasem odczuwam, wraz z pragnieniem odczynienia tego stanu rzeczy.

Nie jest to osobliwość, jak się wydaje, typowa tylko dla naszych czasów. Śląsk – jak wiele innych prowincji – nawet w ramach Rzeszy Niemieckiej, bywał „osobnością”. Jak daleko może się posunąć eks-terytorialny stan rzeczy, stwierdziłem kiedyś na mapie zamieszczonej w tomie 5 popularnej encyklopedii *Brockhaus Konversations-Lexikon* z 1898 roku. Mapa przedstawiała rozmieszczenie różnych dialektów (*die Mundarten*) na terenie cesarstwa niemieckiego. Jeśli nie liczyć ułamków Śląska, należących do Cesarstwa Austro-Węgierskiego, Śląsk był częścią Rzeszy. I niemal cała jego powierzchnia na tej mapie została wypełniona kolorem zielonym. Aby nie było wątpliwości, nad wszystkim biegł napis – *Schlesisch*. Czyli było to terytorium dialektu śląskiego. Pomijam już, że w jego obszarze oznaczone były regionalne odmiany

– karkonoska, nizinna, kłodzka, górnośląska i inne. I oczywiście znaczne, sięgające na zachodzie po Brzeg, Grodków i Nysę, enklawy języka polskiego. Ale zdziwiło mnie bardzo, że niewiele na północny wschód od Torunia znajduje się obszar, również wypełniony zielonym kolorem. Było to pasmo od Malborka (niem. *Marienburg*) poczynając, przez Elbląg, Biskupiec (niem. *Bischofswerder* – powiat Nowe Miasto Lubawskie), Ornetę (powiat Lidzbark Warmiński, niem. *Wormditt*) i Barczewo (powiat Olsztyn, niem. *Wartenburg*). I aby już nie było żadnej wątpliwości, łukowato biegł tam również napis *Schlesisch*. Znaczyło to, wraz z drobniejszymi wysepkami również zielonego koloru, sięgającymi aż północnego Mazowsza, że tamtejsza ludność używała dialektu śląskiego. Próby ustalenia, dlaczego ludność na Warmii-Mazurach mówiła również po śląsku, przyniosły częściową odpowiedź. Otóż, rzeczony region był terenem intensywnej kolonizacji Ślązaków w XVI i XVII stuleciu, a także później. Całe rodziny, grupy zawodowe, cechy rzemieślników i rolników opuszczały swe miejsca nad Odrą czy Nysą Kłodzką, by – zachowując język i swoją kulturę – budować „nowy” Śląsk pomiędzy Nogatem a jeziorami mazurskimi. Oto szczególny, właściwie nieporównywalny z innymi, rodzaj przemieszczenia w granicach tego samego państwa.

Istnieją wszakże dyslokacje, których nie da się zapisać kartograficznie, bowiem dokonują się w wymiarze pozafizycznym, osobistym i intymnym. Spotykałem się z niezliczonymi przypadkami tego rodzaju. Ale inicjacją w ten fenomen było dla mnie zdarzenie na innym kontynencie, w Stanach Zjednoczonych, gdzie znalazłem się, mając za sobą trzydzieści pięć lat peerelowskiej indoktrynacji. Być może względ, że było to w tak wielkiej odległości od Śląska i Polski w ogóle, wzbogacił moje doświadczenie o sens, którego się nie spodziewałem, choć niektóre nowojorskie peryferia miały w sobie coś – rzecz jasna w innej skali – co odległe przypominało miasta górnośląskie. Na przykład wszechobecność nagiej cegły.

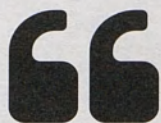
“

Choć tak dokładnie określony przez geografię – rzeki, wyżyny, niziny – ma jednak ten kraj swoją przestrzenną specyfikę, wynikłą z faktu, że ostatecznie każdy obszar, poza przymiotami fizycznymi, które go definiują, posiada też właściwości metafizyczne. Przeto obok geograficznej, jego treścią równorzędną, a może nawet nadrzędną, jest wypełniająca go masa ludzka i przez nią demonstrujący się duch miejsca.

23

„Miejsce ruchome”

W tym nowoczesnym Babilonie niemal wszyscy są przybyszami. Trudno tam spotkać kogoś, kto się nie urodził gdzie indziej, a tutaj tylko żyje i mieszka. Okres bożonarodzeniowy i noworoczny w USA jest jednym pasmem przyjęć. Na jednym z takich spotkań trafiam na trzech mężczyzn w różnym wieku, którzy – jaki to dziwny przypadek – pochodzą z Rybnika. Choć niezupełnie, bo najmłodszy już chyba urodził się w Stanach. Ale jego rodzice właśnie byli stamtąd. Najstarszy z nich chyba był Żydem, ale nie dociekałem. Nie znał polskiego. Płynnie mówił tylko po angielsku i niemiecku. Opuścił Rybnik jeszcze przed wojną światową. Może nawet pierwszą? Gdy się zorientowali, że przyjechałem ze Śląska, o niczym innym nie chcieli mówić, jak o Rybniku. Wiłem się jak piskorz, bo słabo znałem (prawie wcale) to miasto, a po drugie, jakoś mi ta etykieta Ślązaka nie była wtedy w smak. Za oknami prawdziwa zima z amerykańskim śniegiem, wokół bożonarodzeniowa muzyka *made in Hollywood*, nowojorska sceneria na lewo i prawo, a oni tylko o jednym. Rybnik



W tego rodzaju zdarzeniach odżywają emocje i problemy wymagające delikatności i zrozumienia dla skutków oddalenia od ziemi swego dzieciństwa, które z zasady pozostawia w nas dożywotni ślad. Można sobie być kosmopolitą, ale nie można się pozbyć pierwszych barw, zapachów, smaków i dźwięków, niegdys doświadczanych. Miejsce urodzenia ma się w sobie do śmierci i pod tym względem Śląsk nie różni się od żadnego innego kawałka ziemi.

i Rybnik. Po kilkunastu zdaniach uwolniłem się i chyba ich zacząłem unikać. W tamtym czasie z pewną niechęcią identyfikowałem się ze Śląskiem. Dlaczego? Bo był to teren wstydlivy, miejsce politycznego kłamstwa, kulturalnego upadku i kolonialnej eksploatacji. W ogóle wspomnianie Polski nie sprawiło mi przyjemności.

Dopiero później przyszło na mnie oświecenie i wyrozumiałość dla sentymentów, które każą ludziom ogniskować uwagę na Rybniku, mimo że cały biznes jak w garści trzyma ich w Nowym Jorku. Za jakiś czas, w pewien samotny wieczór, ni stąd ni zowąd, przyczepiła się do mnie myśl, a raczej szczere pragnienie, by zaraz po powrocie do Polski udać się do Bytomia, z którym miałem nikłe, choć ważne, wspomnienie z lat przedszkolnych. Tak oto w Nowym Jorku po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że nawet gdy w sensie fizycznym terytorium dzieciństwa znajduje się daleko, to w znaczeniu duchowym ma się je cały czas w sobie.

Nie miałem jeszcze wtedy tak wiele jak dzisiaj serca do wszystkich spraw Śląska. Musiałem jednak zauważyć, że oto objawia mi się eksterytorialność kraju, który teoretycznie powinien trzymać się silnie swojej środkowoeuropejskiej lokalizacji, a tym-

czasem śmiga sobie gdzieś po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego. Lub – jak niewiele później się przekonałem – także w poprzek Morza Bałtyckiego, nie mówiąc o Pacyfiku, bo okazywało się, że Śląsk może znajdować się w Szwecji równie dobrze jak w Australii.

Są to pewnie zjawiska trywialne, nostalgiczne odruchy wszystkich społeczności emigranckich. Tyle że w tym konkretnym przypadku odnosiły się do spraw będących niewątpliwie „moimi”, podczas gdy podobna wymiana sentymentów z rodakami z Kujaw czy Podlasia nie robiłaby na mnie żadnego wrażenia, jako że Kujawy obchodzą mnie znacznie mniej niż Sudety. Z drugiej strony, gdyby mnie zaniósło do niegdyśszego imperium księdza Moczygemby w Teksasie, czyli do Panny Maryi, nie wiem czybym tam odnalazł jakiegokolwiek śląskie wibracje, w które tak uparcie wierzą ci, którzy tam trafili. Ale to, o czym teraz myślę i piszę, zdaje się w ogóle nie należeć do kompleksu problemu emigracji. Chodzi mi raczej o coś, dla czego nie znajduję lepszego określenia niż „miejsce ruchome”, czyli przemieszczanie się jakiegoś obszaru geograficznego.

Marzenia starego Grafa

Najwięcej Śląska eksterytorialnego oczywiście można doświadczyć w Niemczech, co wydaje się zupełnie zrozumiałe. Ale też, przez swoją oczywistość, banalne i często przyjmujące odcienie karykaturalne, pełne jakiejś skostniałej traumy. Mogłbym to podeprzeć wieloma przykładami, spośród których wybieram ten jeden, jakże banalny, choć jednak głęboki.

Grafa von S. poznałem w Oldenburgu podczas pewnej uroczystej okazji. Śląski hrabia mieszkał obecnie gdzieś w Hesji czy Dolnej Saksonii. Spośród licznych osób obecnych na bankiecie wyróżniał się prawdziwie arystokratyczną postawą. Nie było wątpliwości co do klasy, jaką reprezentuje. W każdym calu należał do już zaginionego gatunku ludzi szlacheckich. Umiejętnie łączył elegancję i takt z dyskretnie demonstrowanym poczuciem własnej ważności. Nasza rozmowa nie była

długa, ale von S. zdążył mi opowiedzieć o swoich wyprawach na Śląsk, do swej rodowej wsi z pałacem, który w międzyczasie stał się ruiną. Jako niestrudzony *der Schlesier* czuł się do pewnych moralnych obowiązków wobec tego miejsca. A równocześnie starał się coś robić dla jego dzisiejszych mieszkańców, którzy – nie trzeba tłumaczyć – a szczególnie po roku 1989, żyją w skrajnym ubóstwie. Więc wspomaga ich materialnie, a nawet kilka razy zorganizował we wsi udane festyny. Jest tam akceptowany i ogólnie lubiany.

Upewniłem się dyskretnie, czy mówi o tej samej wsi, którą przecież znam dobrze, bo mieszka tam i pracuje mój znajomy. Ale o festynach, materialnej pomocy, a nawet o samych wizytach hrabiego, nie miałem pojęcia. A pewnie bym słyszał. Bardzo możliwe, że w tym oldenburskim tłoku i gwarze zaistniało jakieś nieporozumienie. Równocześnie pomyślałem, że Graf jest może trochę mitomanem. Nigdzie nie jeżdżąc, opowiada tylko, że jeździ i pomaga, choć sam wymaga pomocy. I dobrze bym nawet rozumiał wszystkie jego dobre zamiary, pragnienia i tęsknoty, które – gdyby tylko było go stać – pewnie wcielałby w życie. Tymczasem jednak, w podeszłym wieku i z ciężarem osobistych kłopotów, nie tyle kłamie, co marzy. Ktoś mi to później potwierdził. Graf jest ozdobą takich bankietów. Wypożyczony smoking i dwie-trzy godziny dobrego samopoczucia. Ja sam też czasem zachowuję się podobnie, chociaż jaki tam ze mnie hrabia.

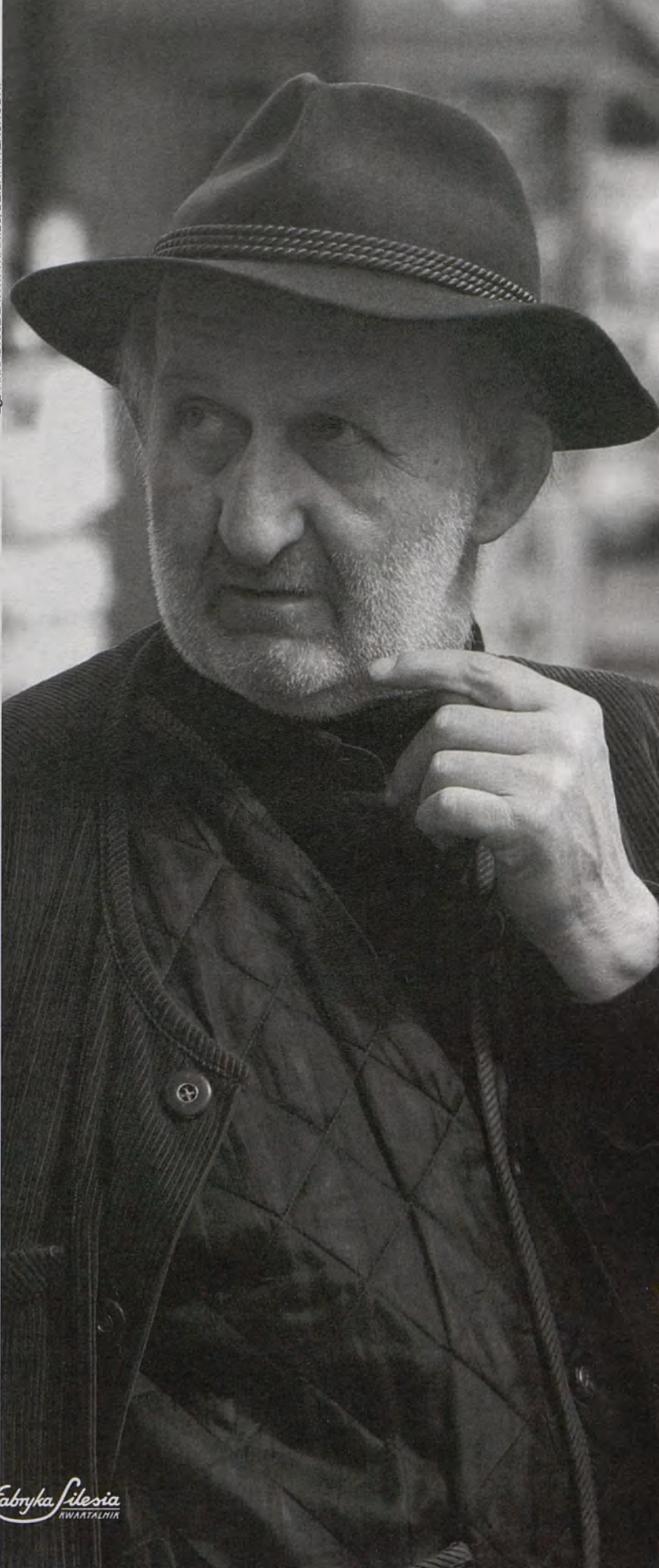
W tego rodzaju zdarzeniach odżywają emocje i problemy wymagające delikatności i zrozumienia dla skutków oddalenia od ziemi swego dzieciństwa, które – chcemy tego lub nie – z zasady pozostawia w nas dożywotni ślad. Można sobie być kosmopolitą, ale nie można się pozbyć pierwszych barw, zapachów, smaków i dźwięków, niegdyś doświadczanych. Miejsce urodzenia ma się w sobie do śmierci i pod tym względem Śląsk nie różni się od żadnego innego kawałka ziemi.

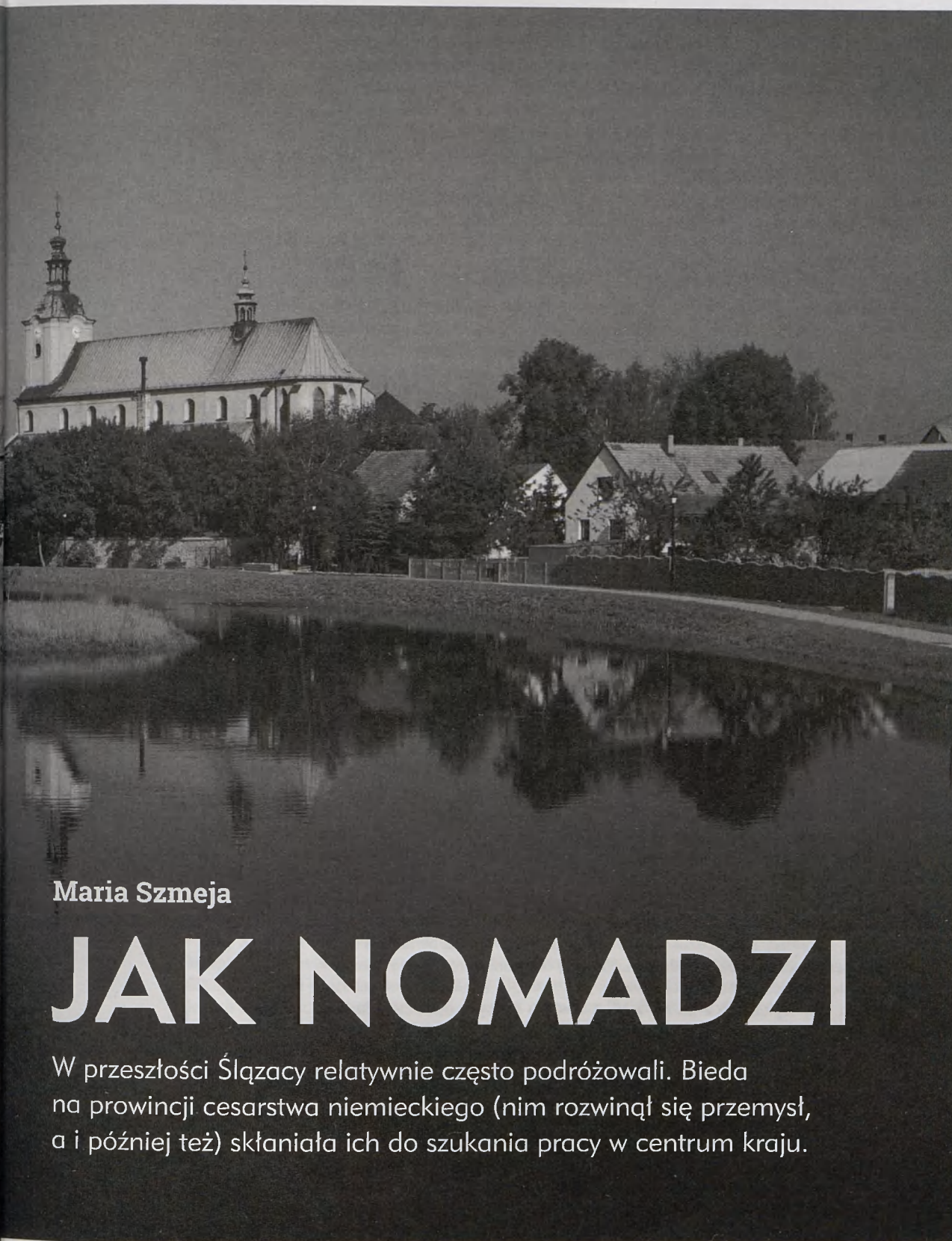
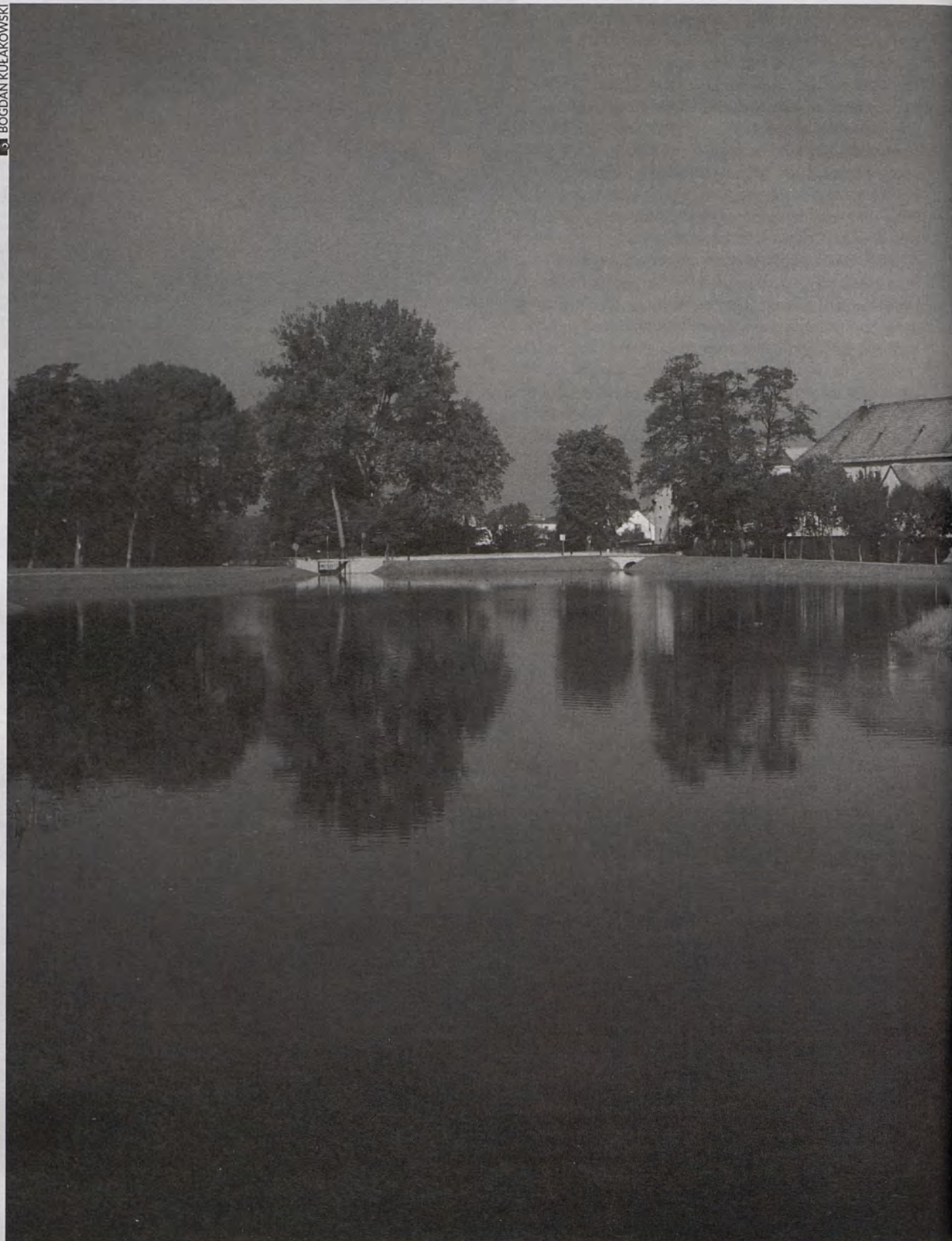
Ale ma też coś więcej, a przynajmniej coś odmiennego od innych krain polskich. Mianowicie – własną historię, z tamtymi nieporównywalną. I bodaj to jest przyczyną, że choć podbój Śląska zakończył się pomyślnie, to zamiar jego zintegrowania – bynajmniej. Nawet mieszkańcy Wrocławia, przybysze z Kresów Wschodnich, Polski centralnej i Bóg wie skąd jeszcze, a tym bardziej ich synowie i wnuki, podkreślają swoją „osobność” i – w ramach większej politycznej całości – optują za suwerennością „ich” Śląska. Zaiste osobliwa i osobna zarazem jest ta przestrzeń, jak okiem sięgnąć – od Zgorzelca na zachodzie aż po Mysłowice. ■

Henryk Waniek

– pisarz, eseista, malarz, grafik

ARKADIUSZ ŁAWRYNIAK/DZIENNIK ZACHODNI





Maria Szmeja

JAK NOMADZI

W przeszłości Ślązacy relatywnie często podróżowali. Bieda na prowincji cesarstwa niemieckiego (nim rozwinął się przemysł, a i później też) skłaniała ich do szukania pracy w centrum kraju.

Już w roku 1984 Andrzej Brożek w szkicu *Ruchy migracyjne z ziem polskich pod panowaniem pruskim w latach 1850-1919* ciekawie pokazał kierunki emigracji zarobkowej. Ślązacy jeździli do prac sezonowych, na przykład na tzw. owsiane żniwa w okolicy Berlina, także do pracy w szeroko rozumianych usługach, m.in. jako konduktorzy czy – zimą – jako roznosiciele węgla (również do Berlina oraz Wrocławia). Stale też trafiali do zakładów przemysłu ciężkiego, głównie w Nadrenii Północnej-Westfalii i Zagłębiu Ruhry. Na ogół mieli niskie kwalifikacje, więc wykonywali najprostsze czynności. To była raczej migracja sezonowa. Niektórzy wyjeżdżali regularnie, gdy na miejscu nie mieli pracy. Inni jeździli na pewien czas, by zarobić pieniądze na konkretną inwestycję (rozbudowę domu, posag itp.). Jeszcze inni opuszczali Śląsk, służąc w armii.

Ossowski: „mała ojczyzna” łączy

Czym innym była migracja stała. W połowie XIX wieku Ślązacy wyjechali dużą grupą do Teksasu. Ks. Leopold Moczygamba przekonał krewnych i ich znajomych, by rozpoczęli tam życie, bo dostatek ziemi i brak zobowiązań wobec państwa (podatki, służba wojskowa) dawały swobodę działania. Jak w roku 1972 wykazał wspomniany już Brożek, do Ameryki wyjechali przede wszystkim ci, którzy mieli własną ziemię, bo mogli ją spieniężyć na pokrycie kosztów podróży i zakup gruntu.

Inną kategorię stanowili ci, których wypędzała prawdziwa bieda, brak pracy, kłopoty osobiste. Wszystkich jednak łączyła „mała ojczyzna”. To pojęcie do socjologii polskiej wprowadził Stanisław Ossowski po swoich badaniach w sierpniu 1945 roku w Dobrzeiniu. Zauważył wówczas, że nadrzędną wartością społeczną dla Ślązaków jest ziemia, z której się wywodzą, i ją właśnie nazwał „małą ojczyzną”.

Ślązacy wyjeżdżający w świat raczej słabo asymilowali się w nowych społecznościach. To, że w Teksasie przetrwał język śląski, jest tego dowodem. Kształcąc się i wchodząc w struktury społeczeństwa amerykańskiego, Ślązacy przez długie lata nie podlegali akulturacji. Oczywiście, przez prawie 160 lat – będąc grupą mniejszościową – nie mogli być całkowicie wyizolowani. Jednak własne podstawy kulturowe utrzymali i dziś regularnie odwiedzają kraj swoich przodków. Czują się i Ślązakami, i Amerykanami. Wielu z nich nadal mówi po śląsku. Chociaż ten ich język ma trochę naleciałości angielskich, to jednak pozostaje czystą, starą śląską mową, bez niemieckich wtrąceń.

W Niemczech „nie ma życia”

Inny jest obraz diaspory śląskiej w Niemczech. Jedni wyjechali tam oficjalnie i legalnie, inni uciekli (jeszcze w czasach komunistycznych), jeszcze inni wyjechali w ramach tzw. akcji łączenia rodzin. Oznacza to, że nie wszyscy mieli w Niemczech równy start. Jedni więc pracują w wyuczonym zawodzie, inni przeżyli degradację społeczną. To wpływa na ich stosunek do Polski i Śląska. Są wśród nich tacy, którzy stale odwiedzają rodziny pozostawione w kraju, inni tylko przy wielkich okazjach, jeszcze inni w ogóle nie przyjeżdżają, żyjąc mitem utraconej ojczyzny. Wielu z tych, którzy wyjechali, mieszka poza Śląskiem od lat, niektórzy już urodzili się w Niemczech, więc można by ich uznać za Niemców śląskiego pochodzenia. A jednak najczęściej oni sami określają się inaczej – jako Ślązacy z niemieckim pochodzeniem.

W badaniach socjologicznych z lat 80. i 90. XX wieku śląscy rozmówcy z dawnej rejencji opolskiej określali się mianem Ślązaków niemieckiego pochodzenia, w przeciwieństwie do Ślązaków-Polaków z przedwojennego województwa śląskiego. Ci ludzie, korzystając z prawa niemieckiego i posiadając podwójne obywatelstwo, często żyli i nadal żyją „w rozkroku”, jedną nogą w Niemczech, drugą w Polsce.

Taki stan rzeczy rodzi poważne problemy społeczne. Tradycyjne wspólnoty śląskie przestały istnieć, bo nie ma stałego składu ich członków. Ciągłe ktoś jest w drodze, ciągle ktoś jest poza domem. O ile w przeszłości migracje zarobkowe dotyczyły głównie młodych osób przed założeniem rodziny, to obecnie powszechne są wśród tych, którzy już rodziny mają. Wyjazdy ojca czy matki traktowane są wprawdzie jako doraźna konieczność, lecz stały się normą społeczną. Ci ludzie deklarują, że nie chcą wyjechać na stałe.

Przebywają poza Śląskiem tak długo, jak określa to kontrakt z niemieckim pracodawcą. Jedni, co tydzień, na weekend wracają do domu, inni przyjeżdżają co dwa-trzy tygodnie, jeszcze inni po pięciu tygodniach nieprzerwanej pracy dostają dwa tygodnie wolnego i – przywożąc „łupy” – spędzają je w domu na Śląsku. Stanowią więc rodzaj „diaspory nomadycznej”.

Czy to normalne życie? Według śląskich standardów – na pewno nie

Latem tego roku prowadziłam badania we wsi podopolskiej, którą znałam z wcześniejszych lat. Uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze: odnotowałam znaczny wzrost wykształcenia młodych ludzi w stosunku do ich rodziców. Wyższe wykształcenie nie było rzadkością, a średnie stało się normą. Niestety, towarzyszy temu brak pracy. Śląsk, tak jak i cała Polska, zdaje się nie potrzebować ludzi wykształconych. Oznacza to dla młodych konieczność szukania pracy w Niemczech.

Moi rozmówcy, znający już dobrze ze szkoły język niemiecki (co nie było częste w poprzednich pokoleniach) wcale nie są skorzy do wyjazdów. Pracę w Niemczech traktują jako zło konieczne. Jak mówią, „tam są pieniądze, ale nie ma życia”. Proszeni o wyjaśnienie, żalą się na monotonię pracy i brak kontaktów towarzyskich. Ci ludzie, mimo że mają rodziny mieszkające w Niemczech od pokoleń, nie asymilują się do społeczeństwa niemieckiego. Nie odnajdują tam miejsca dla siebie. Tak jak ich krewni, żyją na obrzeżach społeczeństwa. W ich przypadku znajomość języka niemieckiego nie jest taką barierą, jak u Ślązaków wyjeżdżających wcześniej, którzy jeśli znali ten język, to w formie potocznej i – często – gwarowej. Młodzi znają literacki niemiecki, a jednak wykonują doraźne prace, poniżej kwalifikacji. Nie chcą zostać w Niemczech, bo różnice standardów życia nie są już tak znaczące.

Okazuje się, że Śląsk pozostaje dla nich wartością, którą wysoko cenią. Co z nimi będzie? Brak pracy w Polsce i wahadłowe kursowanie dla zarobku? Jest też druga strona medalu. Według analiz Romualda Jończego i Katarzyny Łukaniszyn-Domaniewskiej, przeprowadzonych w roku 2014, Ślązacy z diaspory w Niemczech inwestują w swoim regionie. Oczywiście, nie są to wielkie biznesy, powstają raczej mikroprzedsiębiorstwa albo filie niemieckich firm, w których ci ludzie są zatrudnieni. Badacze są pełni nadziei, że gospodarka regionu ożyje i znajdzie się tu praca dla wszystkich. A warto podkreślić, że dzisiejsze migracje nie mają już tylko wymiaru konsumpcyjnego.

29

Mniejszość czy większość?

Ślązacy są na Śląsku mniejszością. Na pewno? Po wojnie napłynęło wiele osób z kresów wschodnich dawnej Polski i z centralnych dzielnic kraju. Ci ludzie mieszkają na tej ziemi od trzech-czterech pokoleń. Czy nie są Ślązakami? Przecież przebywają tu „na stałe”. Nie wyjeżdżają, budują rzeczywistość codzienną pracę. Kim są?

Czy Ślązakiem jest ten, kto mieszka stale (!) na Śląsku, czy tylko ten, którego przodkowie stąd się wywodzą? A co począć z Niemcami, którzy przez parę pokoleń żyli na Śląsku i musieli wyjechać po wojnie? Czy Ślązakami są ludzie, którzy dobrowolnie wyjechali z regionu, bo chcieli podnieść standard życia? Czy Ślązakami pozostają ci, którzy większą część roku spędzają poza regionem, pracując w Niemczech czy Holandii? Czy Ślązakami są ludzie, którzy urodzili się na Śląsku, ale mieszkają w głębi Polski? A jak nazwać osoby pochodzące z mieszanych związków? Czy też są Ślązakami?

Te pytania stają się tym ważniejsze, im baczniej obserwujemy działania różnych organizacji mających w nazwie Śląsk. Ich liderzy na ogół zdają się nie dostrzegać obecności, wkładu w życie regionu, bogactwa kulturowego niegdysiejszych przybyszów. ■

Maria Szmeja

– socjolog, profesor w Katedrze Socjologii Ogólnej i Antropologii Społecznej na Wydziale Humanistycznym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie

Marcin Zasada

Od Opola do Opola

Opole od Opola dzieli prawie osiem tysięcy kilometrów. Pierwsze to górnośląska stolica, drugie – ślad na mapie dzikiej amerykańskiej krainy pozostawiony przez tych, którzy 150 lat temu pierwsze Opole opuścili, by założyć drugie. W Minnesocie.

W XIX wieku Ślązacy dwa razy rzucili wszystko i pojechali do Ameryki. Najpierw w latach 50. do Teksasu, a dwie dekady później do Minnesoty. Dwie emigracyjne fale, równoległe i pod wieloma względami do siebie podobne, biegły ku ziemi obiecanej własnymi torami. Ale o ile pierwszą, tę na Dzikim Zachód, wielokrotnie dogłębnie zbadano i opisano, druga z wielkich śląskich wędrówek – na daleką północ, jest jeszcze w regionalnej świadomości zjawiskiem nieznanym. Tymczasem ocalałe w Minnesocie okruchy śląskości dają fascynujące świadectwo naszej historii.

Anna Musialik-Chmiel, autorka znakomitej książki *Amerykańscy Ślązacy*, przybliżającej losy teksańskich peregrynacji chłopów z Płużnicy Wielkiej, Toszka, Ząbkowice Śląskie i Olesna, podkreśla, że wyjazd do Nowego Świata był typową wówczas emigracją zarobkową. „Wyjeżdżający liczyli na szybki sukces i polepszenie warunków życia” – pisze Musialik-Chmiel, przypominając zachwalające Amerykę listy o Leopolda Moczygemby, słane z misji w USA przede wszystkim do jego rodziny w Płużnicy. W 1854 roku ściągnięci przez franciszkanina śląscy emigranci założyli w Teksasie swoją pierwszą osadę – Pannę Marię.

Dwa lata wcześniej, na przeciwnym krańcu dzisiejszego terytorium Stanów Zjednoczonych pojawił się inny misjonarz, pochodzący ze Słowenii Franz Pierz. Minnesota stała właśnie u progu historycznych przeobrażeń – w wyniku podpisanego w 1851 roku traktatu Traverse des Sioux Indianie zbyli w sumie 13 milionów hektarów swoich ziem, m.in. w Minnesocie, oddając je przyszłym osadnikom przybywającym z Europy. W połowie lat 50. Pierz, udzielający się również w kilku niemieckojęzycznych gazetach wysyłanych na Stary Kontynent, ścigał na ląd 10 tysięcy pierwszych emigrantów – z Niemiec, Luksemburga i Słowenii. Większość z nich płynęła do Ameryki z nadzieją na lepszą, dostatniejszą przyszłość. Podobnie Ślązacy.

Rewolucjonista z Wrocławia

Zanim do tego doszło, wieść o Minnesocie – krainie urodzaju i szczęśliwości – zaczęła w Europie głosić rozmaici agenci i pośrednicy, upatrujący w agitacji szansy na dobry zarobek. Jednym z takich ludzi był Eduard Pelz – Saksończyk i śląski poseł do pruskiego parlamentu, a nadto: pisarz, podróżnik, a kiedyś również bogaty wydawca z Wrocławia. Tam jego kariera została spektakularnie przerwana, gdy stanął po stronie słynnego powstania tkaczy śląskich w latach 40. XIX wieku. Został aresztowany za drukowanie ulotek i udział w demonstracjach, uznano go za „intelektualne zarzewie rewolty” i wydalono z kraju.

Pelz uciekł do Ameryki i w Nowym Jorku poznał ludzi obmyślających strategię ściągania do Minnesoty kolejnych przybyszów ze środkowej Europy. Na początku lat 60. wydał pierwszą broszurę *News about Minnesota*, która zachwalała walory dalekiego lądu – wysłano ją do Niemiec, gdzie rozeszła się w liczbie ponad 150 tysięcy egzemplarzy (trzy razy dodrukowywano nakład!). Wydawnictwo trafiło też na Górny Śląsk i wielu śląskich rolników dało się skusić zapewnieniom Pelza o bezkresnych polach, żyznej glebie oraz słońcu, które nigdy nie zachodzi.

Już po kilku latach pierwsi śląscy pionierzy pojawili się na nowojorskiej Ellis Island (w 1868 roku), by ruszyć dalej na północ. Świętowie, Bienkowie, Czechowie, Gaidowie, Kukłowie, Polokowie,



32



Sobiechowcie, Tomallowie czy Wieczorkowie – to tylko nazwiska niektórych rodzin, których patriarchowie leżą dziś na cmentarzach w różnych zakątkach Minnesoty. Przybywali najczęściej spod Opola – z Falkowic (niem. *Falkowitz*), Starych Siołkowic (*Alt Schalkowitz*), Dobrzenia Wielkiego (*Gros Dobern*), Krogulnej (*Krogullno-Gründorf*), Domaradza (*Dammratsch*), Bąkowic (*Bankwitz*), ale też spod Strzelec Opolskich i Raciborza. Z tych samych ekonomicznych pobudek, co Ślązacy, którzy podążyli za ojcem Moczygembą do Teksasu. Ci, którzy wybrali Minnesotę, nawet nie zdążyli zaznać skutków kulturkampfu Bismarcka, większość z nich ominęło zjednoczenie państw niemieckich w cesarstwo. Pamiętamy, że w samych tylko Prusach w 1871 roku liczba ludności wynosiła 25 milionów. Na śląskiej wsi, jeszcze przedindustrialnej, skutkowało to postępującym rozdrabnianiem gospodarstw i coraz gorszymi perspektywami.

Do Ameryki wyjeżdżała głównie chłopska arystokracja – rolnicy, których ze sprzedaży ziemi i dobytku stać było przynajmniej na bilet w jedną stronę do Ameryki i jako takie startowe w nowej rzeczywistości. „Mój pradziadek, który przybył do Minnesoty z Falkowic, opowiadał swojemu synowi, że na Śląsku był *bauerem*, dość majątnym gospodarzem. Więc decyzję o wyjeździe, zaczęciu wszystkiego od nowa musiał dobrze przemyśleć. Ryzyko było wielkie” – mówił mi Mike Stodolka, prawnuk Piotra i Franciszki (z domu Wilczek), którzy na początku lat 70. XIX wieku razem z kilkoma setkami śląskich rodzin przenieśli się do Minnesoty. Ta fala emigracji największe natężenie osiągnęła w latach 1868-1872.

Rodzina Czechów na zdjęciu z okazji 50-lecia małżeństwa Simona i Marii Czechów (z domu Baron). Czechowie pochodzili z Falkowic pod Opolem. Farmę w Minnesocie założyli w miejscowości Delano.

Śląscy emigranci przed wejściem do *saloonu* w Opolu w Minnesocie, koniec XIX wieku. Ślązacy sami zbudowali nowe Opole w Ameryce. Ta osada istnieje do dziś.

Mała Silesia w leśnej głuszy

Co czekało Ślązaków w nowej ojczyźnie? W Teksasie diabelskie upały, Indianie, grzechotniki i tarantule. Legenda obrosła wściekłość emigrantów, która omal nie zaprowadziła o. Moczygembę na stryczek. Nie taka miała być amerykańska ziemia obiecana! Inna, ale też „nie taka”, była ta w Minnesocie – surowa, lodowata, dzika i ledwie okiełznana przez osadników. Monografia hrabstwa Morrison i Todd (z 1915 roku), gdzie m.in. zjawiali się Ślązacy, pisała o nich: „Gdy wylądowali na swojej nowej ziemi, jedyną wolną przestrzenią, jaką zobaczyli, było niebo nad

ich głowami. Stali pośrodku dębów, wiązów i lip, które rosły tu setki lat”.

Lokalni dziennikarze z tamtego okresu, jak i wielu historyków, raczej nie uważali śląskich przybyszów za Niemców, ale czasem też dostrzegali różnice między nimi i Polakami (dziwiąc się, że Ślązacy potrafią z Niemcami rozmawiać po niemiecku, a z Polakami po polsku). Gazety, a także amerykańscy sąsiedzi nazywali pionierów z Oberschlesien *Szłazakami*, a czasem również *Polandersami*. Dziennik „St. Paul Daily Globe” tak na przykład chwalił śląską zaradność: „Zakładają swoje kolonie, najczęściej z Silesii – polskich Prus (*sic!*) z odwagą Cezara albo Napoleona”. Podobnie przywołana *Historia Morrison i Todd County, Minnesota*: „Leśną głuszę przekształcili w uprawne pola. A proste domy zrębowe – w solidne domostwa. Dawne ścieżki to teraz drogi, tak w North Prairie, jak i w Swan River, Flensburg, Elm Dale, Bowlus, Little Falls i Platte”.

O ile Panna Maria w Teksasie była samotną enklawą Ślązaków, śląscy zdobywcy Minnesoty częściej byli zdani na niezwyklej koegzystencję w nowych warunkach zarówno z Niemcami, jak i Polakami czy nawet Czechami. Prawdziwa Mała Silesia powstała w North Praire: osadę założyli Niemcy, obok nich w latach 70. sprowadzili się Ślązacy, potem przyjechali tam imigranci z rozdarłej zaborami Polski, a proboszczem parafii św. Krzyża był Czech, ks. Edward Nagi. Wspólny język przybysze z Oberschlesien znaleźli szybko z Kaszubami. Razem budowali swoje wioski – w Wells w hrabstwie Faribault, w New Brighton w Ramsey, Gnesen w St. Louis County, Edison w Swift County i przede wszystkim: Opole, założone w latach 70. XIX wieku w hrabstwie Stearns. Do dziś to jedyna śląska nazwa zachowana na mapie stanu Minnesota. Już pod koniec XIX stulecia w amerykańskim Opolu działał m.in. urząd pocztowy, stał kościół, kilka sklepów, *saloon* oraz sporo budynków infrastruktury rolniczej, choćby zachowane do dziś magazyny na zboże.

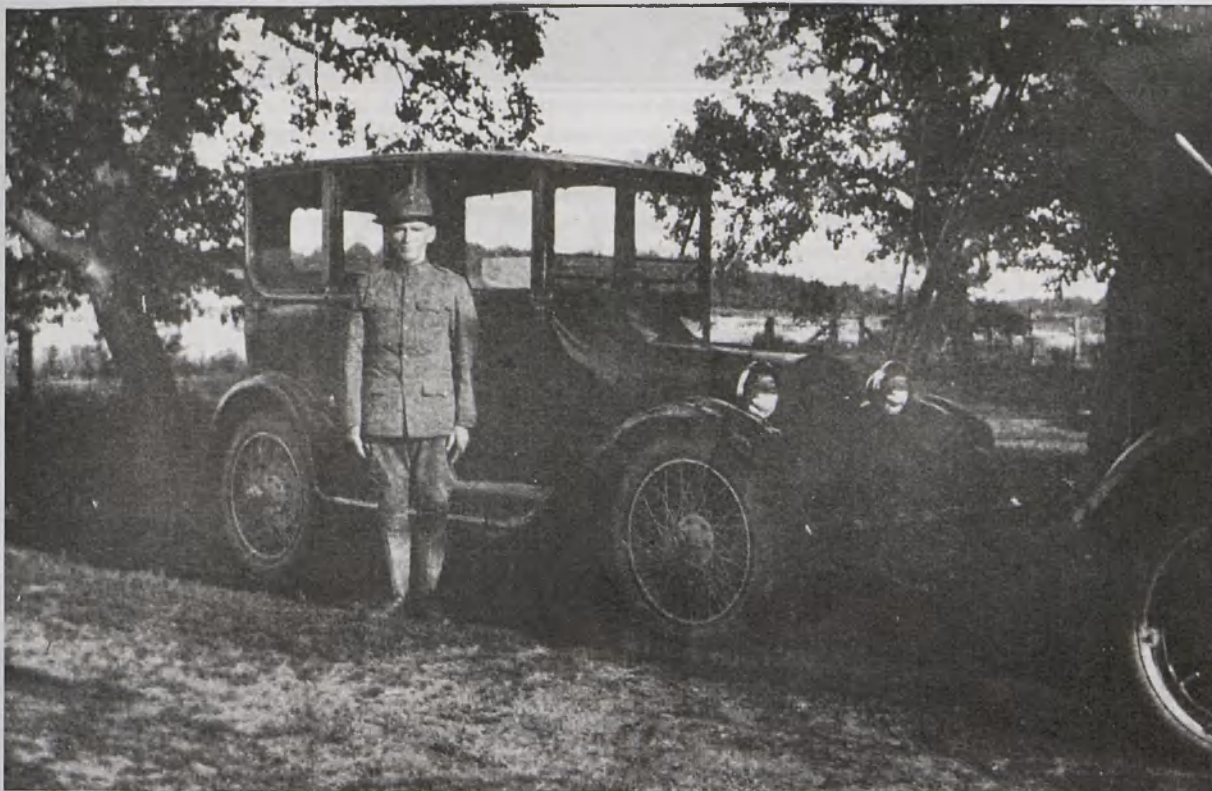
Tło kulturowego melanzu, w którego centrum znaleźli się w Minnesocie śląscy rolnicy, przynosi lektura monumentalnego dzieła *Historia Polska w Ameryce* autorstwa ks. Wacława Kruszki. Na początku ubiegłego stulecia duchowny opisał setki polskich parafii działających w Stanach Zjednoczonych. Ślązacy? Na przykład: „Parafia św. Wawrzyńca w Duelm, Minnesota. Kościół polski poświęcił tu Biskup Trobec w roku 1900. Było wtedy 40 farmerów, przeważnie Szlązaków, reszta Niemcy”. Albo: „Parafia w Delano – Ślązacy wraz z Niemcami w 1874 roku pobudowali tu kościół pod wezwaniem św. Piotra (...). Do parafii w Delano należy około 100 familii, we Franklin 60 familii. Wszyscy z Górnego Szląska, od Opola”.

W Małej Silesii czasem zdarzały się te same zgrzyty, co w tej dużej. Ksiądz C. Breitkopf („Rodak ze Szląska”) stał się bohaterem polonijnej afery, gdy w polskim kościele miał wygłosić takie kazanie: „Przysłany jestem (...), abym jak Bismarck nauczał Polaków, bo są ciemni. Nie sądźcie, że Bismarck był zwyczajnym człowiekiem, on był mężem, który umiał Niemcy połączyć, a że wystąpił przeciw Kościołowi w starym kraju, to z natchnienia ducha Bożego. Bismarcka wam tu potrzeba w każdej polskiej kolonii w Ameryce, bo wasza jest jedyna narodowość, co potrzebuje oświaty”. Kruszką komentuje: „Istotnie, my Polacy choć pod wielu względami jesteśmy oświeceni, to jeszcze ciemni, pozbawieni światła rozumu politycznego”. To dopiero dyplomacja!

Stodolka, kolega Charlesa Lindbergha

Tak jak śląska emigracja do Teksasu miała swoich bohaterów (choćby dziennikarz Claude Stanush), tak nie brakowało ich również w Minnesocie. Szymon Świętek (zwany później Simonem Schwientkiem) przyszedł na świat na statku SS Rhaetia, płynąc ze Śląska do Ameryki z rodzicami – Vincentem i Albina, z domu Gamroth. Gdy w 1913 roku w Minnesocie zmarł Piotr Kukłok, jeden z najbardziej zaradnych gospodarzy, którzy przybyli z prowincji Oberschlesien (dorobił się 80-akrowego rancza i niezłego majątku), prasa żegnała go słowami: „Odszedł wybitny i robotny pionier, uczciwy i szczerzy człowiek, szanowany przez całą miejscową społeczność”. Kukłok urodził się w Opolu, śląskim. I zmarł w Opolu, amerykańskim. W Opolu za oceanem przyszła na świat również cała siedemnastka (!) jego dzieci.

Dziedzictwo Ślązaków w Minnesocie nie jest aż tak kolorowe jak to na Dzikim Zachodzie. Na północy tradycje przywiezione z ziemi przodków były znacznie bardziej narażone na erozję i stopniowe łączenie z innymi kulturami, które tętniły po sąsiedztwie. Również dlatego śląska diaspora w Minnesocie jest po latach bardziej rozproszona niż ta w Teksasie, choć jak mówi Mike Stodolka, jeszcze jego dziadek sprawnie władał godką (*silesian-polish*), podobnie zresztą jak językiem niemieckim i angielskim. Natomiast jego ojciec – mówił już tylko po angielsku. Ale śląskie ślady przetrwały w Minnesocie na przykład w kuchni – w wielu restauracjach, w najróżniejszych zakątkach stanu, można zjeść danie o nazwie *beef rollada*. Zaś miejscowość Montgomery na południu stanu szczyci się mianem „światowej stolicy *kolacza*” i wyrabia go na setki różnych sposobów. Sam *kolacz* natomiast, oryginalny, z nadzieniem makowym, przetrwał w wielu rodzinach jako element zwyczaju świątecznego czy weselnego.



Cyril Ludwik Stodolka
urodził się już
w Minnesocie,
był konstruktorem,
wynalazcą i pilotem
akrobacyjnym.

W Minnesocie co roku organizowane są festiwale polskiej kultury, której częścią stało się wielu potomków XIX-wiecznej emigracyjnej fali z Górnego Śląska. I jeszcze jedno: w północnym stanie mówi się specyficznym angielskim, nazywają go *Minnesota accent* lub *Great Lake Accent*. Amerykanie nie mówią tam *yes*. Mówią *ja*. Może to robota Niemców? A może też trochę *Szlązaków*...

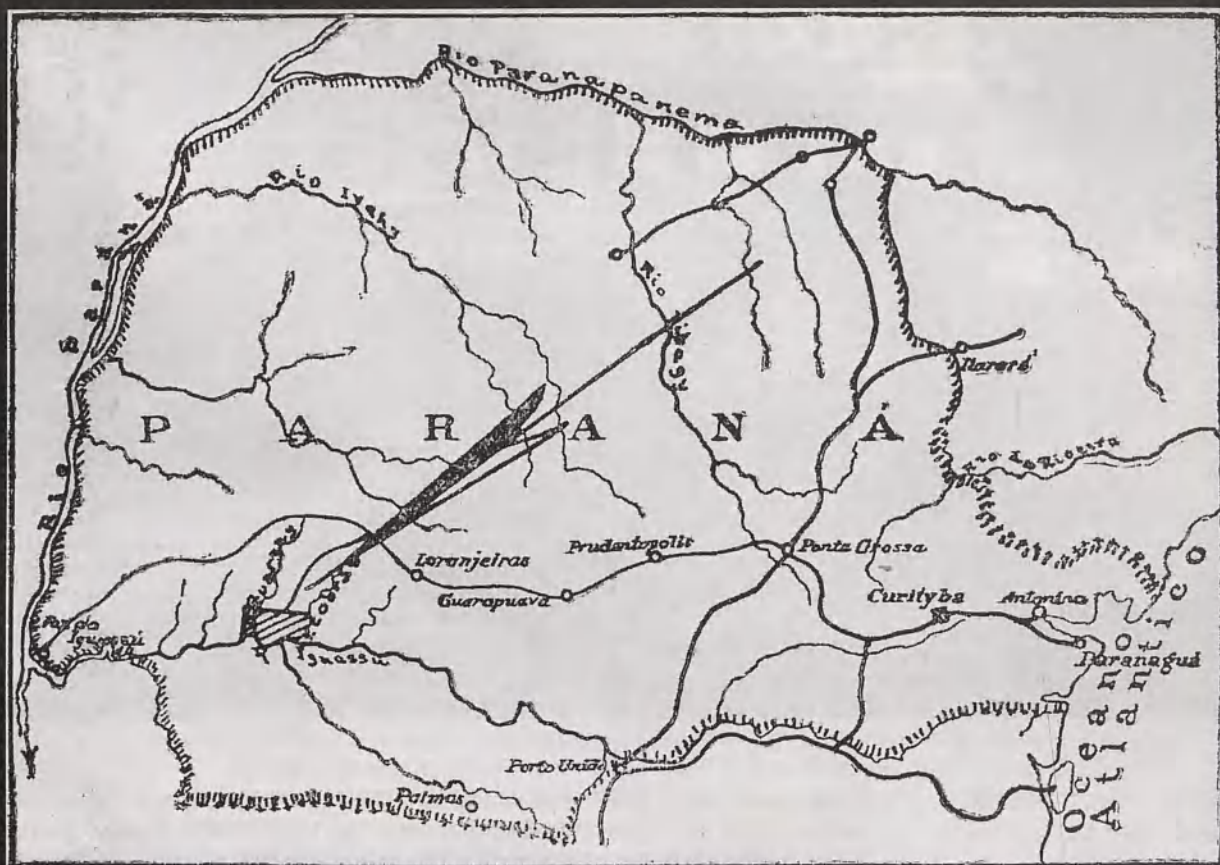
Nieprzypadkowo powołuję się na Mike'a Stodolkę, potomka emigrantów z Oberschlesien. Jest on jednym z badaczy dziejów śląskich przodków z amerykańskiego stanu. Kilka lat temu odwiedził Fałkowice, w których na świat przyszedł jego pradziadkowie. Mike kultywuje też pamięć o najsłynniejszym ze Stodolków zza oceanu: Cyrilu Ludwigu – swoim wuju, synu Piotra i Franciszki, którzy ruszyli do Ameryki z Fałkowic. Cyril, urodzony już w Minnesocie, był wynalazcą, genialnym konstruktorem, pionierem lotnictwa i dorobił się niemałej fortuny. Sam budował samochody, udoskonalał samoloty (razem z bratem Edem mieli dwupłatowy model J1 Curtis, który służył im na pokazach akrobatycznych) i inne maszyny. Swojej żonie oświadczył się... w powietrzu, na skrzydle samolotu.

Gdyby nie Stodolkowie, być może nigdy nie doszłoby do słynnego lotu między Ameryką i Europą bez międzylądowania w wykonaniu Charlesa Lindbergha w 1927 roku. Amerykańska legenda, człowiek nazywany „idolem XX wieku”, przyjaźnił się z Cyrelem od dzieciństwa – przyjeżdżał na jego farmę w Little Falls, by obserwować wynalazki syna śląskich emigrantów i dyskutować o lataniu. Później Lindbergh wielokrotnie radził się Stodolki w takich kwestiach, jak dobór paliwa, ekonomia lotu czy konstrukcja silnika, gdy szykował się do przeprawy przez Atlantyk. I żeby było ciekawiej – Charles poznał Cyrila z Amelią Earhart, pierwszą kobietą, która pokonała ocean za sterami samolotu. Dziś zdjęcia i historię Stodolki można oglądać w Muzeum Charlesa Lindbergha w Minnesocie.

Rodzinne Fałkowice powinny być dumne. ▣

Marcin Zasada

– publicysta, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”



Józef Krzyk

Z gołymi rękami na dżunglę

To nie będzie opowieść o sukcesie,
ale o ciężkiej pracy i ciągłych zmaganiach,
często zakończonych porażką.

Pierwsi Ślązacy do Brazylii zaczęli przyjeżdżać w latach 60. XIX wieku. W 1871 roku założyli koło Kurytyby osadę Pilarzinho, czyli po prostu Pielgrzymowice. Ta nazwa bardzo trafnie oddaje stosunek śląskich osadników do otaczającej ich rzeczywistości. Wszystko dla nich było obce i inne od tego, do czego przywykli w rodzinnych stronach. Zwabieni perspektywą zdobycia ziemi, której na Śląsku dramatycznie brakowało, w Paranie, stanie, którego Kurytyba jest stolicą, dowiedzieli się, że muszą sami pole pod uprawę wydrzeć dżungli. Ci, których nie było stać na zakup narzędzi, mieli tego dokonać prawie gołymi rękami.

Reporter polonijnej gazety, który w 1934 roku odwiedził jedną z kolonii w okolicach Kurytyby, ze zdziwieniem zauważył, że gospodarze używają do prac żniwnych fojso, czyli rodzaju sierpa. – W tej pracy chodzimy jak wół w kieracie i zabijamy się po prostu nadmierną robotą, a jeśli ziemia coś nam wreszcie wyda, to nie możemy wcale zbyć naszych produktów po dobrej cenie – tak skomentowano sytuację, w jakiej znajdowali się przybysze.

Nic dziwnego, że widząc takie zmagania sąsiedzi (zarówno już zadomowieni Brazylijczycy, jak i przybyli w podobnym czasie, co Ślązacy, imigranci z Włoch i Niemiec) natrząsali się z *Polaco burro*, czyli z głupich Polaków (nie czynili rozróżnienia między Ślązakami a ich pobratymcami z Galicji czy Kongresówki). Zamiast dostatniego życia pot i łzy, a przecież miało być tak pięknie.

Na własne ryzyko

O Brazylii jako kraju osiedlenia Górnoślązaków mówiło się przynajmniej od klęski głodu, jaka w latach 1847-1848 dotknęła znaczne tereny rejencji opolskiej. Sporadyczne wyjazdy zdarzały się też wcześniej – np. w 1821 roku w okolicach Lublińca do pracy w Brazylii werbował pewien agent emigracyjny. Władze ten proceder uznały za nielegalny i agenta aresztowano.

Paradoksalnie do tych planów wrócono, gdy Śląsk w granicach dopiero co zjednoczonych Niemiec miał się dużo lepiej. W 1872 roku pruski minister spraw wewnętrznych wydał okólnik, w którym napisał o planie przerwania ze Śląska do Brazylii kilku zorganizowanych grup, w sumie 40-50 tysięcy osób. Zainteresowanie tą popieraną przez władze akcją migracyjną okazało się jednak znikome – z szansy wyjazdu skorzystało nie więcej niż tysiąc mieszkańców Górnego Śląska. Większość z nich osiedliła się w okolicach Kurytyby, gdzie klimat, jak na warunki brazylijskie, najbardziej był zbliżony do tego, który znali z rodzinnych stron. W Paranie, niewiele mniejszej niż Polska w obecnych granicach, pod koniec XIX wieku mieszkało zaledwie kilkaset tysięcy osób. Władzom centralnym zależało na ściągnięciu nowych osadników, ale mile widziani byli przede wszystkim przybysze z zachodniej Europy, w ostateczności z Japonii, bo tacy mogli przyspieszyć rozwój cywilizacyjny kraju. Wszyscy pozostali, w tym również imigranci ze Śląska, traktowani byli jak siła robocza. Mieli zająć w hierarchii społecznej miejsce po uwolnionych pod koniec XIX wieku z niewolnictwa Murzynach (abolice w Brazylii wprowadzono w 1888 roku). I przyjeżdżali na własne ryzyko. Tak było zarówno w XIX wieku, jak i w okresie międzywojennym.

Na przekór nadziejom, jakie wiązali z wyjazdem, Ślązacy w Brazylii rzadko wyrwali się z biedy, ale ze względu na olbrzymie koszty podróży droga powrotu była dla nich praktycznie zamknięta. Niektórzy, widząc daremność swoich trudów w pierwszym miejscu osiedlenia, wybierali więc ucieczkę do przodu – wyruszali dalej w głąb kontynentu, w nadziei, że tam im się uda. – Podczas gdy polski osadnik trzebił puszcę w odległym interiorze, osadnik japoński, sadowiąc się na niewielkiej działce w pobliżu miasta i intensywnie ją uprawiając, szybko dochodził do dobrobytu – z przykrością zauważał ten sam reporter, który zostawił opis kolonii nieopodal Kurytyby.

Liga Morska i Kolonialna, organizacja wspierana przez polski rząd, która w latach 30. XX wieku chciała zapewnić Rzeczypospolitej zamorskie posiadłości, ubolewała, że gospodarstwa polskie (w tej liczbie też śląskie) są zacofane.

Pod tym względem w niczym nie różniła się sytuacja imigrantów ze Śląska w Argentynie, która była drugim po Brazylii, rzadziej wybieranym, celem osiedlenia. 12 lutego 1923 roku ukazujący się w Katowicach „Goniec Śląski” ostrzegał, by nie podejmować pochopnych decyzji: „Według informacji konsulatu polskiego w Buenos Aires nie ma

w Argentynie widoków na uzyskanie posad przez inteligentów obcokrajowych nie posiadających wykształcenia fachowego. Wszystkie posady biurowe rezerwowane są w Argentynie dla tubylców, a w wyjątkowych tylko wypadkach posadę taką uzyskać może cudzoziemiec władający doskonale językiem krajowym. Inteligent obcy po przybyciu do Argentyny bez znajomości języka musi się podejmować najcięższych nawet robót fizycznych. Nie ma także widoków i w Argentynie na stanowiska wiertniczych ani pomocników technicznych przy tamtejszych kopalniach nafty. Dlatego też nie należy wyjeżdżać bez poprzedniego zapewnienia sobie posady. Informacji udziela konsulat polski w Buenos Aires”.

Nie pokonał go nawet wąż

Rozproseni na olbrzymich przestrzeniach i rozczarowani z powodu warunków, w jakich przyszło im żyć, mieli przecież Ślązacy w Ameryce Południowej kogoś takiego, kim dla ich pobratymców w Teksasie był ks. Moczygamba. W Paranie podobną rolę spełnił Sebastian Woś. W 1868 roku, gdy z grupą kilkudziesięciu swoich sąsiadów ze wsi Siołkowice niedaleko Opola przyплыł do Buenos Aires, by dalej udać się do Brazylii, miał 24 lata. Był rolnikiem, jak większość przybyłych, ale ambicje i umiejętności pchały go dalej – w nowym kraju pracował jako budowniczy linii kolejowej, od prostego robotnika awansował do mierniczego i geodety, został też nauczycielem. Nie zważając na to, że pierwsza grupa z Siołkowic od początku zmagająca się w olbrzymimi trudnościami, Woś (wkrótce zaczął używać nazwiska Saporski) wysłał list, namawiając następnych do pójścia w ich ślady. Tymczasem na miejscu okazało się, że Ślązacy mają uprawiać ziemię, na której niedługo wcześniej połamali sobie zęby imigranci z Irlandii. Pewnego razu grupka zdesperowanych osadników poszła z pretensjami do prezydenta stanu. Venancio Lisboa nawet nie chciał z nimi rozmawiać. „Idźcie do Saporskiego” – oświadczył krótko.

Z każdym rokiem jego pozycja rosła. To on wpadł na pomysł, by do Europy (w tym również do Warszawy) wysyłać uprawianą w Paranie zieloną herbatę. Nie dały mu rady przeciwności losu – żółta febra, ukąszenie węża oraz powódź. Formalnym potwierdzeniem jego przywództwa nad śląską diasporą w Paranie stało się powierzenie mu w 1891 roku przez rząd stanowiska komisarza. Był współzałożycielem i wiceprezesem Towarzystwa Tadeusza Kościuszki, a także jednym z wydawców „Gazety Polskiej w Brazylii” – pierwszego takiego pisma. Utrzymywał kontakty z Towarzystwem Handlowo-

“

Na miejscu okazało się, że Ślązacy mają uprawiać ziemię, na której niedługo wcześniej połamali sobie zęby imigranci z Irlandii. Pewnego razu grupka zdesperowanych osadników poszła z pretensjami do prezydenta stanu. Venancio Lisboa nawet nie chciał z nimi rozmawiać.

Pojedyncze osoby ze Śląska dotarły do założonej w 1936 roku 450 km od Kurytyby kolonii Jagoda. Nazwali ją tak, na cześć córki Józefa Piłsudskiego, polscy osadnicy. Jednym z nich był prawdopodobnie Józef Faska, weteran powstań śląskich, który wyemigrował z Polski w połowie lat 20.



-Geograficznym we Lwowie i z Romanem Dmowskim, przed którym na 20 lat przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości roztoczył ideę podchwyconą pewnego dnia przez Ligę Morską i Kolonialną. Przez 11 lat był posłem w stanowym parlamencie. Odrodzona Rzeczpospolita w 1924 roku uhonorowała go orderem „Polonia Restituta”.

Nie tak łatwo mnie zabić

Pod koniec życia (zmarł w grudniu 1933 roku, miesiąca mu zabrakło do 90. urodzin) Saporski mógł czuć się człowiekiem spełnionym. Ale nie doczekał się nikogo, kto by zorganizował podobnie liczną, jak ta z przełomu lat 60. i 70. XIX wieku, śląską imigrację do Ameryki Południowej. W czasach II RP z województwa śląskiego do Ameryki Południowej wyjechało zaledwie około 300 osób. Dla porównania: z całej Polski – 17,5 tysiąca. Już nie Brazylia, jak za Saporskiego, ale Argentyna była głównym celem wędrówki, a około 30 osób wybrało też jako kraj osiedlenia Urugwaj.

Pojedyncze osoby ze Śląska dotarły do założonej w 1936 roku 450 km od Kurytyby kolonii Jagoda. Nazwali ją tak, na cześć córki Józefa Piłsudskiego, polscy osadnicy. Jednym z nich był prawdopodobnie Józef Faska, weteran powstań śląskich, który wyemigrował z Polski w połowie lat 20. Wśród rodzinnych pamiątek Fasków zachował się prospekt wydany przez Parańską Spółkę Kolonizacyjno-Handlową, organizację polską, która wykupiła ziemię pod kolonię. W prospekcie szczegółowo przedstawiono panujące w Jagodzie warunki, wyjaśniono, jaka tam panuje pogoda i jakie uprawy udają się najlepiej.

W rodzinie Jana Faski z pokolenia na pokolenie przekazano, że on sam podczas pobytu w Brazylii wdawał się w różnego rodzaju interesy, na których zazwyczaj tracił. Przez kilka lat zbierał jad dla Instituto Butantan w São Paulo, który produkował leki przeciw ukąszeniom węży. Jego żona z kolei prowadziła szkołę dla dzieci polskich emigrantów. W 1939 roku oboje wrócili na Śląsk. Byli prawdopodobnie jedynymi Ślązakami, którzy wybrali się za ocean i wrócili. Przyczyna była prozaiczna: dawny powstaniec śląski, widząc, że zbiera się na wojnę, nie chciał, by odbyła się bez niego. Dowodził samoobroną Katowic we wrześniu 1939 roku, ale szczęście go nie opuściło i przeżył. Właściwie nie powinno to dziwić – człowieka, któremu nie dała rady Ameryka Południowa, nie było chyba tak łatwo zabić. ■

Józef Krzyk

– publicysta, pracuje w katowickiej redakcji „Gazety Wyborczej”

Dawid Smolorz

Nad Sekwaną i Loarą

11

Francuska

Jeszcze zanim Max skończy siódmy rok życia, latem 1922 roku jego rodzinny Knurów wraz ze wschodnią częścią Górnego Śląska zostanie przyłączony do Rzeczypospolitej. Nowa granica będzie teraz biegła jakiś kilometr od górniczej kolonii, gdzie Max mieszka razem z rodzicami i rodzeństwem.

Leżący w zasięgu wzroku Szywałd, do którego starsze siostry chadzały na tańce, pozostanie niemiecki. Przynajmniej na razie. W Polsce Max będzie się nazywał Maksymilianem. Zmiana imienia nie wywoła jednak u niego większych emocji. Z dwóch powodów. Po pierwsze, najbliżsi i tak nazywają go Alfonsem. Jak mówi rodzinny przekaz, jeden z wujków, którego zadaniem było zarejestrowanie nowo narodzonego w *standesamcie* (urzędzie stanu cywilnego), udał się tam nie całkiem trzeźwy. I choć imię Alfons nie budziło wtedy na Górnym Śląsku tak nieprzyjemnych skojarzeń jak dziś, stwierdził, że do bratanka lepiej pasuje jednak Max. Jak się miało okazać, akcja ta na niewiele się zdała, bo imię to i tak się w rodzinie nie przyjęło.

Po drugie, zmiana imienia nie wzbudzi emocji dlatego, że Maksymilian brzmi bardziej po polsku niż Max. A rodzice Maxa/Maksymiliana i jego starsi bracia jednoznacznie poczuwają się do polskości. Co ciekawe: starsze siostry niekoniecznie. W odróżnieniu od tysięcy swych górnośląskich krajan – nawet części bliskich krewnych – Maks nie będzie miał wątpliwości natury etnicznej: zawsze będzie się czuł Polakiem.

W czerwcu 1922 roku w Knurowie pojawia się polska administracja. Rok później rodzina Maksa jednak opuszcza tak wyczekiwaną Rzeczpospolitą i wyjeżdża w nieznaną – do Francji. Czyżby nieprzyjemne zderzenie wyidealizowanych wyobrażeń z nową rzeczywistością? A może rozżalenie, że także po zmianie granic bogaci pozostali bogaci, a tym, którzy mieli niewiele, wcale się nie polepszyło?

Nie ma kokosów

Knurowską kopalnię, do tej pory państwową pruską, przejmuje polsko-francuska spółka Skarboferm. Francuscy pracodawcy namawiają górników do przeprowadzki nad Sekwanę i Loarę. Razem z rodziną Maksa, z samego tylko Knuruwa, wyjeżdża kilkaset osób. Z Mysłowic specjalnym pociągiem docierają do Paryża, gdzie rozdziela się ich do różnych okręgów przemysłowych.

Trafiają do zagłębia węglowego w Burgundii. Ośmiolatka początkowo dziwi wiele rzeczy: na przykład, że nazwę największego miasta w okolicy wymawia się *mąso*, ale żeby ją zapisać (Montceau), trzeba aż ośmiu liter. Jest także zdziwiony, że w ich nowym domu przez pierwsze lata używają lamp naftowych. W Knurowie mieli już przecież oświetlenie elektryczne. Jak to się ma do tego, że we Francji wszystko ma być lepsze? Ojciec i starsi bracia też nie są zachwyceni. Okazuje się, że górnośląskie kopalnie są jednak nowocześniejsze niż te w Burgundii. Warunki pracy w nowym miejscu są gorsze niż w Knurowie. I nie zarabia się tu kokosów.

Maks na początek idzie do szkoły, gdzie uczą go po francusku i po polsku. Ale edukacja nie trwa długo. Najpierw pracuje przy winobraniach, a jako trzynastolatek zjeżdża na swoją pierwszą szychtë. Od tej pory przez kolejne 40 lat jego życie będzie się dzieliło na to spędzane pod ziemią i na powierzchni.

W latach 20. i 30. górnicze osiedla Montceau-les-Mines są nawet w większym stopniu wieloetniczne niż Góry Śląsk. Ale tutejsza wielokulturowość jest świeższej daty. Poza Francuzami żyją tu Włosi, Czesi, a nawet Rosjanie, którzy jakimś cudem zdążyli uciec przed zamknięciem granic sowieckiego raju. Polaków jest dużo, nie da się ich nie zauważyć. Mają swoje szkoły, swoje organizacje i swoje nabożeństwa. Wśród polskojęzycznych mieszkańców, obok Górnoślązaków, dużą grupę stanowią *Westfaloki* – rodziny w większości o wielkopolskich korzeniach, które po kilkunasto- czy kilkudziesięcioletnim pobycie w Westfalii tutaj się właśnie przeniosły.

Pierwsi Arabowie z francuskich kolonii pojawiają się w tutejszych kopalniach dopiero w 1945 roku. I na razie nie będą mieli zamiaru zostawać tu na stałe, będą tylko chcieli zarobić tyle, żeby w Maroku czy Algierii móc sobie pozwolić na ożenek. W robotniczych koloniach nieporozumienia na tle etnicznym należą do rzadkości.

Do Polski albo Lotaryngii

Lata 30. naznaczone są kryzysem. Górnikom żyje się dość marnie. Większość z dziesiątki rodzeństwa Maksa pozostaje na razie we Francji, ale rodzina powoli zaczyna się rozjeżdżać. Jako pierwszy na Śląsk wraca starszy brat Wilhelm. Dystans prawie 1500 km pokonuje



CUICM, DOCUMENT ÉCOMUSÉE, REPRODUCTION D. BUSSEUIL

w większości pieszo. Kilka lat później podąża za nim ojciec – senior rodziny. Ten, który w 1923 roku zadecydował o wyjeździe z Knuruwa. Jeszcze przed wybuchem wojny do Polski wyjeżdża też siostra Tekla, rocznik 1901. Dwie inne starsze siostry, Elza i Emilia, przenoszą się do Lotaryngii.

W położonym na granicy z Niemcami regionie żyje się dostatniej. Jest tu też trochę jak w Knurowie. Tam na wyciągnięcie ręki były niemiecki Szywałd i Gliwice. Tu, po drugiej stronie rzeki, leży niemiecki Saarbrücken. Wychowane w cesarsko-niemieckich szkołach i mówiące biegle po niemiecku kobiety czują się tu bardziej swojsko niż w Burgundii. Starsza z nich, Emilia, mieszkając we francuskiej Lotaryngii do końca życia, na co dzień będzie się porozumiewała po niemiecku. Francuskiego nigdy się nie nauczy.

Ale Maks o wyjeździe nie myśli, choć nie jest łatwo. W 1935 roku poznaje Janinę, Polkę pięć lat młodszą od siebie, która mieszka w Burgundii od trzeciego roku życia. Oboje należą do komunizującego Czerwonego Harcerstwa. Także rodzina Janiny znalazła się tu w 1923 roku przygnana obietnicami o lepszym życiu. Urodziła się w Sosnowcu. We Francji związek Ślązaka i Zagłębianki nie budzi większych emocji. Młodzi pobierają się w 1938 roku i zamieszkują na swoim, w jednej z wielu robotniczych kolonii.

Inaczej niż na rodzinnym Górnym Śląsku, wśród tutejszych górników szeregą się idee komunistyczne. Maks aż do końca swego długiego życia pozostanie komunistą w wydaniu zachodnioeuropejskim – przekonany o swoich racjach, ale szanującym inne światopoglądy. Kościół katolicki nie ma dobrej opinii wśród tutejszych robotników. To nie jest Kościół ludowy, znany z Górnego Śląska, to Kościół, któremu bliżej do bogatych niż do zwykłych ludzi. Robotnicy odwracają się od niego gremialnie.

Westfaloki witają Wehrmacht

Kiedy w 1939 roku Niemcy i Związek Radziecki dzielą między siebie Polskę, a Francja wypowiada Hitlerowi wojnę, wśród Polaków w Burgundii robi się nerwowo. Ale kilkumiesięczny bezruch na niemiecko-francuskim froncie pozwala mieć nadzieję, że wszystko rozejdzie się

po kościach. W rodzinie Maksa nie ma wojskowych tradycji. Ojciec jako reklamowany górnik nie dostąpił wątpliwego zaszczytu nadstawiania karku za cesarza Wilhelma podczas I wojny. I dzięki temu uniknął strzelania do swoich przyszłych francuskich kolegów i sąsiadów.

Teraz, na wiosnę 1940 roku, wojsko puka jednak do drzwi Maksa i jego młodej żony, która jest w szóstym miesiącu ciąży. Niemcy zaatakowali francuskie pozycje, zdolni do służby mężczyźni z okolic Montceau mają się stawić w punkcie zbiorczym ok. 50 km na zachód od górniczego okręgu. Tam, na linii Loary, Francuzi chcą zorganizować nową linię obrony. Kiedy Maks z kilkoma znajomymi ze swojej miejscowości dociera na wyznaczone miejsce, są tam już Niemcy. Niedoświadczonych obrońców Francji rozpuszczają do domów. Gdy Wehrmacht zajmuje górnicze miejscowości Burgundii, część wychowanych nad Renem i Ruhrą polskojęzycznych *Westfalców* wita niemieckich żołnierzy kwiatami. Francuzi nigdy im tego nie zapomną.

Krótko po poddaniu Paryża Hitler dzieli kraj na część bezpośrednio okupowaną przez Niemcy i tzw. Wolną Francję, rządzoną przez kolaborantów z Vichy. Montceau i okolice znajdują się pod niemiecką okupacją, lecz granica Wolnej Francji przebiega kilkanaście kilometrów na południe. Niełatwe życie górniczych rodzin staje się jeszcze trudniejsze. Żywność jest reglamentowana, zaopatrzenie coraz gorsze. Za to w tzw. Wolnej Francji można bez większego problemu kupić towary, które pod okupacją uchodzą za rarytasy, na przykład cukier i mąkę. Miejscowi jeżdżą więc na szmugiel.

Podczas jednej z przemysłowych wypraw Maks przeżywa przygodę, jaka nie przyszłaby do głowy nawet twórcom brytyjskiego serialu *Allo, allo*, który w prześmiewczy sposób pokazuje wojenne perypetie Francuzów. Wracając wieczorem na rowerach obładowanych przemycenymi towarami, tuż po nielegalnym przekroczeniu granicy, całą grupą natyka się na niemiecki partol. Przemycnicy amatorzy już widzą się w obozie koncentracyjnym. Jednak niemiecki żołnierz oznajmia im łamaną francuszczyzną, że... jeśli jeszcze raz złapie ich po zmroku na nieoświetlonych rowerach, to wlepi im mandat.

Im dłużej trwa wojna, tym mniej jest przeżyć, które nadawałyby się do *Allo, allo*. Jesienią 1943 roku niemiecka policja bezpieczeństwa pod zarzutem sabotażu aresztuje

Alojza, dwa lata starszego brata Maksa. Alojz jest wprawdzie powiązany z ruchem oporu, ale akurat w tej akcji udziału nie bierze. Zanim w jego domu pojawi się policja, zaprzyjaźniony francuski żandarm – widząc, co się święci – radzi, by się ukrył. Alojz odmawia. Jest kawalerem. Obawia się, że Niemcy zastosują odpowiedzialność zbiorową i aresztują Maksa. A młodszy brat ma już przecież jedno dziecko, a drugie w drodze.

Alojz trafi najpierw do więzienia w Compiègne, potem do Buchenwaldu. W grudniu 1943 na świat przychodzi syn Maksa. Z chrzciniakami rodzina postanawia czekać do powrotu Alojza. Ten nigdy nie nastąpi, więc nigdy też nie odbędzie się chrzest.

„Brudne szwaby” jadą do Zabrze

We wrześniu 1944 roku Niemcy wycofują się z Montceau. Wkraczają Amerykanie. W Burgundii kończy się wojna. Rodzi się nadzieja na spokój i względny dostatek. Tymczasem pojawiają się wysłannicy polskiego rządu i namawiają górnicze rodziny do powrotu. Komunistyczna Polska? Dla Maksa to brzmi dobrze. W 1946 roku na Górny Śląsk wraca starsza siostra Gertruda. Osiedla się w Bytomiu. W listach słanych do Francji o zastanej w Polsce rzeczywistości nie pisze całej prawdy. Może się boi? Wie, że korespondencja mogła być cenzurowana?

Maks chce wracać. Jego żona, która całe życie spędziła we Francji, nie odnosi się do tego pomysłu z entuzjazmem. Przecież skończyła się wojna, jest wyraźnie lepiej. A poza tym właśnie dostali z kopalni duże i ładne mieszkanie. Ostatecznie Janina daje się jednak przekonać. Większą motywacją niż słyszane niejednokrotnie słowa, że „żona powinna pójść za mężem”, jest nieprzyjemna atmosfera, jaka zapanowała w okolicy. Okupacja popsuła stosunki z francuskimi sąsiadami. Za radosne powitanie, jakie Wehrmachtowi sprawili *Westfalcy*, obwinia się teraz wszystkich Polaków. Kiedy na jej dzieci coraz częściej wołają „sale boche” („brudny szwab”), Janina zaczyna mieć dość Francji.

W maju 1947 roku ruszają w drogę. Po tygodniowej podróży przez zrujnowane Niemcy i prawie niezniszczone Czechy docierają do przejścia granicznego w Międzyzlesiu, które jeszcze dwa lata wcześniej nazywało się Mittelwalde. Tam celników wzrusza trzyipółletni syn Maksa, śpiewający na granicy Mazurka Dąbrowskiego. Rodzina nie trafia jednak – jak planowała – do Bytomia, bo w tym czasie nie ma tam wolnych mieszkań.

Podobnie jak w 1923 roku, tak i tym razem rzeczywistość różni się z obietnicami. Pięćosobowa rodzina (bo jest w niej też sosnowiecka teściowa Maksa) ląduje w przykopalnianej klatce w zabrzańskiej dzielnicy Zaborze, w której przyjdzie jej żyć przez najbliższe dziewięć lat. Warunki fatalne. Maks rozpoczyna pracę w kopalni Zabrze-Wschód, a Janina, wystając w kolejkach, coraz bardziej tęskni za Francją. Polsko-komunistyczna rzeczywistość jest dla niej szokiem. Ale Maks nigdy nie będzie żałował, że wrócił. Będzie twierdził, że pracując w burgundzkich kopalniach, straciłby zdrowie i wzrok. Janina zaś nigdy nie przystosuje się do życia w Polsce.

Kiedy w latach 70. Maks przechodzi na emeryturę, zauważa, że – mimo złodziejskiego kursu, po jakim państwo wymienia francuskiego franka – dzięki prawie 20 latom pracowanym „u burgundzkich kapitalistów” jego emerytura znacznie przewyższa to, na co mogą liczyć inni górnośląscy górnicy.

Maks jeszcze dwa razy zobaczy Francję. W latach 70., razem z Janiną, odwiedza krewnych w Alzacji, Lotaryngii i w Paryżu. Na początku lat 90. sam jedzie „w swoje strony”. Ze starych znajomych nie ma tam już prawie nikogo. Nie ma też ani kopalń, ani nawet hałd.

Choć Maks nie będzie żałował powrotu na Śląsk, sentyment do Francji pozostanie mu na zawsze. Zresztą nie tylko jemu, także jego urodzonym w Burgundii dzieciom i części wnuków, które na świat przyjdą już w Polsce. W jego zabrzańskim mieszkaniu Francja będzie zawsze obecna. Do końca jego życia przetrwają przywiezione stamtąd młodzieńcze przyjaźnie, w domu będzie się piło francuskie trunki, często też będzie się gotowało po francusku. Jedną z głównych męskich rozrywek pozostanie gra w taroka, a wypowiedziane w jej trakcie hasła „cavalier” i „bez psa” brzmieć będą dla niewtajemniczonych jak jakieś magiczne zaklęcia z innego czasu i innego świata. ■

Dawid Smolorz
– publicysta, tłumacz



Roswitha Schieb

Śląskie ślady w Berlinie

Wraz z burzliwym rozwojem metropolii, który nastąpił po zjednoczeniu Niemiec w 1871 roku, Śląsk stał się najważniejszym zapleczem dla nowej stolicy cesarskiej Rzeszy. Region ten, należący od końca XVIII stulecia do Prus, dostarczał Berlinowi nie tylko siły roboczej, lecz także cennych surowców i materiałów budowlanych.



Charakterystyczne płyty z granitu, które do dziś tworzą większość berlińskich chodników, pochodzą z kamieniołomów Strzelina (Strehlen) i Strzegomia (Striegau). Ze Śląska do Berlina trafiały również niezliczone ilości cegły, bazaltu, granitu, piaskowca i marmuru, z których wybudowano setki monumentalnych budowli i pomników, a także jęczmień do produkcji berlińskiego piwa oraz cukier. Wielkie ceramiczne rury, z których zbudowano berlińską kanalizację, trafiały tu z Ziębic (Münsterberg), metalowe konstrukcje mostów i podwieszeń pod tory miejskiej kolejki pochodziły z Zielonej Góry (Grünberg), wyroby tekstylne z Kamiennej Góry (Landeshut), ulubiony likier ziołowy „Stonsdorfer”, drewno oraz wyroby ze szkła dostarczano z Karkonoszy (Riesengebirge), tytoń do żucia z Raciborza (Ratibor), cenione wyroby cukiernicze z Nysy (Neiße), maszyny rolnicze z Wrocławia (Breslau), słoiki na przetwory z Pieńska (Penzig), naczynia użytkowe z Bolesławca (Bunzlau) i Jesenika (Freiwalddau). Wysokiej jakości śląska porcelana docierała tu spod Wałbrzycha (Waldenburg), a cynk i węgiel z Górnego Śląska.

Prosto z Zabrze i okolic

Węgiel, potrzebny do oświetlenia berlińskich ulic, w całości trafiał tu prosto z Zabrze. Fritz Friedländer, pochodzący z Gliwic (Gleitwitz) magnat węgla kamiennego, należał ok. 1910 roku do najbogatszych przedsiębiorców w Berlinie. Po przyznaniu mu tytułu hrabiowskiego, już jako Fritz von Friedländer-Fuld zamieszkał w miejskim pałacyku w pobliżu Bramy Brandenburskiej przy Pariser Platz. Była to luksusowa posiadłość wyposażona w salę teatralną oraz kort tenisowy umieszczony na dachu. Jego sąsiadem po przekątnej placu był zamożny magnat ziemski i przemysłowy hrabia Henckel von Donnersmarck. Pałac innego śląskiego magnata, Hansa Heinricha XI księcia von Pleß (Pszczyna), stał przy ul. Wilhelmstraße, a zaraz obok swoją berlińską willę wybudował August Borsig, nazywany „królem lokomotyw”. Nie dziwi zatem, że w Berlinie na przełomie XIX i XX wieku mówiło się, że co drugi berlińczyk to Ślązak, choć według statystyk „tylko” co czwarty mieszkaniec tego miasta miał śląskie pochodzenie.

Od początku panowania Fryderyka II na Śląsku ta wzorowo zarządzana prowincja zyskiwała dla Berlina coraz większe znaczenie. Aby tamtejszą katolicką szlachtę jeszcze mocniej związać z Prusami, król nakazał budowę w centrum Berlina katedry św. Jadwigi, a jego następcy z coraz większym entuzjazmem odkrywali śląskie krajobrazy Karkonoszy.

Pod koniec XVIII i z początkiem XIX wieku śląskie wpływy w Berlinie były coraz bardziej wyraziste. Główną, reprezentacyjną ulicę miasta, Unter den Linden, spina nawet symboliczna śląska klamra: podczas gdy śląski architekt Carl Gotthard Langhans ok. 1790 roku po jej zachodniej stronie postawił Bramę Brandenburską, a jego syn, Carl Ferdinand Langhans, dokonał przebudowy pobliskiej opery, po wschodniej stronie ulicy w 1894 roku powstała berlińska Katedra. Pracami kierował Julius Carl Raschdorff, pochodzący z Pleß (Pszczyna).

Wraz z powstaniem śląskich tkaczy, w 1844 roku do Berlina dotarły ze Śląska nowe idee społeczne. Śląski malarz Adolph von Menzel utrwalił na swych płótnach ówczesny wizerunek Berlina i Fryderyka II, a na deskach berlińskich teatrów odbywały się premiery sztuk Gerharta Hauptmanna, często poruszające śląskie tematy.

Co ciekawe, także Ślązacy byli „ojcami” berlińskiego humoru: literacki pierwowzór Eckensteher Nante, do dziś rozpoznawalnej postaci symbolizującej tutejsze poczucie humoru, stworzył śląski poeta Karl von Holtei, a pochodzący z Wrocławia David Kalisch założył w mieście słynny tygodnik satyryczno-polityczny „Kladderadatsch”, którego wydawcą był mieszkający w Berlinie wrocławianin Ernst Dohm. Zarówno Dohm, Kalisch, jak i słynny krytyk teatralny Alfred Kerr pochodzili z rodzin zasymilowanych niemieckich Żydów Wrocławia. To ci właśnie Ślązacy importowali do Berlina błyskotliwe poczucie humoru. Miasto natomiast, niczym magnes, przyciągało niezliczonych śląskich pisarzy i artystów, naukowców i teologów. W Berlinie zamieszkal m.in.: Max Herrmann-Neiße i Franz Jung, Georg Heym, Arnold Zweig, August Scholtis, Ludwig

Meidner, Jochen Klepper czy Dietrich Bonhoeffer. Ich nagrobki oraz poświęcone im tablice rozsiane są po całym mieście. O działalności wielkich Ślązaków w Berlinie świadczy także ponad dwieście nazw ulic oraz kilka śląskich dzielnic. Na berlińskich cmentarzach obok dolnośląskich nazwisk, jak Giesel, Witzel, Zobel, znajdujemy wiele górnośląskich: Knossalla, Kaluza, Cimbollek, Skrobotz. Sporo kolejnych nazwisk przybyło, kiedy na przełomie roku 1945/46 do stolicy Niemiec trafiło wielu wypędzonych ze Śląska.

Importowana „dzika namiętność”

W powiedzeniu, że co drugi berlińczyk jest Ślązakiem, kryło się w początkach XX wieku przekonanie, że chodzi tu głównie o wrocławian. Jednak nie mniej znaczące były już wówczas wpływy Górnoślązaków, i to nie tylko w kontekście przemysłowym, lecz także kulturalnym. Choć na przykład romantyczny poeta Joseph von Eichendorff był sceptyczny wobec wielkomiejskiego Berlina, gdy w 1815 roku pisał: „Nie mogę w tym Berlinie znaleźć sobie żadnego miejsca. Wszystko tu jest mi obce: religia, przekonania polityczne (...), bo we wszystkim dostrzegam zbyt mało miłości”. Także Gustav Freytag narzekał w 1836 roku, że berlińskie ulice i place pozbawione są jakiegokolwiek piękna, a mieszkańców cechuje grubiańskość. Ale gdy w połowie XIX stulecia kolej żelazna połączyła Śląsk z Berlinem, kategorie piękna i romantyki przestały mieć dla atrakcyjności stolicy jakiegokolwiek znaczenie, a liczba śląskich emigrantów pobiła wszelkie rekordy.

Zresztą Gustav Freytag nie do końca miał rację, bowiem w ówczesnym Berlinie pięknych miejsc nie brakowało, m.in. dzięki dwóm górnośląskim rzeźbiarzom, Theodorowi Kalidemu i Augustowi Kissowi. Obaj urodzili się na początku 1800 roku i obaj byli synami inspektorów górnośląskich hut. Stworzone przez nich rzeźby pełne ekspresji, spośród których najbardziej znane w Berlinie to *Bachantka na panterze*, *Św. Jerzy zabijający smoka* oraz *Walcząca Amazonka jadąca na koniu ze skaczącą nań panterą*, zapewniły im miejsce w historii sztuki. Ekspertki podkreślają przy tym skłonność obu artystów do „barokowego zmysłu” i „dzikiej namiętności”, typowych „śląskich żywiołów”.

Mniej znaną dziś, ale pod koniec XIX wieku niesłychanie popularną postacią Berlina jest pochodząca z Gliwic Agnes Wabnitz. Od 1880 roku ta górnośląska dziewczyna była działaczką berlińskich związków zawodowych i aktywistką na rzecz praw kobiet. Dzięki jej niezwykłym umiejętnościom oratorskim szybko stała się wędrowną rzeczniczką pokrzywdzonych, co naraziło ją na konflikty z policją i urzędnikami państwowymi. Agitowała także przeciw Kościołowi, krytykując jego dwulicową moralność, oraz przywilejom *kaisera*, co skończyło się jej aresztowaniem i osadzeniem w zakładzie dla umysłowo chorych. Po zwolnieniu czekał ją kolejny areszt. Jednak uprzedzając fakty, Wabnitz w roku 1894 odebrała sobie życie na cmentarzu poległych w rewolucyjnych rozruchach z 1848 roku w berlińskiej dzielnicy Friedrichshain, co było nader symboliczną manifestacją jej niezależności.

Wabnitz cieszyła się wówczas tak wielką popularnością, że jej pogrzeb miał odbyć się w tajemnicy, by nie prowokować politycznych demonstracji w Berlinie. Te zabiegi władzy okazały się bezskuteczne. W ostatniej drodze towarzyszyło jej ponad 40 tysięcy ludzi, a więc więcej niż w czasie pogrzebu cesarza Wilhelma I. Wybierając śmierć samobójczą, Agnes Wabnitz w oczach niemieckich socjaldemokratów stała się ikoną ich ruchu.

Po I wojnie światowej dwóch śląskich autorów mieszkających w Berlinie wydało wyjątkowo znaczące książki dotyczące tematyki społeczno-politycznej i przemysłowej na Górnym Śląsku. Pierwszy z nich to pochodzący z Nysy Franz Jung, autor powieści *Gequältes Volk* (1927) (*Umęczony naród*), utrzymanej w stylu awangardowego socrealizmu. W tej antypowieści Jung, używając techniki montażu i przeplatając ze sobą obrazy strajków na kopalniach i konfliktów polsko-niemieckich na pograniczu, stworzył przejmującą panoramę społecznego upadku regionu, jaki nastąpił po Wielkiej Wojnie. Z kolei powieść Augusta Scholtisa *Ostwind. Roman der oberschlesischen Katastrophe* (*Wiatr od wschodu. Powieść o górnośląskiej katastrofie*) z 1932 roku wywołała w berlińskim środowisku literackim niebywałą sensację.



1	2
3	4
5	6

1. Fryderyk II podarował górnosłaskim katolikom plac pod budowę St.-Hedwigskirche (katedra św. Jadwigi), aby w stolicy kaiserowskiej Rzeszy podkreślić związki Prus z Górnym Śląskiem.
2. Dzieło Górnosłazaka Augusta Kißa stojące przed Altes Museum w centrum Berlina (*Walcząca Amazonka jadąca na koniu ze skaczącą nań panterą*).
3. Nazwa „Schlesischer Bahnhof” (Śląski Dworzec) została zamieniona jeszcze w czasach NRD na Ostbahnhof (Dworzec Wschodni) i tak już zostało do dzisiaj. Ale Rosjanie, którzy zajęli tę część Berlina w 1945 roku, z początku wiernie przetłumaczyli nazwę na język rosyjski.
4. Śląskie firmy dostarczały m.in. stal na potrzeby budowy miejskiej kolejki w Berlinie. Na zdjęciu metalowa konstrukcja ze stemplem firmy Beuchelt & Co. z Zielonej Góry.
5. Berliner Dom (Katedra Berlińska) z charakterystycznymi elementami neorenesansowymi i neobarokowymi została wybudowana w 1894 roku przez Juliusa Carla Raschdorffa pochodzącego z Pleß (Pszczyna).
6. Brama wjazdowa do berlińskiej fabryki „króla lokomotyw” Augusta Borsiga (Borsigwerke) mieszczącej się w dzielnicy Tegel.

Zdjęcia pochodzą z książki Roswithy Schieb *Jeder zweite Berliner. Schlesische Spuren an der Spree (Co drugi berlińczyk. Śląskie ślady nad Sprewą)*, wydanej nakładem Deutsches Kulturforum Östliches Europa w Poczdamie. Dziękujemy wydawcy za ich bezpłatne udostępnienie.

Z Tichau do Tychów

Jak potoczyły się berlińskie losy artystów rodem z Górnego Śląska po 1945 roku? Dla przykładu przywołajmy w tym miejscu dwie postaci. Pierwsza to urodzony w 1891 roku w Königshütte, dzisiejszym Chorzowie, umiarkowanie ekspresjonistyczny malarz Ludwig Peter Kowalski. Kształcił się we wrocławskiej Akademii Sztuki i Rzemiosła Artystycznego pod kierownictwem architekta oraz scenografa teatralnego i filmowego Hansa Poelziga. Od 1927 roku Kowalski kierował Akademią, jednak w 1934 roku naziści pozbawili go tego stanowiska. Niemal cały jego dorobek artystyczny strawił ogień w czasie walk o „Festung Breslau”, on sam z Wrocławia został wypędzony. W 1948 roku osiadł w Berlinie Zachodnim i z powodzeniem zrealizował tu wiele dzieł artystycznych, m.in. wielkie okna witrażowe w budynkach użyteczności publicznej, berlińskich teatrach i kościołach.

Druga artystyczna indywidualność to urodzony w 1904 roku w Beuthen (Bytomiu) Horst Stempel. Dzięki temu, że wyrósł w robotniczym środowisku górnosłaskiego okręgu przemysłowego, bardzo wcześnie zetknął się z problematyką społeczną. Już w latach 20. ubiegłego wieku, podczas studiów we wrocławskiej Akademii Sztuki i Rzemiosła Artystycznego nosił się z zamiarem namalowania monumentalnego dzieła z krajobrazem przemysłowym pt. *Górny Śląsk*. Po 1945 roku Stempel, mieszkający w Berlinie Wschodnim, wstąpił do SED i zbierał się z socrealizmem. Gdy w 1953 roku popadł w niełaskę, przeniósł się do zachodniej części Berlina, gdzie mieszkał i pracował do śmierci w 1975 roku. Atakowany był z obu stron granicznego kordonu. W ostatniej fazie swojej twórczości stworzył cykl obrazów pasywnych o niemal neoreligijnym przesłaniu, poddających ostrej krytyce budowę muru berlińskiego. Nie zadowoliwszy się ani po wschodniej, ani po zachodniej stronie muru, Stempel podjął artystyczną próbę przezwyciężenia podziałów i wrogości po obu stronach żelaznej kurtyny.

A jak wygląda to dziś? Wydaje się, że dopiero gdy powstanie nowa jakość stabilnej, a jednocześnie różnorodnej tożsamości dzisiejszych Ślązaków, śląskie wpływy w Berlinie ponownie wzrosną. Mały przedsmak takiego twórczego, śląskiego potencjału możemy w stolicy Niemiec zaobserwować już teraz, gdy spojrzymy na sztyl uliczny z napisem: Tychyer StraÙe (Tychy zwały się niegdyś Tichau). W 1926 roku jednej z ulic berlińskiej dzielnicy Karow nadano nazwę tego górnosłaskiego miasta przemysłowego: Tichauer StraÙe. Od 1992 roku polskie Tychy są miastem partnerskim berlińskiej dzielnicy Marzahn i właśnie z tej okazji w 2002 roku jednej z tutejszych ulic nadano nazwę Tychyer StraÙe. Taka dwutorowość – z jednej strony Tichauer StraÙe, z drugiej Tychyer StraÙe – może stanowić akceptowalny model na przyszłość, w którym zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości przysnaje się prawo do istnienia.

A jeśli będąc w Berlinie zerkniemy w kierunku Szprewy czy Haweli, to co chwila ujrzymy jakąś obławowaną węglem śląską baręk, która przybyła tu z Breslau (Wrocławia) czy Kandrzin-Cosel (Kędzierzyna-Koźla). Nawet w najbardziej ponurym okresie zimnej wojny, gdy istniał jeszcze mur berliński, ta rzeczna trasa funkcjonowała, dostarczając do Berlina niezliczone ładunki czarnego złota. Dziś wciąż pełni tę samą funkcję. ■

Tłumaczenie: **Marcin Wiatr**

Roswitha Schieb

– pochodząca z Recklinghausen pisarka i eseistka, autorka szkiców i książek m.in. o Rugii, Galicji, Śląsku i Wrocławiu oraz twórczości teatralnej Petera Steina

Śląskość? Rozpływa się...

z CORNELIUSEM OCHMANNEM
rozmawia BARTOSZ T. WIELIŃSKI



BARTOSZ T. WIELIŃSKI

„Śląsk” – to region w środku Europy, w historii którego na przestrzeni wieków obserwować można wymianę kultury, wiedzy i idei między Zachodem a Wschodem kontynentu. Choć pod względem politycznym i państwowym był on zawsze częścią jednego z sąsiadujących państw, w sumie ten na pewno już od średniowiecza swój niepowtarzalny charakter. To powodowało także, że jego historia była ciągle przedstawiana i przepisywana w różnych kontekstach.

„Historia Górnego Śląska” jest książką obejmującą szeroko historię i kulturę Górnego Śląska od wczesnego osiedlenia aż do teraźniejszości oraz łącząca po raz pierwszy różne perspektywy. Napisał ją autorzy z trzech krajów, do których historycznie Górny Śląsk najbliżej należał. Na pierwszy plan nie wysunął jednak konfliktów z sąsiadami, lecz wymiar z nimi. W ten sposób powstał podręcznik zarówno pouczający, jak i zasmakujący, pokazujący jednocześnie czytelnikowi, w jaki sposób historia regionu mogła być wykorzystywana do sformułowania rozważań politycznych.

Upadek systemu sowieckiego w Europie środkowej i wschodniej w latach 1989-1990 przyczynił się znacznie do podjęcia na nowo rozmów i dyskusji o Górnym Śląsku – tym razem otwarcie i bez panującej przez wiele dekad niechęci i nieufności wobec własnych sąsiadów. Pojawiające się dzisiaj kontrowersje

Historia
Górnego
Śląska

Polityka,
gospodarka
i kultura
europejskiego
regionu



Historia
Górnego
Śląska

Polityka,
gospodarka
i kultura
europejskiego
regionu

Fabryka Silesia
KWARTAŁNIA

Kim są dziś Ślązacy w Niemczech?

Zależy, o jakim pokoleniu mówimy. Starsze generacje, czyli ludzie, którzy jako dzieci zimą roku 1945 uciekli ze Śląska przed Armią Czerwoną albo kilka miesięcy później zostali stamtąd deportowani, swoją śląskość kultywują. To aktywni członkowie ziomkostwa, zaangażowani społecznie. Ale śląskość młodszego pokolenia, czyli przesiedleńców z lat 70. i 80., rozplynęła się. Ci Ślązacy się doskonale zasymilowali. Można z przekąsem powiedzieć, że jak żadna inna grupa imigrantów. Ich dzieci z dawnym *heimatem* nie czują żadnych związków. Rzadko mówią o sobie, że są Ślązakami. Przesiedleńcy z czasów Gierka nie utożsamiali się z ziomkostwem, czyli organizacjami, które były polityczną reprezentacją Ślązaków. Przepaść między jedną a drugą grupą była gigantyczna. Dochodziło nawet do sytuacji, że ci Ślązacy wchodzili na orbitę niemieckich organizacji polonijnych.

W tamtych czasach żartowano, że do wyjazdu do Niemiec wystarczy rodowód owczarka niemieckiego...

Wówczas Niemcom chodziło o szybkie ściągnięcie zapisanej w umowie Gierek-Schmidt liczby 150 tysięcy osób. Bonn potrzebowało siły roboczej, przybyszy nie prześwietlano. Wystarczyło podać, że dziadek służył w Wehrmachcie, albo innych krewnych z niemieckimi koneksjami i dostawało się dokumenty. Po przybyciu do Niemiec wypłacano odszkodowanie za pozostawiony w Polsce majątek. Ludzie deklarowali, że zostawili piękne, duże domy. Dostawali od państwa małe fortuny. A czasami zdarzało się, że w rzeczywistości chodziło o małą rudę. Ale niemiecka machina biurokratyczna też tego nie sprawdzała. Zresztą nie miała jak.

Śląskie ziomkostwa, mimo że nie działali w nich ludzie, którzy przybyli do Niemiec później, były jednak potęgą.

Owszem, przy niemieckim rządzie działało nawet ministerstwo ds. wypędzonych. Ale z czasem wpływy malały. A po zjednoczeniu Niemiec i ostatecznym uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, czasy, gdy wypędzeni mogli sterować polityką niemieckiego rządu, skończyły się. Oni sami byli tego świadomi. Dlatego tak ostro protestowali na początku lat 90. przeciwko ratyfikacji polsko-niemieckich traktatów. Tematu bał się nawet kanclerz Helmut Kohl, który w pierwszej po zjednoczeniu Niemiec kampanii wyborczej w 1990 o granicy nie powiedział ani słowa.

Niemieckim Ślązakom z ziomkostw wydawało się, że odzyskają dawny *heimat*?

Nie sądzę, by wówczas ktokolwiek poważny robił sobie takie miraż. Granice były nie do zmiany. Chodziło o to, by wytargować jak największe korzyści.

Mówił Pan, że wypędzeni stracili znaczenie. A Erika Steinbach, szefowa Związku Wypędzonych?

Sprawa Steinbach i Centrum Przeciw Wypędzeniom (placówki dokumentującej powojenne deportacje Niemców, prowadzonej przez działaczy Związku Wypędzonych, która według planów Steinbach miała powstać w Berlinie) została rozdmuchana przez polskie i niemieckie media. Gdyby Steinbach miała faktycznie tak wielki wpływ, jej pomysł zostałby zrealizowany. Kwestię upamiętnienia wypędzeń wziął na siebie niemiecki rząd. I to on gwarantuje, że nie dojdzie do żadnego manipulowania historią. Mieliśmy szczęście, że działaczom śląskich ziomkostw nie udało się wtedy zablokować polsko-niemieckiego pojednania. Bo działające w Bawarii ziomkostwa Niemców sudeckich nie straciły na znaczeniu, utrzymując wielki wpływ na prawe skrzydło tamtejszej chadecji. W niemiecko-czeskich stosunkach nigdy nie było takiego symbolicznego wydarzenia jak msza pojednania w Krzyżowej. Dopiero w ostatnich latach udało się wyjść na prostą.

Czy przyznaje się Pan, że jest Ślązakiem?

Owszem. Gdy w latach 80. mówiłem: „ich komme aus Oberschlesien”, od razu pytano mnie, czy działam w ziomkostwie. Bo to wówczas oznaczało to samo. Dziś nie ma żadnego znaczenia.

Fabryka Silesia
KWARTAŁNIA

Ślązacy w Niemczech nie są elitami...

Nie upraszczajmy. Wśród ludzi, którzy przybyli ze Śląska zaraz po wojnie, było wielu mieszczan. W swoich *heimatach* byli właśnie członkami elit, mieli własne domy, działali w organizacjach społecznych czy kościelnych. W nowych miastach starali się ten status odbudować. Emigracja z lat 70. była już typowo robotnicza. Przesiedleńców ze Śląska przerzucano na ogół do Zagłębia Ruhry, bo tam potrzebowano siły roboczej w kopalniach, hutach, fabrykach. Rynek pracy wchłonął wszystkich.

Niemcom chyba nie zależało, by Ślązacy byli czymś więcej niż robotnikami.

Nie do końca. Działo przecież Otto Benecke Stiftung, fundacja, której zadaniem było wspieranie przesiedleńców. Płaciła za kursy językowe, pomagała uzupełniać wykształcenie, dawała stypendia. Wielu ludzi z tego korzystało. Nie można więc powiedzieć, że wszyscy Ślązacy musieli pracować fizycznie. Do Niemiec wyjeżdżało się, by zacząć godziwie żyć, zarabiać w *dojczmarkach*, jakoś się ustawić, stanąć na nogi. A pójście na studia oznaczało, że na pierwszą porządną wypłatę trzeba będzie poczekać kilka lat. Dla przeciętnego imigranta ze Śląska nie było to interesujące rozwiązanie. Co gorsza, Ślązacy nie stworzyli żadnego niezwiązanego z ziomkostwami ośrodka, który by ich konsolidował. To też rzutowało na ich pozycję społeczną.

Czyli Ślązacy poza Śląskiem pozostali „dupowaci”...

To typowe zachowanie dla ludzi pochodzących z okręgów przemysłowych. W Niemczech jest podobnie. Dzieci robotników zostają robotnikami. Status społeczny się dziedziczy, co jest oczywiście fatalne. Ja sam we własnej rodzinie słyszałem, że najważniejsze dla młodego człowieka jest szybkie usamodzielnienie się i zdobycie porządnego zawodu. Jak ktoś chciał się wbrew temu kształcić, nie miał w rodzinie wsparcia.

Wyjechał Pan ze Śląska w latach 80. Od tego czasu wiele się zmieniło. A co pozostaje takie samo?

Rola Kościoła w lokalnych społecznościach i znaczenie więzi rodzinnych. Siła rodziny jest typowa dla społeczności, które przeszły przez polityczne i społeczne zawirowania. Zmieniły się granice, zmienili się sąsiedzi, ludzie rozjechali się po świecie. Zostaje rodzina, która jest niezmienna, zawsze pomaga. To jest to śląskie spoiwo, które ciągle trzyma.

A jak z perspektywy Niemiec patrzy się na polsko-śląskie spory o język, tożsamość, autonomię?

Tego tematu nie ma ani w mediach, ani w polityce. Opinia publiczna się tym nie interesuje. Śląsk jest postrzegany jako część Polski i to, co się tam dzieje, jest uważane za wewnętrzny polski problem. Sporo się u nas za to mówi o mniejszości niemieckiej z Rumunii. To efekt literackiego Nobla, który w 2009 roku dostała pochodząca z Banatu Herta Mueller.

Jak Pan zareagował na słynne słowa Jarosława Kaczyńskiego o tym, że Ślązacy to ukryta opcja niemiecka?

To było obraźliwe dla tysięcy Ślązaków, którzy opowiadali się za Polską. Przecież ta opcja dominowała jeszcze w dobie plebiscytu. Ślązacy chcieli się z Polską związać, oczekiwali jedynie autonomii. To nie upoważnia nikogo, by ich tak określać. To, co powiedział Kaczyński, było niesprawiedliwe.

Jaka przyszłość czeka Śląsk? Upadnie jak niektóre miasta Zagłębia Ruhry?

Dlaczego ma upaść? Górny Śląsk to jeden z najintensywniej rozwijających się regionów Polski. Jest tu dużo inwestycji, a wskaźnik bezrobocia jest relatywnie niski. Perspektywy są więc dobre, choć na pewno obok dynamicznie rozwijających się Gliwic są też takie miasta, jak podziurawiony uszkodami górniczymi Bytom. Niemieckie Gelsenkirchen, traktowane jak czarna dziura, też się podnosi.



Sila rodziny jest typowa dla społeczności, które przeszły przez polityczne i społeczne zawirowania. Zmieniły się granice, zmienili się sąsiedzi, ludzie rozjechali się po świecie. Zostaje rodzina, która jest niezmienna, zawsze pomaga. To jest to śląskie spoiwo, które ciągle trzyma.

Napawa nadzieją rozwijająca się śląska tożsamość. Nie trzeba już opowiadać się za którymś z wielkich narodów, dziś chodzi o wzmacnianie więzi z regionem. Można krytykować nowe Muzeum Śląskie za to, jak opowiada historię Górnego Śląska, ale przecież ono działa i tę tożsamość wzmacnia. Dziwi mnie jednak, że z dyskusji publicznej wyeliminowano wątek czeski, bo przecież Śląsk przez większą część historii był pod czeskim, a potem pod austriackim panowaniem. Dopiero niedawno Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach wydał historię regionu widzianą z trzech perspektyw. Oczywiście, nie ujednolicono jej, tylko opowiedziano ją z różnych punktów widzenia i wyjaśniono, skąd się wzięły. Niebawem książka ta zostanie wydana po niemiecku w prestiżowym wydawnictwie. Spodziewam się ciekawej dyskusji. ■

Cornelius Ochmann

– pochodzący z Gliwic analityk, specjalista ds. polityki europejskiej, relacji UE-Rosja oraz Polski, Rosji, Ukrainy, Białorusi, od 2013 roku dyrektor Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej

Bartosz T. Wieliński

– dziennikarz działu zagranicznego „Gazety Wyborczej”, w latach 2005-2009 korespondent w Berlinie

Nasi Cyganie

Grażyna Kuźnik

– Izoldka, kaj to sie tak uwijosz?
– pytają sklepowe w Orzegowie Izoldę
Kwiek, gdy wbiega rano
po butki. Często w zamaszystej
spódnicy, kwiat wpięty w rozpuszczone
włosy, w palcach papieros; kiedy
indziej żakiet i kok. Są ciekawe, bo
u Izoldy zawsze się coś dzieje. Może
będzie tłumaczyć w sądzie, recytować
wiersze, albo ma sprawę w szkole,
gdzie jest romską asystentką.
– Ale z ciebie gryfno frela – chwalą
Izoldę w jarzynowym.

ARKADIUSZ GOLA



W rudzkim Orzegowie, między labiryntami fami-
loków, w kamienicy na parterze, Izolda mieszka od
pół wieku. Należy do pierwszego pokolenia Romów,
które nie wychowało się w taborze. Jej rodzice osie-
dli tutaj wśród Ślązaków, po zakazie wędrówek
wozami w 1964 roku. Sąsiedzi rano szli na *gruba*,
Romowie do handlu, do bielenia kotłów. Wśród
górników Romów nie było.

– To sprawa tradycji – mówi Izolda, poetka i prezes
Stowarzyszenia Romów Gandi. – Kodeks romanipen
zakazuje nam pewnych zawodów. Tych związanych
z ziemią, czyli w kopalni, na roli, także w szpitalach,
przy nieczystościach i w policji. Ale to się zmienia,
bo stare zawody cygańskie znikają.

W Zabrze i Bytomiu pojawiły się plakaty z po-
stacią Roma górnika. Rafał Siwak z Lubina wziął
udział w akcji „Jedni z wielu” i dał się sfotogra-
fować w górniczym mundurze. Mówi o sobie, że
dobrze się uczył, po liceum nie mógł znaleźć pracy,
spróbował w kopalni. Najpierw dostał kilof, teraz
obsługuje maszynę, która rozbija urobek. Na dole
pracuje razem z nim inny Rom, po technikum. Nikt
ich za pracę pod ziemią nie wykluczył z romskiej
społeczności, nie potępił, inni górnicy przyjęli to
zwykajnie. Izolda jednak nie zna takiego Roma.

– Śpiewaliśmy i graliśmy, jak kolorowe mo-
tyle. Mój ojciec miał pieniądze, handlował na
dużą skalę, pochodził z królewskiego rodu, bo
jego dziadek Janusz Kwiek był królem Cyga-
nów. Koronowano go w 1937 roku na stadionie
w Warszawie. My Cyganie z Orzegowa nigdy
nie kradliśmy – zaznacza Izolda. Ale wzdycha,
że z Romami z Rumunii, Bułgarii, Węgier bywa
różnie. Dobrze o tym wie, bo w sądzie tłumaczy
ich sprawy.

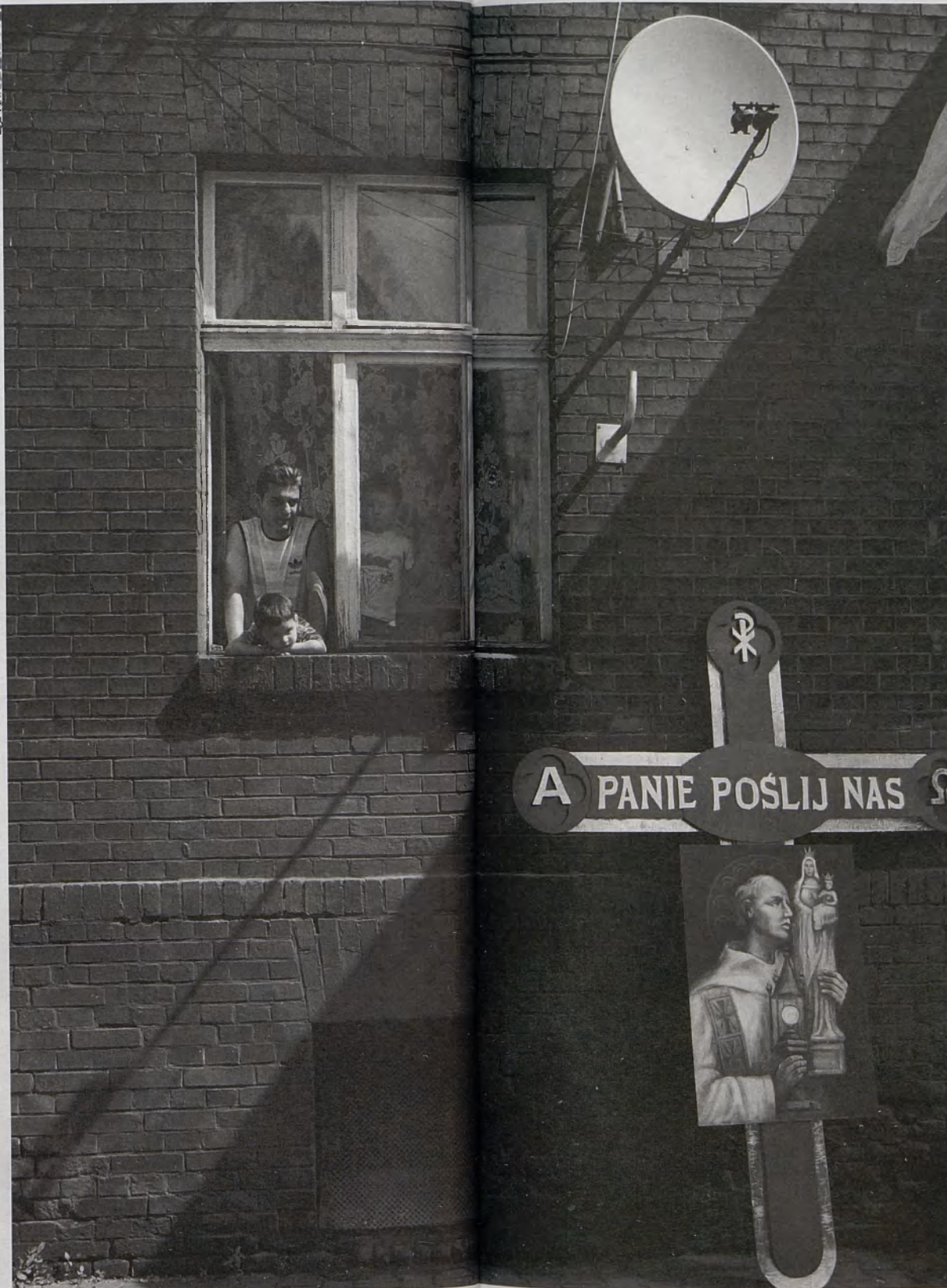
Ludzie na przystanku w Orzegowie mówią: –
Tak, tak, Cyganie, wiadomo. Ale nasi są inni. My
mamy Izoldę, która pisze wiersze. Tam, na War-
sawskiej mieszka.

„Nie pójde już do czarnych lasów”

Izolda może być Romką, ale słyszy czasem „pani
Cyganko”, podoba jej się; brzmi jak dźwięk kol-
czyków. Zawsze podkreśla, że mieszka w Orze-
gowie i nigdzie indziej nie jest u siebie. Wyjechała
kiedyś do Niemiec, zapadła ciężko na zdrowiu.
To była tęsknota, nostalgia; jedyne lekarstwo
– wrócić na swoją orzegowską ulicę, między fa-
miloki. Tu chce jej się pisać wiersze. Mówi we
wszystkich romskich dialektach, po polsku i bie-
gle w śląskiej *godce*.

W dużym mieszkaniu na Warszawskiej kręci się
rodzina; wszystkie okna otwarte na oścież, przy-

ARKADIUSZ GOLA



najmniej tyle przestrzeni, gdy nie ma taborów. Izolda woli te okna
i własny kąt niż kolorowe wozy.

– Rodzice do nich tęsknili, ale co to było za życie. Kiedyś podczas
zjazdu Romów nocowałam w taborze, myślałam, że będzie pięknie
– wspomina Izolda. – Komary mnie pogryzły, wstałam obolała, okrop-
na niewygoda.

Cygańska poetka Papusza pisała: „Nie pójde już do czarnych la-
sów/, tam gdzie dawno jeździli Cyganie./ Dzieci proszą chleba, namiot
mój podarty cały,/ nie ma wody ani chleba./ Jest tylko las i ciemne
niebo./Przeklęte niech będą te drogi”.

Izolda pali papierosa w ładnie urządzonej sypialni, wietrzy się
wykrochmalona pościel; chce mieć chwilę dla siebie, ale bez niej nic
się nie obędzie. Jej siostra piecze *kołocz*, dopytuje, czy dobrze robi *po-
sypkę*, bo Izolda wszystko wie najlepiej. – Dużo masła, cukier, żółtka,
no przecież wiesz! – woła Izolda. Kuchnię śląską ma w jednym palcu.

Kiedy była żywą książką do wypożyczenia w Rudzie Śląskiej, odpo-
wiadała na wiele pytań. To akcja wymyślona przez duńską organizację
„Stop przemocy”, wspierana przez Radę Europy. Kilka osób z różnych
mniejszości spotyka się w bibliotekach z czytelnikami, można sobie ko-
goś zamówić na osobną pogawędkę. Rudzianie prosili o romską poetkę;
często nigdy dotąd nie rozmawiali w cztery oczy z żadnym Romem.

– Mało o nas wiedzieli, chociaż tyle lat żyjemy obok siebie. Często
pytali o to, co gotuję, o czym, w jakim języku piszę, przede wszystkim
o to, kim jestem. Mam na to odpowiedź; jestem na sto procent Cy-
ganką, na sto procent Polką i na sto procent Ślązaczką – mówi Izolda.
– A wiersze piszę po polsku.

Oprócz niej można było wtedy wypożyczyć na rozmowę geja, bez-
domnego, człowieka w tatuażach, niepełnosprawnego, Żydówkę oraz
kibiców Górnika Zabrze i Ruchu Chorzów. Opowiadali o tym, jak lu-
dzie patrzą na nich i widzą, co chcą widzieć.

„Chcemy dnia śląskiego, nie pikniku romskiego”

W jakiś czas potem kibice Ruchu wpadli na romski piknik w Siemia-
nowicach ze śpiewem: „Chcemy dnia śląskiego, nie pikniku romskie-
go”, „Nie pracujecie, nie piknikujecie”. Zebrani uciekają, zespół Forte
Roma jest w szoku, przerywa występ. Na portalu Wolne Siemianowice
kibice Ruchu tłumaczą, że „Siemianowice są śląskie, a nie romskie”.
Piszą: „Nie będziemy tolerować faworyzowania pomieszkujących w na-
szym mieście cyganów, którym się nie chce pracować, którzy myślą, że
wszystko należy im się na tacy”. Cytują angielskiego pisarza Gilberta
Keitha Chestertona: „Tolerancja jest cnotą ludzi bez przekonań”. Kibice
Ruchu ciągną: „I właśnie w myśl tych przekonań, lokalnego patrioty-
zmu i wyrażania własnego zdania romski piknik został odwołany”.

Międzynarodowy Zespół Muzyki Cygańskiej „Forte Roma” wie, że
nikt nie odwołał pikniku, tylko go rozpędził. Na swojej stronie umieszcza
list: „Dziękujemy wszystkim ludziom z Siemianowic Śląskich: Po-
lakom i Romom, że przyszli na nasz koncert, że razem z nami przeży-
wali zgotowane nam piekło, które dzięki Bogu przeżyliśmy wspólnie.
Szczepimy się i kochamy, bądźmy normalnymi, mądrymi ludźmi”.

– Mój syn też jest kibicem, to nieprawda, że kibole ze śląskich klubów
to wrogowie Romów. To zrobili jacyś pojedynczy ludzie – mówi Izolda.

Kibice Górnika odżegnali się od manifestacji antyromskiej, do
której doszło w ubiegłym roku w Zabrze. Ale organizatorzy z Naro-

dowego Odrodzenia Polski dziękują im publicznie za to, że pojawili się na wiecu. Klub tłumaczy, że jeśli ktoś tam przyszedł, to tylko we własnym imieniu. Manifestację urządzili młodzi ludzie; żądali wprowadzenia godziny policyjnej dla Romów, wyrzucenia ich z miasta. Związek Romów Polskich obawia się nastrojów na Śląsku, prosi o interwencję Fundację Klamra z Żywca. Pomagała już wcześniej żywieckim Romom z osiedla Kabaty, gdy wybijano im szyby w oknach. Uspokoiło się.

– Te antyromskie wybryki to sprawa upolitycznienia regionu, większej aktywności skrajnie narodowych środowisk, a nie ksenofobii Ślązaków – uważa Dariusz Paczkowski, prezes Klamry. – Gdyby na Śląsku byli Żydzi, to oni by poszli na pierwszy ogień. Pod ręką są Romowie, barwni, widoczni. Jedyne wyjście to niestrudzona edukacja, poznawanie się i pewność, że winni przestępstw z nienawiści będą ukarani.

Nie tak łatwo zmienić się i Romom, i tym, wśród których mieszkają.

– Widział fto Cygona w robocie? – pyta ktoś na jednym ze śląskich forów. Jest odpowiedź: „Ja, jo widział. Nie obrażaj ludzi, bo to nie po katolicku, nie słyszołeś farorza, co wom co niedziela godo to samo, a wy nic”.

Na przykład abp Alfons Nossol: „Jakie to bolesne, że nie ma zrozumienia dla Romów. Owszem, mentalność jest inna, inna kultura, ale przecież na Śląsku mamy coś wyjątkowego. Dla nas inność nie jest obcością. Przy spotkaniu inności dochodzi do wymiany darów. Tak wiele możemy się od naszych mniejszości nauczyć”.

Zdaniem Paczkowskiego młodsze pokolenie Romów już wie, że nie da się żyć bez szkoły. Romka Karolina Burińska, uczennica żywieckiego gimnazjum, wygrała ogólnopolski konkurs dla uzdolnionych uczniów romskich; zostanie stypendium od ministra. Wspierała ją w staraniach Klamra. 12-letni Santiago Gil, który zajął trzecie miejsce w finale programu „Mam talent”, jest gwiazdą nie tylko w Zabrze.

– A ile jest takich romskich dzieci jak oni, tylko nikt nie zwrócił uwagi na ich zdolności? – zastanawia się Paczkowski. – Tym dzieciom jest naprawdę trudno wyrwać się z tradycji, w której nauka z książek nie przynosi chleba.

Kto nie lubi gorola?

Podobnie było u Ślązaków. Chłopak z górniczej rodziny miał jedną drogę, do kopalni. Ślązaczka – dom i dzieci. Nieliczni potrafili się sprzeciwić, skończyć średnią szkołę, studia.

Latem przed śląskimi galeriami handlowymi stanął wielki baner z tytułem: „Co to znaczy być Ślązakiem?”. Pomysł pewnego producenta piwa. Ludzie wpisywali, co im na szybko przyszło do głowy. Ważna jest kuchnia: „Ślązak je rolady z kluskami i *modrom kapustom*”. Obok opinii „Jest lepszy od *gorola*” znaleźć można zdanie: „Mieszkanka kultury – gatunek wartościowy”. Jednak przepis na Ślązaka jest prosty: „Uczciwy, fedruje na *grubie*, je *sznitę* z *tustym*, *godo* po śląsku i nie lubi *gorola*”.

Może nie lubi *gorola*, czyli obcego, ale nie tego, którego zna.

– Dobrze nam żyje się ze Ślązakami – zapewnia Władysław Kwiatkowski, prezes Stowarzyszenia Romów w Gliwicach. – Zdarzają się trudne sytuacje, ale rzadko. Kiedy bliżej się poznajemy, jest lepiej. Często nie wiedzą, że są różne grupy Romów, tacy, którzy żyją tutaj od dawna i przyjezdni. Czasem Rom spotyka Roma na ulicy i nie mogą się dogadać, bo mówią inaczej. Ja czuję się Ślązakiem, czy ktoś tego chce czy nie. Dlatego, że mieszkam na Śląsku, chcę dla niego jak najlepiej, kocham ten region.

Dr hab. Marian Grzegorz Gerlich z Uniwersytetu Wrocławskiego, etnograf, cyganolog, autor książki *Romowie. Przekraczanie granic własnego świata*, były dyrektor Muzeum Miejskiego w Zabrze, zauważa, że cały świat składa się z tych, którzy czują się lepsi od innych.

– We Wrocławiu słyszę czasem: pisz Górnoślązak, a nie Ślązak, bo nie chodzi o nas – przyznaje prof. Gerlich. – Mieszkańcy Dolnego Śląska mają pewne poczucie wyższości wobec Górnego. Bo Dolnoślązacy są bliżej Zachodu, dla nich nie liczy się tylko fizyczna praca w kopalni. Są więc podziały nawet wśród samych Ślązaków, a co dopiero pośród ludności w regionie, która składa się z tylu przybyszów.

O Romach, jego zdaniem, zwykły mieszkaniec regionu wie niewiele. Łatwo wpakować wszystkich do jednego worka. A w Polsce są cztery grupy Romów. Taborzy Bergitka Roma od dawna zmierzały z okolic Karpát i Węgier na Śląsk, dość wcześnie zaczęły się tutaj osiedlać. Jak kiedyś wędrowali, opowiada „Katolik” w historii z 1904 roku. Grupa ośmiu Cyganów z dziećmi zamarzyła na śmierć pod śląską wsią, bo ludzie pozwolili wejść do chaty tylko pojedynczym kobietom. Dają im chleb, odzież, ale „nikt dłużej ich nie chciał gościć u siebie, bo się wszyscy cyganie kupy trzymali, a takiej hałastu gromadnej każdy się obawiał”. Wieśniacy tłumaczą sobie, że „oni już nauczeni takim życiem i nic im bieda nie zrobi”. Rano znajdują martwych ludzi wokół wygasłego ogniska.

Druga grupa to Polska Roma, najliczniejsza w kraju, która uciekła tu z terenu Niemiec przed prześladowaniami. Pod koniec XIX wieku pojawili się też Kełderasze, czyli kotlarze z Mołdawii, i Lowarzy, koniarze z Węgier, na Śląsku nieliczni.

– Romowie w Polsce są prawnie uznani za mniejszość, a Ślązacy nie, chociaż się o to starają – mówi prof. Gerlich. – Żyją obok siebie jako dwie dość zamknięte grupy, postrzegają się przez stereotypy. Wiele ich dzieli, na przykład wyrażanie emocji; Romowie są pełni ekspresji, Ślązacy przeciwnie, ale łączy ich poczucie własnej odrębności, silna identyfikacja z własną tradycją.

Już przed wojną pojawiło się na Śląsku określenie „nasi Cyganie”; to ci swojscy, porządni, chociaż nadal bardzo różni.

– Kiedy wracamy z odwiedzin u rodziny i dłużej nie ma nas w Orzegowie, to sąsiedzi cieszą się na nasz widok. Mówią, że nareszcie wróciły nasze Cygany, będzie nam weselej – opowiada Izolda.

Romów i Ślązaków łączy jeszcze coś.

– Ślązak z Zabrze, pisarz Stanisław Bieniasz przyznał mi się, że nie pojmuje Mickiewicza i Słowackiego, nie wie ni w żąb, o co chodzi tym wieszczom – uśmiecha się prof. Gerlich. – Tak samo jest z Romami i może będzie zawsze, ale to nie przeszkadza nam razem żyć w Polsce. ☐

Grażyna Kuźnik

– reportażystka, pracuje w „Dzienniku Zachodnim”



Stąd nie da się uciec

Z
KAZIMIERZEM KUTZEM
rozmawia
KRZYSZTOF KARWAT

63

Gdziekolwiek by Pan mieszkał, Pańskie nazwisko nierozdzielnie łączy się ze Śląskiem, a przecież prawie połowę życia spędził Pan poza nim. Może więc jest Pan jakimś gatunkiem emigranta, a może _ zważywszy na przykre okoliczności wyprowadzki w stanie wojennym _ wręcz „wypędzonym”?

To bardziej skomplikowane... Mówi się o mnie, że jestem artystą. A każdy artysta to odmieniec, który urodzić się może wszędzie. Czy jako dziecko mogłem mieć świadomość, gdzie żyję i czym jest Śląsk, skoro przed wojną byłem raz w Katowicach, raz w Sosnowcu i parę razy w Giszowcu, gdzie jako przedszkolak występowałem na scenie? Nasze miasta i osiedla były zamkniętym kosmosem. Organicznym, samowystarczalnym, tętniącym bogatym życiem kulturalnym i duchowym. Dopiero w roku 1943 zobaczyłem „inny świat”. Jako syna powstańca wywieziono mnie na przymusowe roboty, pod Bolesławiec.

Po wojnie zaś wszyscy bardzo dotkliwie przeżywaliśmy całe to zamieszanie związane z wyjazdami, szabrem, biedą i nieustannym strachem, który wcale się nie skończył. Rosjanie podpalili szopienicki browar. To był szok, ludzie instynktownie uciekali, nie tylko ci, którzy nastawieni byli proniemiecko. I rozpoczęto budowę socjalizmu. Miejsca w nim dla Ślązaków nie było, zwłaszcza tych, którzy nie godzili się z nowym systemem. On ich przerażał. Z mojej generacji, z mojej klasy gimnazjalnej połowa chłopców uciekła, widząc, co się święci.

Oni uznali, że to, co idzie ze wschodu, będzie gorsze niż to, co przynieśli z sobą Niemcy. Moi koledzy rozpiechali się po całym świecie, a losy niektórych z nich opisałem w powieści Piąta strona świata. Jak oni, dążyłem do matury głównie po to, by móc stąd natychmiast uciec. Oni uciekali za granicę, ja – do Polski, bo dzięki matce wychowałem się na literaturze polskiej. Głównie współczesnej, i to ona mnie wyniosła. Czytałem wszystkie tygodniki kulturalne i kupowaliśmy z bratem pozycje z „czytelnikowskiej” serii Klub Dobrej Książki. To były bestsellery literatury europejskiej i światowej.

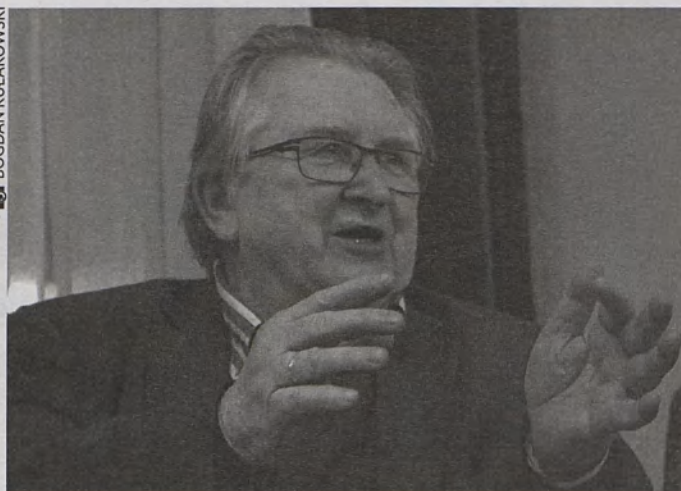
Stąd
nie da się
uciec

“

64

W Szkole Filmowej śląskość schowałem głęboko w sobie i ostro zabrałem się do pracy, bo wiedziałem, że jak mi się nie uda, to wrócę tam, skąd przyjechałem i wyląduję w jakiejś kopalni albo hucie. A kiedy w latach studiów przyjeżdżałem do Szopienic na święta, to mnie odrzucała brzydota, bieda, beznadzieja. W naszym domu też się nie przelewało. Więc z ulgą uciekałem ze Śląska. Było to tym łatwiejsze, że ja przecież zrobiłem błyskawiczną karierę.

BOGDAN KUŁAKOWSKI



Wyjazd do Łodzi miał więc znamiona ucieczki.

Jednoznacznie. Tym bardziej że tu nie było żadnej uczelni humanistycznej. A chciałem się kształcić. Dobrze wyuczyć się zawodu. Fachu. Podpatrzeć, jak robią to inni, starsi. Wajda, Kawalerowicz... Znalazłem się w swoim żywiole i byłem szczęśliwy, choć jako Ślązak musiałem się zadekować i nabrać dystansu.

Dystansu... Co to znaczy?

W Szkole Filmowej śląskość schowałem głęboko w sobie i ostro zabrałem się do pracy, bo wiedziałem, że jak mi się nie uda, to wrócę tam, skąd przyjechałem i wyląduję w jakiejś kopalni albo hucie. A kiedy w latach studiów przyjeżdżałem do Szopienic na święta, to mnie odrzucała brzydota, bieda, beznadzieja. W naszym domu też się nie przelewało. Więc z ulgą uciekałem ze Śląska. Było to tym łatwiejsze, że ja przecież zrobiłem błyskawiczną karierę. Na drugim roku studiów byłem już w Szkole asystentem, a w roku 1959 zrealizowałem swój pierwszy film.

Start miał Pan rzeczywiście znakomity, bo przecież nie skończył się na debiucie. Pojawiły się kolejne ważne filmy, ale Śląsk musiał poczekać. Musiał się w Panu przez 10 lat „odsącać”, aż w końcu powstała *Sól ziemi czarnej*. I poleciało...

Chodziło o to, by podnieść problematykę śląską do rangi sztuki ogólnopolskiej, narodowej. Trzeba więc było zderzyć z obrazu tego regionu tę pseudoludową, folklorystyczną otoczkę. I to się udało. Dojrzałem jako artysta i jako człowiek. Zacząłem sobie zadawać pytania w rodzaju: i co dalej? kim jestem? co to jest ten Śląsk?

A do tego był potrzebny powrót.

Tak, bo zrozumiałem, że to, co dostałem podczas studiów i w kolejnych latach – a mówimy o materii duchowej – już zużyłem. Zrozumiałem, że teraz stoi przede mną Śląsk. Śląsk, którego się boję i z którego uciekłem, choć uciec się od niego nie da. Zdołałem sobie wmówić, że wszystko w moim życiu dlatego tak się układało, abym teraz mógł o Śląsku opowiedzieć. Uznałem, że to mój obowiązek. Powiedziałem sobie tak: twój ojciec i jego generacja, po tylu wiekach, mieli tę możliwość, by przyłączyć – niejako fizycznie – Śląsk do Polski, to ty – przyłącz go do Polski „duchowo”. Może to było myślenie naiwne, lecz szczęśliwie zapędziło mnie do ciężkiej pracy. Ileż ja wtedy o Śląsku czytałem! Znalazłem z bratem wspinał się przedwojenne pamiętniki. Chłopskie, robotnicze. I rozumiałem jedno: trzeba wiedzieć, o czym chce się zrobić ten film! Dopiero potem wymyśla się język i formę. Ale ja nie byłem amatorem, miałem już swój dorobek, więc było mi łatwiej.

Łatwiej? To się tak tylko mówi. Każdy by tak chciał...

Ten film mi się przyśnił.

???

Żyłem w wielkim napięciu i lęku. Bałem się, że nie podołam. Że nie umiem. To była męka, prawdziwe cierpienie. Żeby sobie jakoś pomóc, kupiłem maszynę do pisania – pamiętam, za 20 dolarów – i zacząłem szkicować tę historię. A jednak ciągle czułem się osamotniony i bezsilny. Szukałem partnerów, sojuszników, pomocników. I ich nie znalazłem. Próbowałem z Wieśkiem Dymnym, ale – choć się przyjaźniliśmy i dobrze rozumieli – to jednak nam nie wyszło. A umowy były podpisane! Aż w końcu pewnej nocy ocknąłem się ze snu. I zanotowałem całą sekwencję filmową. Piękny czas. Wszystko ze mnie wypłynęło. Rychło całość wysłałem do Warszawy. Spodobało się, ale ciągle napotykałem na to samo pytanie: czy to jest prawda? Może tylko ładnie nałgałem? Wojewoda Jerzy Ziętek powołał w tej sprawie specjalną komisję.

I to ona wydała „świadcstwo prawdy”?

Tak, zadziałało! Dostałem od Ziętka, jako przewodniczącego kombatantów wojennych i powstańczych, stosowny „papier”, zaś on sam – a przecież wcześniej mnie nie znał

– przywołał mnie do swojego gabinetu i rzucił na „dzień dobry”: „Suchejcie no, Kutz. A skąd wy to wszystko wyście? Przeca wyście som za młodzi, co by to pamiyntać...”

Sól ziemi czarnej wolno traktować nie tylko jako film o II powstaniu śląskim, ale także ważny głos w kwestii komplikacji tożsamościowych i narodowościowych, a o tym się w tamtych latach przecież publicznie nie dyskutowało.

Rzadko się na to zwraca uwagę. Główny bohater przechodzi inicjację męską, a obiektem jego erotycznych fascynacji i tęsknot jest Ślązaczka z „drugiej strony”.

Ta pielęgniarka to Niemka.

I to jest istota tego filmu.

Ten pierwszy śląski obraz spowodował i to, że Pan _ jak ten syn marnotrawny _ do Katowic powrócił.

Wróciłem, bo chciałem rzecz pociągnąć dalej. Zrobiłem kolejny śląski film. I niebawem założyłem w Katowicach – w oparciu o Poltel – Zespół Filmowy „Silesia”. Coś już znałem w środowisku, choć – jak się miało okazać – jako bezpartyjny stałem na straconej pozycji.

Poszedłem więc do Jana Szydłaka, wysokiego funkcjonariusza państwa i partii rodem z Siemianowic Śląskich, i próbowałem wytłumaczyć mu, że za reżyserami przyjdą scenarzyści, aktorzy, scenografowie i inni twórcy. I tak stworzy się artystyczny ośrodek regionalny, wytwórnia filmowa z prawdziwego zdarzenia. Oni tego nie rozumieli! I dlatego nic z tego nie wyszło, bo okazałem się człowiekiem, którego nie da się „prowadzić”. Moje plany i marzenia runęły...

No, parę ważnych filmów powstało. Choćby *Sanatorium pod Klepsydrą*, *Przepraszam, czy tu biją*, *Na wylot...*

To prawda. A jednak to była moja klęska. Zresztą w środowiskach warszawskich też nie miałem wsparcia. Bali się, że to ja dostanę pieniądze, a nie oni. Przylepiono mi łatę separatysty. Nie miałem żadnych szans.

W Katowicach zresztą też nikt mnie specjalnie nie wspierał. Tutejsze środowiska literacko-dziennikarskie wymyśliły sobie, że będę rodzajem firmy usługowej, realizującej wyłącznie ich plany i ich dzieła. Włączyły się mechanizmy lokalnych zawiści. Wszystkich miałem przeciwko sobie.

W czasach pierwszej „Solidarności” był Pan bardzo aktywny, także w obszarze działań społecznych. A jednak w stanie wojennym wyjechał Pan z Katowic na zawsze.

Tak, na zawsze...

Dlaczego? Czuł się Pan załamany po internowaniu?

Zostałem upokorzony, więc uznałem, że tu się już nie da żyć. Czułem, że jestem wyrzuty z zawodu. Ciężkie chwile, czarna rozpacz... Żona poroniła... O tym się już dziś nie pamięta, że wypuszczono wtedy pogłoskę, że wywiozą nas do Rosji. A jeszcze zaczęło za mną chodzić, że ja te filmy śląskie zrobiłem, bo byłem kolaborantem, bo się na nie z Gierkiem umówiłem. Nie chciałem już oddychać tak zatrutym powietrzem. Nie dało się. Nic się już wtedy nie liczyło. Uciekłem nie ze strachu, lecz ze świadomością, że muszę za wszelką cenę wyrwać się z tej rozpacz, bo ona mnie ukatrupi. A miałem rodzinę, dzieci... Po prostu – musiałem żyć.

Niech pan zważy, że byłem przecież jedynym internowanym reżyserem. Dlaczego? Bo uznano, że jestem blisko ludzi silnie akcentujących swą śląską tożsamość. I nigdy nie dopuszczałem do siebie autocenzury, bo wiedziałem, że ona uśmierca wszelką sztukę. Byłem od lat podsłuchiwany. Z Tadeuszem Konwickim i Stanisławem Dygatem ustanowiliśmy nawet taką dla siebie regułę, że przez telefon trzeba mówić wszystko, a nawet wyostrzać swe poglądy, by „tamci” wiedzieli, co myślimy.

Bo wtedy szybciej mogli się odczepić?

Nie. To była terapia chroniąca przed autocenzurą.

W okresie przełomu ustrojowego zdołał Pan „odreagować”.

Powrócił Pan do Katowic, by zrealizować *Śmierć jak kromka chleba*, film o dramacie górników z „Wujka”.

Tego filmu nikt wtedy nie chciał! Powstał komitet społeczny, i to on zbierał pieniądze.

Tego do dziś nie mogę pojąć. Socjalizm dogorywał. Tworzono kolejne rządy demokratyczne...

W ministerstwie kultury usłyszałem, że film „nie rokuje”...

Przecież _ w tamtym momencie historycznym _ temat „Wujka” powinien konstituować nową władzę.

Było inaczej. No, może gdyby film był nie o Śląsku, a o Gdańsku...

Toczyła się bitwa na symbole?

Pan nie słyszał o takiej zabawie? Do dziś nie widać jej końca.

Wtedy zakończyła się *happy endem*.

Zadecydował o tym dopiero Kazimierz Dejmek, minister kultury w rządzie lewicowym. Powiedziałem mu, że film mam nakręcony. Ale zabrakło na udźwiękowienie. Natychmiast podjął działania.

Ucieczki i powroty. Nieustanne wyjazdy i przyjazdy, połączone z ingerowaniem _ coraz częściej także piórem _ w śląską rzeczywistość. Taki to los Ślązaka, który wyemigrował pod Warszawę?

Na to wygląda. Wpadłem na własną minę.

Gdy zatrząskiwał Pan za sobą drzwi przy Żwirki i Wigury w Katowicach, miał Pan prawo myśleć, że nie wróci tu nawet „na odwiedziny”. Stało się inaczej. Dlaczego?

Kiedy pojawiła się szansa wejścia do parlamentu, uznałem, że muszę to zrobić, bo przydam się – w stolicy – Śląskowi. Potraktowałem to jako przedłużenie tego, co robiłem wcześniej. Zawsze byłem singlem. W polityce też się to potwierdziło. A teraz i ten rozdział się zamyka. Śląsk jako zadanie zawodowe i wykwiut mojego osobistego „maniacstwa” kończy się. Do zrujnowanych Szopienic, na które nawet patrzeć nie mogę, ani do Katowic nie wrócę, bo nie mam do kogo. Wszyscy poumierali...

Ale Śląsk istnieć będzie. Nawet bez senatora Kazimierza Kutza, który właśnie schował parlamentarny mandat do kieszeni.

Nieodwołalnie. Śląsk?... Przecież napisałem o nim książkę.

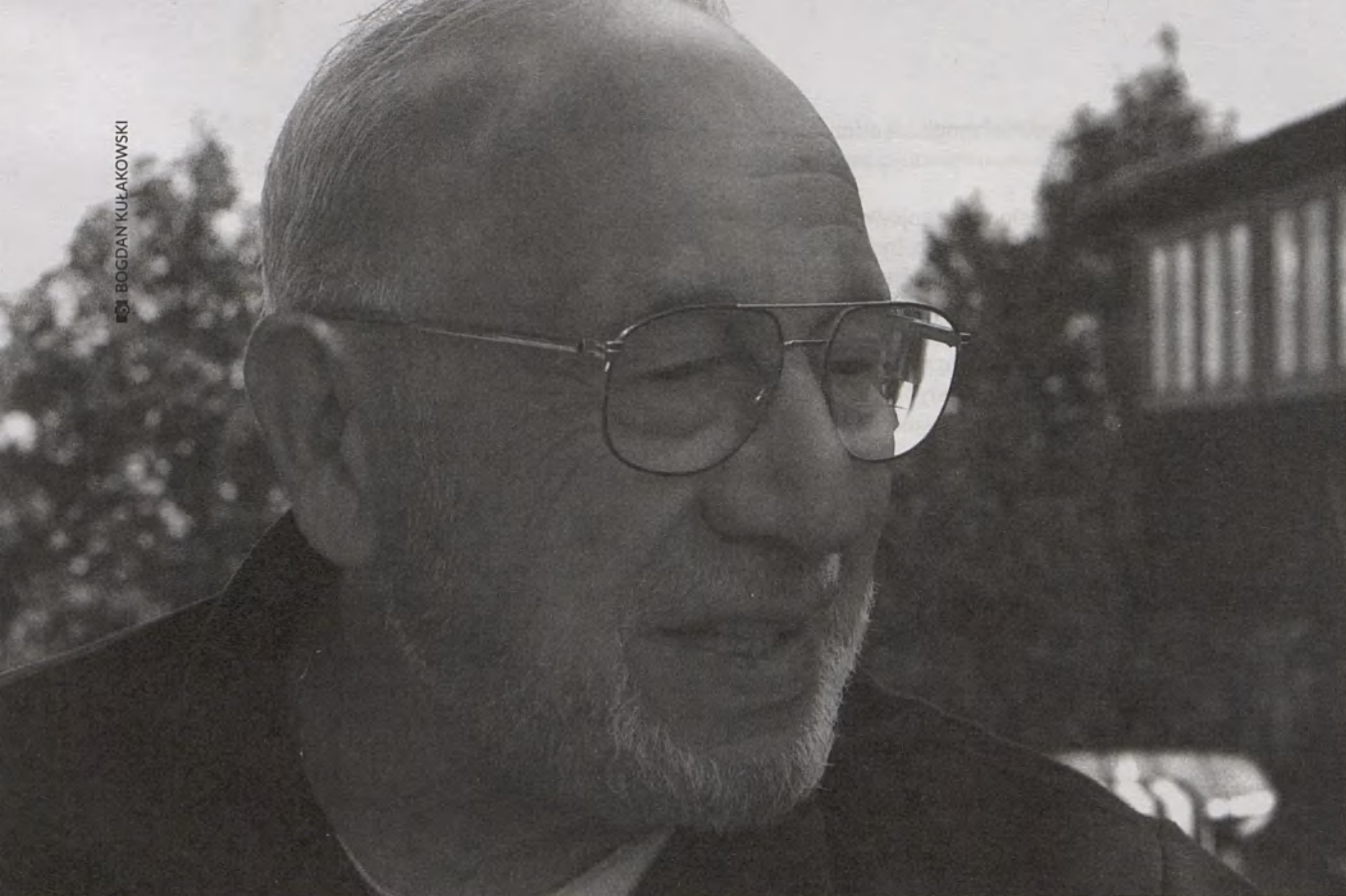
I pisze Pan nową, której materiały wyjściową są listy pisane w latach łódzkich do swej matki Anastazji.

O tym, że one się zachowały, wiem dopiero od paru lat. Nie mogłem takiego „materiału” wypuścić z ręki.

Czekamy. ▣

Kazimierz Kutz

– reżyser filmowy i teatralny, pisarz, scenarzysta,
wieloletni senator i poseł do Sejmu RP



Andrzej Gwóźdź

„Pruski Żyd” z Cieszyna

Ważność legitymacji szkolnej Kurta Webera, rocznik 1928, syna właściciela fabryczki wyrobów z tworzyw sztucznych Edwarda Webera z Cieszyna, upływała 30 września 1939. W tym czasie jedenastoletni Kurt był już jednak daleko od Cieszyna, a szkolna legitymacja i tak nic nie była warta, bo na tej kolei zniżka dla uczniów nie obowiązywała: wszyscy przerabiali za to kurs przeżycia dla dorosłych. Z prawie trzydziestoosobowej rodziny Weberów pozostała w 1945 roku garstka.

Ojciec Edward znał się na świecie – były żołnierz c.k. armii uwielbiał wiedeńskie klimaty i markowe produkty. Niemiecki aparat fotograficzny marki Kodak Retina pojawił się u Weberów już we wczesnym dzieciństwie Kurta i przydał się zapewne latem 1937 roku, kiedy ojciec zabrał dwóch synów do jugosłowiańskiego Nowego Sadu, gdzie mieszkał brat z rodziną. To była pierwsza wielka wyprawa Kurta – najpierw pociągiem do Bratysławy i dalej statkiem po Dunaju. Być może dlatego w pierwszych filmach, które oglądał jako czwartoklasista, zwracał głównie uwagę na triki filmowe – ot, zwolnione zdjęcia skoczków z trampoliny podczas zawodów pływackich. Wielce prawdopodobne, że Kurt widział *Olimpiadę*, zrealizowany w 1938 roku przez pupilkę Hitlera Leni Riefenstahl dwuczęściowy film z berlińskich igrzysk olimpijskich 1936, gdzie roi się od podobnych ujęć.

Jak przysłało na cieszyńskiego Żyda, Kurt mówił trzema językami: w domu po niemiecku, z rówieśnikami śląską gwarą i dopiero od czasów szkolnych – literacką polszczyzną. Zresztą nie na wiele to się zdało, skoro w 1939 trzeba było i tak przed Niemcami uciekać. I to szybko, bo Niemcy byli tu już w pierwszym dniu wojny. Najpierw do krewnego ojca w... Oświęcimiu, a potem, po 17 dniach niebezpiecznej mordegi, do Łucka i dalej, do Lwowa, czyli już wówczas – Związku Radzieckiego. Niedługo potem przez dwa tygodnie tułali się, aż dotarli do łagru w okolicach miasteczka Joszkar-Oła w województwie kazańskim. I w 1942 jeszcze dalej – do tadżyckiego Leninabadu (wcześniej i później: Chodżentu), gdzie polski uchodźca żydowskiego pochodzenia z Cieszyna zdobył maturę. Reminiscencje z tej wywózki odżyły zapewne na początku lat sześćdziesiątych, kiedy Weber będzie fotografował *Ludzi z pociągu* Kazimierza Kutza, film opowiadający o okupacyjnej gehennie uwięzionych na stacyjce kolejowej podróżnych.

Wśród „ludzi bez ojczyzny”

Trudno wyrokować, czy bez odbytego w Leninabadzie kursu dla kinomechaników Kurt trafiłby później do filmu, ale prawdą jest, że dzięki temu, iż był pomocnikiem operatora, mógł oglądać w kinie wiele filmów i podpatrywać do woli efekty filmowych sztuczek. I zapalać smyką do sprzętu filmowego, co z czasem doprowadzi Webera w 1972 roku do niemieckiego patentu za skonstruowanie „kalkulatora dla punktowych jaskrawościomierzy”.

Świadectwo ukończenia kursu kinomechanika miało się Weberowi przydać zaraz po wojnie, kiedy jesienią 1946 roku próbował szczęścia jako kandydat na studia medyczne w Monachium, a skończył jako kinomechanik American Jewish Distribution Committee objeżdżający z kinami objazdowymi obozy dla dipisów. Niedługo pobyl jako repatriant w Cieszynie, bo matce zależało na medycznym wykształceniu syna. Przydała się zresztą także leninabadzka matura, bo widniała tam i ocena z języka angielskiego. Niespełna dwudziestoletni Kurt mógł teraz odbyć kolejny przyspieszony kurs wiedzy o filmie, tym razem na podstawie filmów amerykańskich, w tym także instruktażowych, bo za pomocą kina próbowano tych „ludzi bez ojczyzny” przekonać do różnych przydatnych zawodów.

To w Niemczech, kiedy mieszkał w Dachau (obozowe miejscowości nie opuszczały go przez cały czas), zaświtała myśl o tym, aby – jak wspomina w autobiografii – „pójść do filmu». Kiedy w wolny dzień nie miałem co ze sobą począć między Dachau i Monachium, to uciekałem w inny świat, zapominałem na dwie godziny o wszystkich moich problemach – szedłem do kina. Zobaczyłem wtedy *Dzieci Olimpu* Marcela Carné, po których wyszedłem z kina chyłkiem, by nie widziano moich zapłakanych oczu”. Po powrocie do Polski nie było już odwrotu: na horyzoncie majaczyła – co tam: majaczyła – odbijała się silnym konturem od wszystkiego innego, co mogło stanowić o życiu Kurta: Łódź!

„Żydki robią film”

Do Łodzi postanowił pojechać pod koniec 1947 roku, ale do Cieszyna powracał często. Rodzicielskie wiano stanowiła używana leica – prezent od ojca w sam raz dla studenta operatorstwa. Na studia, jeszcze do Instytutu Filmowego, przyjęto Webera bez egzaminów w roku 1948 – napisana po angielsku rekomendacja z monachijskiego AJDC zrobiła swoje. A potem krok po kroku, między innymi za sprawą asystentury u profesora Stanisława Wohla (wykładał technikę i sztukę operatorską), Weber zdobywał zawodowe doświadczenie

i renomę zarówno w Szkole (gdzie droga wiodła od adiunkta do docenta Wydziału Operatorskiego), jak i na filmowym planie. No i bieg życia zaczęły nadawać kolejno realizowane filmy. „Żydki robią film” – dawało się słyszeć na korytarzu Wytwórni Filmów Dokumentalnych. A było czego zazdrościć, bo zrealizowany w 1955 roku dokument o tragedii getta warszawskiego zatytułowany *Pod jednym niebem* odniósł ogromny sukces na festiwalu w Karlowych Warach, gdzie film otrzymał Grand Prix (Weber był wówczas niespełna trzydziestolatkiem). Przy *Wrakach* Ewy i Czesława Petelskich (1957) był szwenkierem (zresztą za sprawą innego cieszynianina, operatora Karola Chodury), a że spisał się znakomicie – reżyserzy zaproponowali mu debiut w kolejnym swoim filmie. I był to debiut w wielkim stylu.

Baza ludzi umarłych (scenariusz powstał na podstawie opowiadania *Następny do raju* Marka Hłaski) stanowiła ogromne wyzwanie operatorskie i jak na rok 1958 była filmem niezwykle, bo i odważnym, i oryginalnym, i ciekawym – produkcyjniak *à rebours*, zrealizowany w samym środku tego, co kino miało wtedy najcenniejszego – Polskiej Szkoły Filmowej. Sporo ujęć kręcono w bieszczadzkich plenerach, których przysposobienie do filmu wymagało zarówno fizycznego hartu, jak i ogromnej wiedzy fachowej. Weber nie mógł wtedy jeszcze przypuszczać, że Hłasko – tak jak on – zamieszka po latach i odejdzie w czerwcu 1969 roku, w wieku zaledwie 35 lat, w tym samym Wiesbaden, dokąd jego zagna pomarcowa nagonka.

A potem wspaniałe lata sześćdziesiąte: obok *Ludzi z pociągu* Kutza także *Zaduszki* Tadeusza Konwickiego (oba z roku 1961) – film o poszukiwaniu miłości, która nie leży na ulicy, ale trzeba ją wyrzesać z mozołu powszedniości – a za kilka lat znakomity *Sublokator* Janusza Majewskiego (1966). Wszystkie filmy w jakimś sensie skojarzone z biografią samego Webera, zwłaszcza zrealizowane w 1965 roku *Salto* Tadeusza Konwickiego, bo opowiadało o trochę innym, ale w istocie takim samym jak owe dziesiątki kabotynów i mistyfikatorów wokół Webera w latach siedemdziesiątych, z dnia na dzień przedzierzgających się z Polaków w Niemców z rodowodem lepszym od niemieckich owczarków.

Mniej więcej w tym czasie przyszła od reżysera Petera Lilienthala pierwsza propozycja zrobienia filmu w RFN, ale – rzecz jasna – skończyła się odmową wyjazdu do rewanżystowskich Niemiec Zachodnich. A potem znowu odmowa, już w czasie marcowym 1968 roku. Czy czara goryczy została już wtedy przepełniona? Na domiar złego akurat wówczas, kiedy zwalniano z filmówki zasłużonych dla Szkoły pedagogów – reżysera Stanisława Wohla i historyka filmu Jerzego Toeplitza – perfidnie zaproponowano Weberowi stanowisko prorektora w Łódzkiej Szkole. Rzecz jasna odmówił, bo nie chciał, by nim rozgrywano politycznego pokera. Decyzja o opuszczeniu kraju powoli zamieniała się w pewnik, z całą świadomością tego, że wszystko trzeba będzie zaczynać od początku, jak przed dwudziestoma laty w Łodzi. Zresztą innych szykan już nie było; przeciwnie, na odchodnym przyjął Webera osobiście szef Kinematografii, wiceminister Tadeusz Zaorski, życząc mu wszystkiego dobrego.

Weber wyjeżdżał w listopadzie 1969, własnym samochodem (można było tak zrobić, jeśli auto było starsze niż dwa lata) przez rodzinny Cieszyn, z dokumentem podróży, w którym kursywą napisano w trzech językach, że jego posiadacz „nie jest obywatelem polskim”. Właściwie zamierzał się udać do Austrii, w grę wchodziła jeszcze Dania, ale ostatecznie stanęło na Republice Federalnej Niemiec. Dokładnie, niemal co do dnia, runie w dwadzieścia lat później mur berliński.

„Taki los tułaczy”

Zanim nastąpiły ustabilizowane pod względem zawodowym lata pracy w uniwersytecie mogunckim (Weber kierował tu od 1975 roku najpierw jako docent, a po trzech latach już jako profesor nowo powstałą klasą filmu i telewizji kształcąca adeptów wychowania estetycznego), był czas niepewności i zwątpień. Ale i nadziei, bo otworzyła się droga do kariery pedagogicznej w powstałej niedawno w Berlinie Zachodnim Niemieckiej Akademii Filmowo-Telewizyjnej, na której wykładał przez jeden semestr roku 1972. Ale zanim nastąpiły przeprowadzki do Wiesbaden i Moguncji, Weber wiódł skromne życie w małym mieszkaniu w Offenbach pod Frankfurt nad Menem, gdzie zimą trzeba się było ogrzewać w ciepłe *żeleźnioka*. Prawda, już na początku lat siedemdziesiątych mógł znowu stanąć, po raz pierwszy na emigracji, za kamerą, kręcąc między innymi dwa filmy telewizyjne

dla heskiej telewizji. Do roku 1981, z dwoma wyjątkami, udawało się to regularnie – ale mimo wszystko nie były to produkcje na miarę talentu łódzkiego docenta, choć wśród reżyserów byli także twórcy znani, jak wykształcony w teatrze Brechta Egon Monk czy Eberhard Fechner, a czasem i wybitni, jak Austriak Axel Corti.

Potem był w Polsce stan wojenny i Weber chyłkiem, jak przestępca, przyjechał na pogrzeb brata, bo ludowa władza zaordynowała mu czterdziestoośmiogodzinną wizę, która nie starczyła nawet na to, aby wpaść do Kutza mieszkającego wówczas krok od dworca. Dopiero po zniesieniu wiz, w 1989, zaproszono Webera do jury festiwalu krakowskiego.

Weber doskonale wiedział, że nie ma „szczęśliwej emigracji”, że może być jedynie „emigracja udana”. Szczególnie jeśli jest się „pruskim Żydem”, jak z ironią o sobie mawiał. Ale nawet wtedy często zaprawiona goryczą i zwątpieniem, jak choćby wówczas, gdy ktoś z rodzinnego miasta zadzwonił z prośbą, by potwierdził przynależność jego przodka do Hitlerjugend, bo wtedy łatwiej o obywatelstwo. Weber jak ognia unikał hochsztaplerów wszelkiej maści, zwykłych kłamców, naciągaczy i mitomanów, którzy – jak ów Kowalski-Malinowski z *Salta* Konwickiego – gotowi byli za wszelką cenę dorabiać sobie głębie. I dorabiali, ale nigdy z jego udziałem. Dlatego był samotniejszy niż wielu innych na wygnaniu, ale za to nieskazitelnie prawy i godny.

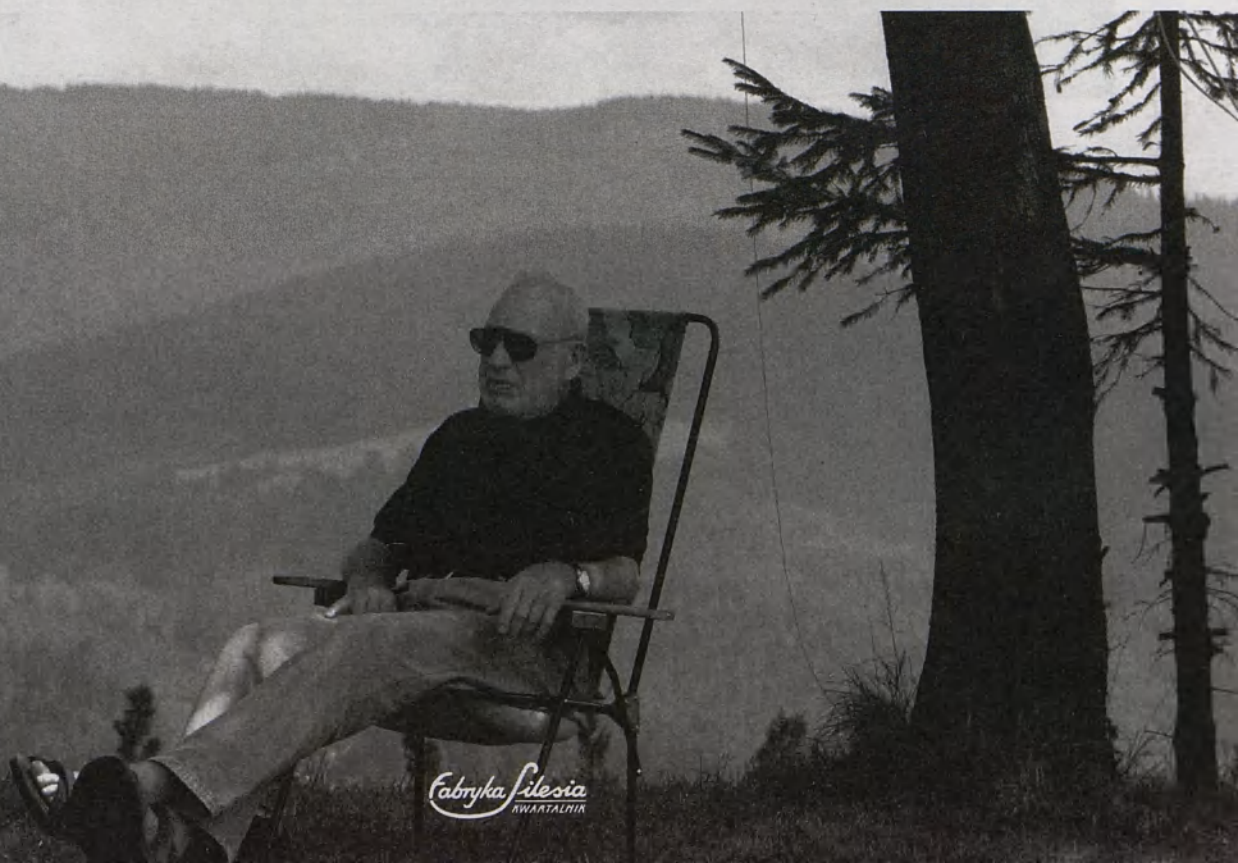
Pozostał Cieszyn, ale już jako miasto pochówku najbliższych, albo raczej dwa Cieszyny – ten polski i czeski. „Jeździłem do Cieszyna, by pobyc z rodziną i odwiedzić groby moich rodziców i brata na trzech cmentarzach, w dwu sąsiadujących państwach (!)” – wspomina w autobiografii. „Bratankowie zawozili mnie najpierw do Czeskiego Cieszyna na cmentarz do Matki, a potem zostawiali mnie na skraju polskiego Cieszyna, przy żydowskim cmentarzu, gdzie znajdował się grób Ojca. Stamtąd szedłem na piechotę na cmentarz komunalny do grobu Roberta. Taki los tułaczy naszej rodziny, że najbliżsi ułożeni zostali do ostatniego snu na trzech różnych cmentarzach, w dwu sąsiadujących państwach”.

O swojej śmiertelnej chorobie Kurt Weber dowiedział się w połowie 2012 roku. Zmarł 4 czerwca 2015 roku w Moguncji. ■

Andrzej Gwóźdź

– profesor zwyczajny, filmoznawca i kulturoznawca, kierownik Zakładu Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach Uniwersytetu Śląskiego, profesor gościnny m.in. uniwersytetu w Moguncji

Szczegóły biograficzne zostały oparte na moich rozmowach przeprowadzonych z Kurtem Weberem w Moguncji w latach 80. ubiegłego stulecia i zweryfikowane na podstawie jego autobiografii (Kurt Weber, *Dokumenty podróży*, Novae Res, Gdynia 2014).





72

Marek Kosma Cieśliński

Ucieczki i powroty

Waxman (w środku)
jako muzyk
w berlińskim kabarecie.
Scena z filmu
*Der Mann, der seinen
Morder sucht* Roberta
Siodmaka (1930).

Kiedy siedemnastoletni Franz Waxman wyjeżdżał po naukę kompozycji do Drezna i Berlina, miał za sobą pierwszych pięć lat życia spędzonych w dzisiejszym Chorzowie. Potem trafił na wiejską prowincję do Tworoga. Dorastał zaś w Opolu. Wyjazd w głąb Niemiec miał mu otworzyć drogę do wielkiej światowej kariery muzycznej. I tak się też stało.

Kabaretowe ansamble i kawiarniane jazzbandy były jego światem, dopóki w 1934 roku nie musiał uciekać przed antysemicką nagonką Hitlera. Gdy wraz z innymi twórcami trafił do Paryża, był nieznany instrumentalistą, którego doświadczenie przy ilustrowaniu muzycznym kilku filmów nie było wystarczającą przepustką do zawodowej kariery. Raczujący dopiero film dźwiękowy nie mógł gwarantować stabilnej przyszłości.

Sprawą przypadku był wyjazd na zaproszenie do Hollywood i podjęcie pracy w dynamicznie rozwijającym się przemyśle filmowym. Sprawą pracy i talentu były natomiast liczne sukcesy i nagrania, wysoka pozycja w branży, współpraca ze znakomitymi reżyserami i nagrody, w tym dwa Oscary. W stosunkowo krótkim czasie górnośląski pianista o silnej wadzie wzroku stał się jednym z muzycznych liderów amerykańskiej kinematografii. Czy pamiętał wtedy, skąd pochodzi? Zapewne tak.

Podczas realizacji filmu dokumentalnego poświęconego kompozytorowi dociekałem, co takiego mógł zabrać kilkuletni małe, a przyszedł geniusz muzyczny, jako dziedzictwo „wysane z mlekiem matki”. Czy były to melodie zasłyszane w synagodze, czy może szum ruchliwej ulicy, przy której mieszkał? Odpowiadający mi wówczas historyk Jacek Kurek postawił tezę, że chłopiec musiał zapamiętać dźwięki huty, głośniejszej, rozedrganej dźwiękiem maszyn, wagonów kolejowych i podobnych industrialnych brzmień.

I rzeczywiście! Wsłuchując się w atonalną ilustrację muzyczną do filmu *Humoreska*, nie sposób nie doszukać się dźwięków przemysłowego molocha. A zatem, pomimo wędrówki z miasta do miasta, domniemanej chęci zdobycia sławy i podbicia świata, trwały ślad Górnego Śląska w mentalności Waxmana jest jak najbardziej prawdopodobny. Podobnie jak fakt emigranckiej traumy, która sprawiła, że po latach nigdy już do swojego matecznika nie wrócił. Zrobili to dopiero w stulecie jego urodzin syn i wnuczka, dziś rodowici Amerykanie, mocno zakorzenieni w okolicach Nowego Jorku. I nie zaprzeczali oni podczas pobytu w Chorzowie, że sprawa miejsca pochodzenia musiała kompozytorowi doskwierać, skoro ten konsekwentnie nigdy nie chciał wracać do wspomnień z hutniczej osady.

Gliwiczanie ze Lwowa

Jakże inne od waxmanowskich musiały być doznania innego artysty, też międzynarodowej klasy, aktora Wojciecha Pszoniaka. Urodzony w 1942 roku we Lwowie, jest przecież gliwiczanie. Nad Kłodnicą, gdzie wpływy śląskie mieszały się z kresowymi, a także niemieckimi, spędził kilkanaście lat życia, aż do wyjazdu na studia w krakowskiej PWST. Ulica Arkońska mieszcząca się na obrzeżach dzielnicy akademickiej, nieodległy a rozległy plac Krakowski, będący miejscem zabaw kilku kolejnych generacji dzieci, a z drugiej strony ryneczek warzywny, czy też mały kościółek pw. Świętej Trójcy, skupiający – jako przez wiele lat jedyny w Polsce – trzy katolickie obrządkowe (rzymski, grecki i ormiański) – takie oto bodźce kształtowały psychikę chłopaka z gliwickiego śródmieścia. Które, i jak, mogły być zapamiętane?

Pszoniak, mając u progu lat 80. wcale już imponującą karierę aktorską, zdobywszy ostrogi w Starym Teatrze i na stołecznych scenach Narodowego i Powszechnego, pracując z powodzeniem jako nauczyciel kolejnych roczników adeptów sztuki aktorskiej, po wyjeździe do Paryża sam znalazł się na pozycji ucznia, zderzając z licznymi barierami: mentalną, kulturową, językową, a zapewne też i materialną. Czasy były, owszem, sprzyjające: komunistyczny reżim w kraju, dokonania „Solidarności” i fala międzynarodowej pomocy dla ludzi „zza żelaznej kurtyny” ocieplały realia życia wygnańczego, ale na zawodowej ścieżce nie było taryfy ulgowej. Droga do występów na francuskich scenach, uczestnictwo w nieznanych wówczas w Polsce castingach do ról filmowych i zapewne niejedna niezrealizowana propozycja roli: wszystko to mogło zaprawiać emigracyjny chleb goryczą. Ale jednak chleb ten był, to znaczy pojawiały się kolejne role, angaże do filmów, podtrzymywane były więzi z krajem, skutkujące chociażby kreacją Robespierre’a w Wajdowskim *Dantonie*. Pomocna mogła okazać się chęć powrotu „z tarczą”, pragnienie zwycięskiej konfrontacji z pozostawionymi w kraju kolegami aktorami i wpatrzonych w swojego nauczyciela studentami; równie dobre wsparcie płynąć mogło z doświadczenia rodziców, którzy wygnani z macierzystego Lwowa, od nowa budować musieli życie w nieznanych i odrębnych kulturowo, bo przecież dotąd bardziej niemieckich niż śląskich Gliwicach.

Banałem jest przypomnienie dewizy Moryca Welta: „Ja nie mam nic, ty nie masz nic... to razem w sam raz tyle, żeby założyć wielką fabrykę”. Z pewnością jednak wyprzedzająca o pięć lat decyzję o emigracji kreacja w *Ziemi obiecanej* mogła dosłownie i w przenośni osłodzić prozę życia na obczyźnie. Czy pracując w Paryżu Wojciech Pszoniak mógł czuć się choć trochę Ślązakiem? Czy mógł odczuwać tęsknotę za krajem dzieciństwa? Prawdopodobnie tak: nigdy nie zerwał więzów z tym miastem, do którego zresztą po latach powrócił zarówno z występami, jak i po to, by na potrzeby realizowanego filmu dokumentalnego odbyć podróż sentymentalną.

Po kilku latach pracy nad Sekwaną Pszoniak powrócił do Polski, nie zrywając kontaktów ani z filmowym rynkiem francuskim, na którym pojawiał się w kolejnych produkcjach, ani z regionem, do którego nadal pewnie będzie zaglądał. Chęć odwiedzania grobów przodków i pielęgnowane relacje rodzinne to zaś sprawa podtrzymywania kontaktów z „ojcowizną”, niezależnie od tego, jak układają się życiowe losy. Wystarczy w pierwszym dniu listopada rozejrzeć się w okolicach cmentarzy Bytomia, Gliwic i Katowic, by – nieraz ze zdumieniem – rozpoznać twarze znane z dużego i małego ekranu. Zatem – twarze filmowców.



W tej chorzowskiej kamienicy urodził się Franz Wachsmann (później: Waxman).

Kierunek: Hollywood

Świat zmaleł, stał się dostępny na wyciągnięcie ręki. Czy nie jest tak w przypadku Sławomira Idziaka? Trzy lata młodszy od Pszoniaka, ale urodzony już w Katowicach, również wzrastał w środowisku kresowym. Po ukończeniu łódzkiej filmówki rozpoczął pracę operatora filmowego. Z dorobkiem kilkudziesięciu ciekawych filmów, m.in. autorstwa Krzysztofa Zanussiego, Krzysztofa Kieślowskiego i Andrzeja Wajdy, oraz kilkoma własnymi dokonania reżyserskimi, w połowie lat osiemdziesiątych rozpoczął współpracę z kinematografią Niemiec Zachodnich. Po zjednoczeniu kontynuował współpracę z Niemcami, zahaczając także o Francję, dokąd wybrał się, by zrealizować zdjęcia do filmu *Trzy kolory. Niebieski*. Czy myślał już wtedy, że – podobnie jak Waxman – wyruszy niebawem za Ocean, by pracować w Hollywood przy wysokobudżetowych produkcjach z gatunku akcji i fantastyki? Czy spodziewał się, że będzie pracował nawet w Australii?

A z całą pewnością można dziś o Idziaku powiedzieć, że to „nasz”, śląski człowiek w Hollywood. Współtwórca przebojów Warnera i Columbii, nominowany do nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej. Co ważne, twórca, który nigdy nie musiał zrywać więzi z regionem na dłużej. To w Katowicach działała przez lata jego matka, Halina Holas-Idziakowa, lwowianka znana w równej mierze z wybitnych prac fotografii artystycznej, co z prowadzenia przez dekady własnego fotograficznego atelier.

Co zatem odczuwać mógł (może) Sławomir Idziak pracując w Kalifornii? Że to raptem kilkanaście godzin lotu od Śląska, istotna różnica czasu, którą należy uwzględnić, szykując się na rozmowę telefoniczną, ale zarazem łatwy do pokonania dystans, niewymagający ani nadzwyczajnych nakładów finansowych, ani upokarzających niegdyś procedur urzędniczych, związanych z uzyskaniem wizy i paszportu. Dla części dzisiejszej emigracji zarobkowej, także tej twórczej, Śląsk to ciągle drugi

dom, do którego łatwo dotrzeć za cenę biletu tanich linii lotniczych. Świat zmaleł, a wyprawa do Stanów nie jest już okupiona doświadczeniem tygodniowej podróży transatlantykiem. Trzecia klasa imigranckiego pokładu na statku zastąpiona została o ileż bardziej komfortowymi siedzeniami niskokosztowych przewoźników, którzy coraz bardziej szykują się do transoceanicznej ekspansji.

O ileż inaczej było, gdy osiemdziesiąt lat temu urodzony przy Rynku w dzisiejszym Chorzowie, a ówczesnej Königshütte, operator Günther Rittau, rocznik 1893, kładł podwaliny pod rozwój kinematograficznych efektów specjalnych. Związany przez pewien czas z wielkim Fritzem Langiem, z którym w 1927 roku zrealizował wizjonerskie *Metropolis*, w kolejnych latach pracował przy zdjęciach do nazistowskich filmów rozrywkowych, utrzymanych w poetyce fantastyki. Praca hitlerowskich



Günther Rittau
(z lewej).
Po opuszczeniu Śląska
nigdy nie odwiedził
rodzinnego Chorzowa.

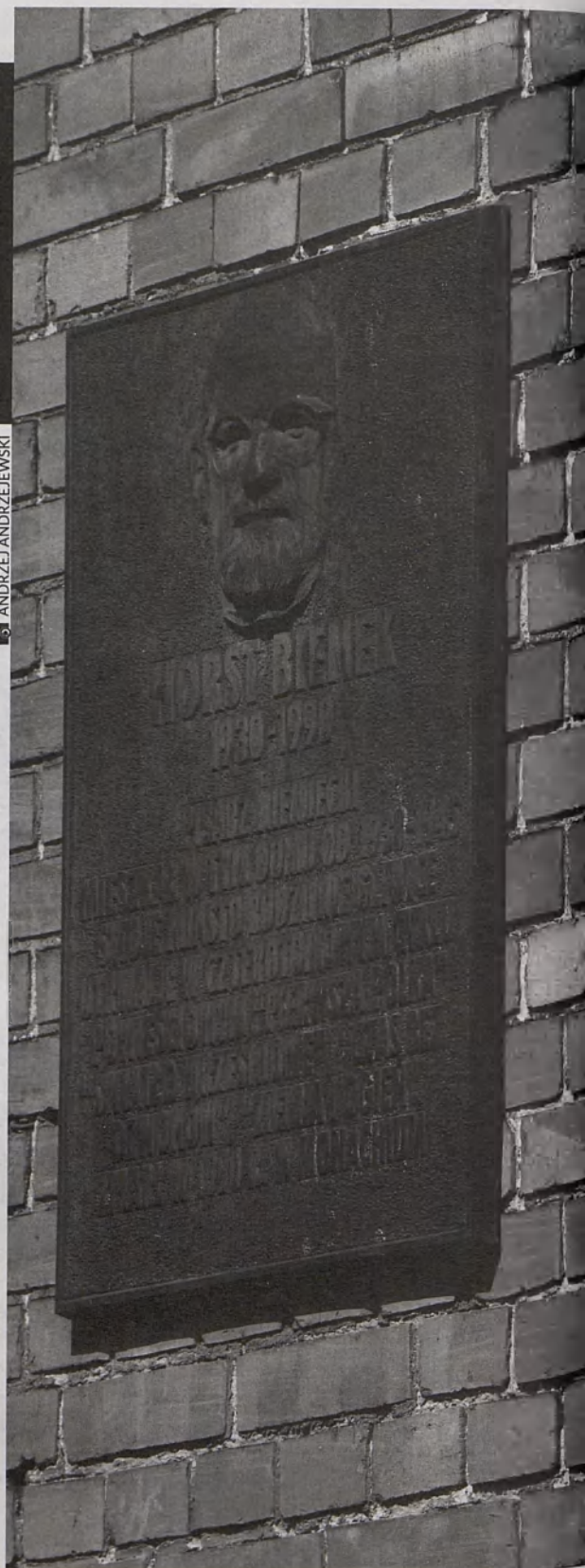
Leszek Jodliński

Obcy u siebie

78

Poszukuję Horsta Bienka poza Śląskiem. Ot, takie zadanie dziennikarsko-literackie. Odnaleźć w jego emigracji ślady tego, co jest doświadczeniem wygnańca ze Śląska. Każdego. Zatem także takiego, jakim i ja na moment się stałem.

ANDRZEJ ANDRZEJEWSKI



Czym jest poczucie nieuczestniczenia w zbiorowej pamięci? Czy można funkcjonować bez niego i godzić się na nieprzynależenie do jakiejś, jakiegokolwiek wspólnoty? Odpowiedź jest tylko pozornie oczywista.

Emigracja jest formą odcięcia się od tego, co choć wspólne, stało się obce. Wymusza odpowiedź na pytanie, kim jestem i dlaczego tkwię poza wspólnotą? To trudne pytanie. Zwłaszcza gdy toczy się w opozycji do pytania o to, kim nie jestem.

Emigracja niesie ze sobą poczucie wyzwolenia. Ale krótkotrwale i obciążone tęsknotą za tożsamością niesioną przez wielu, a nie samodzielnie. Tożsamością, z którą zmagamy się w izolacji, tęsknocie. W trudzie rozpiętym między wspomnieniami, zapominanym językiem (lub nieobecny zupełnie). Pośród krajobrazów, ulic i miast, w których na siłę poszukujemy znaków naszej tożsamości, powielając pozorną śmieszność wygnańców *Z dwóch miast* Andrzeja Zagajewskiego, gdy to, co widzą, nie jest tym, czym jest. Tak pewnie się dzieje, gdy emigracja jest zdarzeniem wymuszonym, a nie poznawaniem świata, którego istnienie „tam” nie pozwala nam pozostać „tutaj”.

Opis pewnej prowincji Bienka jest w jakiejś części obrazem takiego emigracyjnego nasłuchiwanie. Budowania sobie nowego mikrokosmosu z okrucich świata znanego i z tego, co stało się po (wyjeździe). Łapczywego znajdowania w otaczającym świecie dźwięków strzępów słów, muzyki, która nas wygnała i której brak odczuwamy. Emigracja jest ambiwalencją tęsknoty i poczucia krzywdy z powodu utraconego. To chyba właśnie w *Opisie pewnej prowincji* Bienek pisze – a jak na złość nie mogę w tym momencie odnaleźć tego zdania – że im dalej od Śląska, tym bardziej staje się Górnślązakiem i tęskni. I cierpi. Gdyby fraza ta nie należała do Bienka, to chciałbym, by było to moje zdanie, bo odczuwam go każdą cząstką siebie.

Bienek jak każdy emigrant poszukuje języka, który posiadał i utracił, akcentu i nazw okolicznych miejscowości, które musi zamienić na nowe. Pewnie bardziej boli to wówczas, gdy – jak było to w moim przypadku – języka nie ma. Zastąpił go inny.

To wejście w nowy świat, który niekoniecznie jest ciekaw wszystkiego tego, co przynieśliśmy z sobą. Nosimy go, skrywając jak coś cennego, częściej niż rzadziej ocierając się o obojętność. Niechciani przybysze.

Bycie przybyszem to nauka wszystkiego od początku. Tego, gdzie jest najsmaczniejszy chleb, którego smak pamiętamy, aromatyczna kawa tak dobra jak w „domu” o poranku. Która z lokalnych gazet stanie się na chwilę, a może na zawsze, moją lekturą o poranku?

To wysiłek, który nie zawsze jest okupiony sukcesem, bo – by odwołać się do innej emigracji, o jakiej pisał Zagajewski – można odwrócić się od świata i pozostać na nierozpakowanych kufrach i uprawiać monolog wewnątrz. Klócić się z rzeczywistością. Negować świat odnaleziony, tkwiąc mentalnie w pozostawionym. Daleko. Wiele z takich postaci odnaleźć można na kartach *Dwóch miast*. I sądzę, że nie ma znaczenia, kto skąd przyjechał i dokąd wyjechał, by wpaść w podobną pułapkę negacji nowej topografii.

Wierzę, że Bienek doświadczył na emigracji i wyzwolenia, i opresji. Mam taką nadzieję. Wyzwolenia od niemieckości i śląskości, bo kogo tak naprawdę interesowało (poza Górnym Śląskiem), czym jest owa śląskość? Komu w Monachium mogła doskwierać jego niemczyzna, poza wyraźnym śląskim akcentem, podkreślającym raczej jego obcość niż odmiennosć i kresowe naznaczenie (jako przybysza). Emigracja pozwoliła Bienkowi na uwolnienie się z tłumaczenia się z przeszłości, z bycia innym. Sądzę, że to pokrewne doświadczenie z tym, o jakim wspominał Mariusz Szczygieł, gdy pisał w *Gottlandzie*, że z chwilą przekroczenia granicy polsko-czeskiej doświadczał powrotu do normalności, do prawa bycia sobą.

Doskonale rozumiałem jego emocje. Odczuwałem je podobnie, gdy mijałem pozostałości po dawnym punkcie kontroli granicznej w Pietraszynie i z poczuciem odkrywania nowej drogi zmierzałem do pobliskich,

śląsko-czeskich Sudic. Miałem może o tyle łatwiej niż Bienek, że wciąż pozostawałem na Górnym Śląsku. Rozterki emigranta łagodziła iluzja tego, że to wciąż niemal jak u siebie. Co z tego, że zdradzał mnie język, a Europa Środkowa przestała już być jasno zdefiniowanym pojęciem geograficznym. Iluzja bycia u siebie, w swoim świecie, wbrew temu co wokół. Schizofrenia emigranta. Bycia i równoczesnego kwestionowania swojego istnienia. Zakorzenienia, w które sam wątpi. Wykorzenienia, którego doświadcza.

I my zdies' emigranty?

Zastanawiam się, krążąc w to upalne popołudnie po ulicy jego imienia, po powrocie z własnej emigracji, czym jest dzisiaj los emigranta ze Śląska? Czy Horst Bienek byłby sobą, pisarzem, którego cenimy, bez tej przeszłości? I jak bardzo w tym losie emigranta jest śląski i czy za sprawą tej emigracji pozostaje jednym z nas? On sam podkreślał, że ludzki los bez tego rodzaju doświadczenia byłby niepełny. Nawet, a może przede wszystkim, jeśli dotyczy wygnania z języka, które on – Horst Bienek – szczególnie dotkliwie odczuwał.

Ślązacy jako wspólnota emigrująca? Ślązacy jako zbiorowość bez ziemi? Bo Górny Śląsk to projekcja imaginacji i dlatego jest z gruntu „wymyślony”, jak twierdził Michał Smolorz?

Pomoc w odpowiedzi na to pytanie i ogólną refleksję o zadowoleniu się Ślązaków u siebie przychodzi do mnie z zupełnie nieoczekiwanej strony. Oto sięgam po geopoetycką powieść Zbigniewa Kadłubka *Fado* i już wiem (podobnie jak autor), że Ślązacy, jak Wizygoci, „są mniejszością bez koncesji na istnienie (...)”. Pozostają – nie bójmy się tego słowa – intruzami u siebie”.

A więc i my *zdies' emigranty*? U siebie, lecz obcy sobie i światu?

Taka konkluzja czyniłaby z nas wspólnotę dotkniętą w różnym czasie i z różnych powodów doświadczeniem emigracji. Także, a może przede wszystkim, emigracji wewnętrznej i najbardziej tragicznej, gdy dzieli się (ze swoją wspólnotą?) doświadczenie braku zrozumienia, a ono jest najwyższą ludzką potrzebą. Horst Bienek jest zatem dla nas „emigrantem symbolicznym”? Twierdę, że właśnie tak wolno o nim myśleć. ■

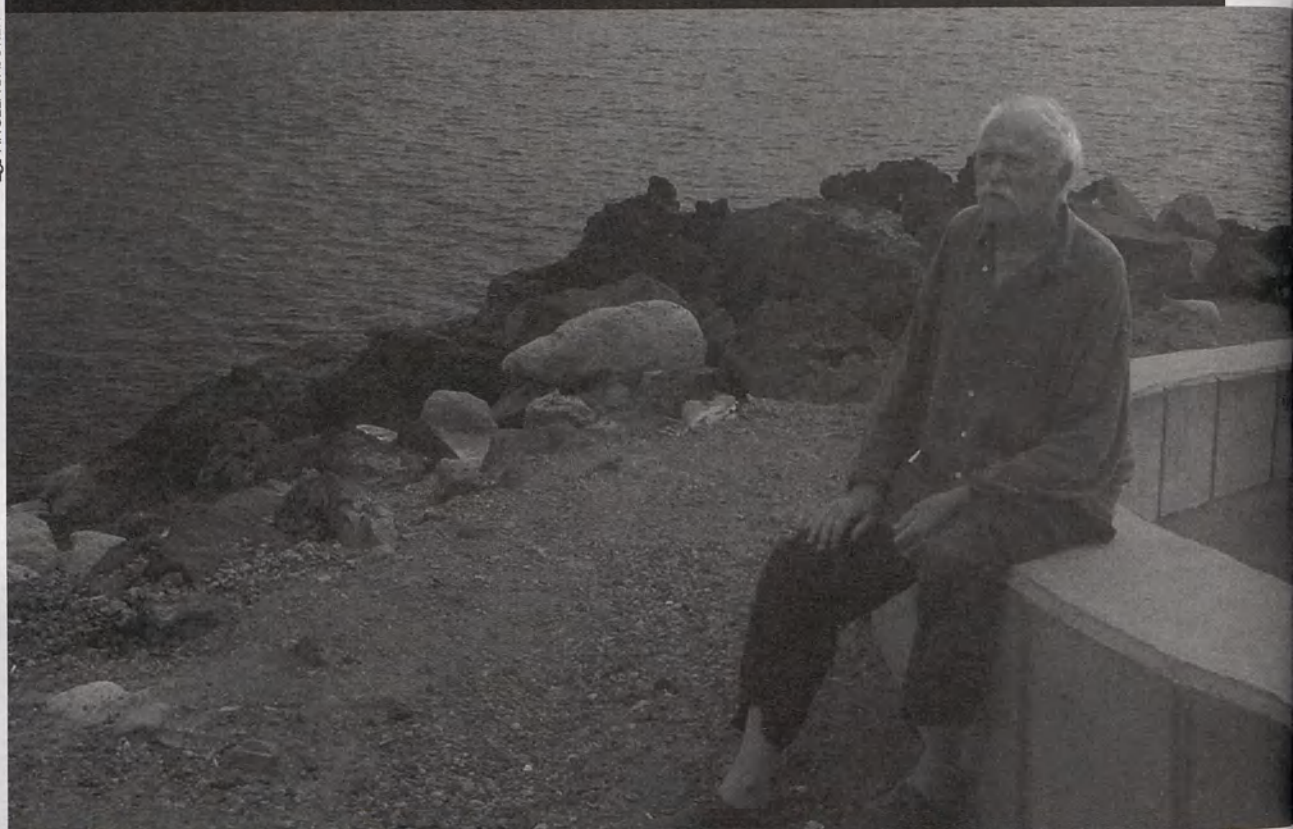
Leszek Jodliński

– historyk sztuki, publicysta, był dyrektorem Muzeum w Gliwicach i Muzeum Śląskiego w Katowicach

Angela Bajorek

WYRZUCONY z *Niemandslandu*

ANGELA BAJOREK



„Posiadam niemieckie obywatelstwo. Ale nie mam poczucia przynależności do kraju. To głupie, gdy ktoś jest dumny z miejsca swego urodzenia. Nie chciałbym być również Austriakiem. Musiałbym ciągle wspinać się po górach. Właściwie to nie chciałbym przynależć do żadnego państwa, musieć się określać. Moim znakiem zodiaku są Ryby, a ryba nie ma nóg. W razie konieczności wypływa na mętne wody i nikt jej już nie znajdzie”.

działacze komunistyczni, którzy schronienia szukali właśnie w Zabrze. Do tej grupy należał mistrz ślusarski Sauer. Wielu innych zostało nazistami i mordercami, ochotczo służąc w obozach koncentracyjnych. Mordowanie ludzi sprawiało im wielką radość. Jak zabijanie kur. Poznałem wtedy niewielu dobrych ludzi. Urodziłem się w niższej warstwie społecznej. I potrafię opisywać tylko tę warstwę”.

Rozdarcie między kulturą polską i niemiecką Janosch zawarł w opowieściach o swym ojcu, który w czasie wojny nosił (niedobrowolnie) niemiecki uniform. Gdy zaś zaszła taka konieczność, ojciec gotów był załatwić dokumenty stwierdzające polskie obywatelstwo. Za takimi wyborami stały wyrachowane i swoiste cwaniactwo, próba zmieszczenia swego życia pomiędzy dwoma nacjami.

Autor *Cholonka* też ma naturę człowieka pogranicza o elastycznej tożsamości, umiejscawiającej się do otoczenia, czasów i okoliczności. Nawet dziś znajdziemy na to świadectwa. Nawet w sytuacjach tak banalnych, jak kibicowanie przed telewizorem. „Wczoraj oglądałem mecz piłki nożnej – zwierzał się w innym mailu. – Drużyna niemiecka wygrała. Hurra! Kiedy wygrywają Hiszpanie, jestem Hiszpanem. Czasem jestem Polakiem, a czasem żadnym z nich”. Gdy zaś dziennikarka „Preussische Allgemeine Zeitung” pytała, czym jest dla niego Heimat, artysta nie miał kłopotów z odpowiedzią: „Jest dla mnie stanem duszy, którego nigdy nie utraciłem i nigdy nie opuściłem. Urodziłem się w ostatnim domu przy granicy. Za naszym familoniem zaczynał się *Niemandsland* („ziemia niczyja”), nieurodzajne pole z chwastami i krzakami. Kilometr od domu płynęła Czarnawka, rzeka graniczna. Przekraczanie jej było śmiertelnie niebezpieczne. Groziło zastrzeleniem przez celników. Ale mój pradziadek Piecha często przekraczał granicę. W *Niemandsland* przekopał kawałek ziemi i nawet posadził tam rośliny. Siadywaliśmy potem na rozpadającej się ławce, pradziadek palił machorkę i groził laską w kierunku Czarnawki: »Jak nas te świny zastrzelią, to ich pozabijam«. *Niemandsland* był moim wymarzoną krajem. Należał do nas, ponieważ do nikogo nie należał. Nikt nie mógł nam go zabrać i nikt nie mógł nam tam nic zrobić (...). *Niemandsland* znad Czarnawki jest moją ojczyzną. Moją duchową ojczyzną”.

Nieustające Heimweh

Janosch opuścił wtedy już polski Śląsk wraz z rodzicami i bratem w czerwcu 1946 roku. Ale po latach nazwał ten przymusowy wyjazd nie wygnaniem, lecz ucieczką z ruin i zgliszcz, do nieznanego miejsca, gdzie mogło być tylko lepiej. „Rozłąka z ojczyzną była zbawieniem. W Zabrzu niczego już nie posiadaliśmy. Byłem początkującym ślusarzem, płacono mi marnie, bułkami. W rodzinnym mieście postrzegano mnie jako Niemca. A więc wroga. *Heimweh* („tęsknota za ojczyzną”) ciągle jednak odczuwam. Niezależnie od tego, jaka była i jest ta moja ojczyzna”. Dopowiadał w mailu: „Jedynym śladem w mojej pamięci, jaki pozostawiła ta ucieczka, była przeżyta w trakcie męczącej podróży choroba. Ojciec leczył mnie bimbrem z buraków cukrowych”.

Wszystkie drogi zrozumienia tej twórczości prowadzą do legendarnej Janoschowej Panamy czy też wyimaginowanego i magicznego kraju Margarynii, który – jak ów zabrzański *Niemandsland* – pozostaje niedostępny i nieosiągalny dla obcych. Prawda w nich się skrywająca jest uniwersalna, bowiem mieszkańcem Margarynii (jak Górnego Śląska czy Zabrze) mogą być np. latający wujek Popov bądź też Antek Pistole. „Margaryńczyk nie zbiera bogactw – czytamy w wydany w roku 1997 *Das große Janosch Buch*. – On nie chce niczego posiadać, aby mieć

“

Rozłąka z ojczyzną
była zbawieniem.
W Zabrze niczego już
nie posiadaliśmy. Byłem
początkującym ślusarzem,
płacono mi marnie, bułkami.
W rodzinnym mieście
postrzegano mnie jako
Niemca. A więc wroga.

wolne ręce do życia. On potrzebuje tylko tego, czego potrzebuje, a ponieważ prawie niczego nie potrzebuje, ma wszystko, czego potrzebuje, nawet wtedy, gdy prawie niczego nie ma. Dzięki temu jest szczęśliwy”. Margaryńczyk okazuje się – tak jak sam pisarz – prostym, skromnym człowiekiem. Ale silnym „siłą trzech niedźwiedzi” (także tą duchową). Nastawiony pokojowo do świata, nie przykładą wagi do bogactw. Jego prawem jest nieograniczona wolność, bycie w pojedynkę, dające jeszcze większą moc.

W biografii *Heretyk z familoka* konstatowałam: „Wspomnienia trudnego dzieciństwa Janoscha, bicie przez ojca i jego ciągłe libacje, życie w obrzydzonym mu katolicyzmie, dla pisarza są do dziś jak otwarta rana, która stale krwawi. Późniejszy okres wojny, rozdarcie pomiędzy kulturami, brak domu, bieda i trwoga przed dyskryminacją chorych dzieci wpędzały całą rodzinę w spiralę strachu. »Kim stałbym się, gdybym przyszedł na świat w innej rodzinie. Przez pierwsze 13 lat mojego życia słyszałem i przeżywałem same niedorzeczności. Nie było inteligentnych osób w kręgu rodziny. Zostałem pijakiem, ażeby zabić pamięć. Chciałem wygasić w sobie całego katolika. Pamięć nie została jednak zabita, straciłem tylko rozum«”.

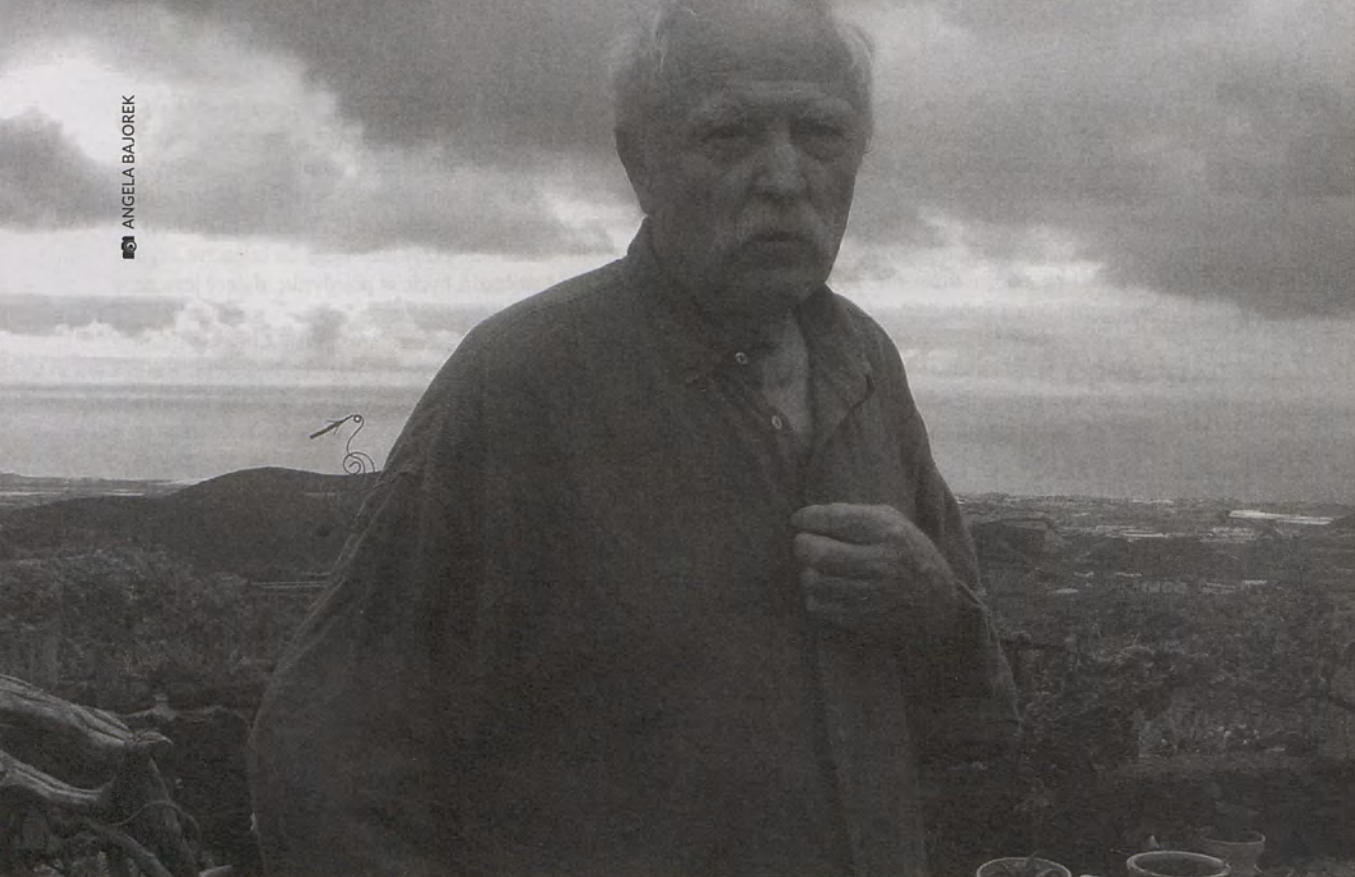
Oczyszczające katharsis

Potrzeba wyrzucenia z siebie trudnej przeszłości narastała w nim przez dekady. Gdy na rynku ukazało się już kilkanaście tytułów książeczek dla dzieci, wydawanych w szaleńczym tempie, pisarz postanowił zmierzyć się z własnym życiorysem w powieści dla dorosłych. Po czterdziestu jeden wypitych butelkach ginu – jak utrzymywał po latach – bezlitosne podsumowanie życia na kartach *Cholonka, czyli dobrego Pana Boga z gliny* było gotowe. W powieści tej dał upust piętrzącym się w nim historiom, związanym z lokatorami pewnego familoka. Wplótł w nie kawałki swego losu, a cechy bohaterów pożytych od własnej rodziny i sąsiadów.

Janosch jako własny biograf jest dla siebie i swojego najbliższego otoczenia bezpardonowy, prowokatorski, nader skrupulatny zarówno w ocenie, jak i opisie otaczającej go przestrzeni. Precyzyjnie i z niewiarygodną trzeźwością osądza i charakteryzuje rzeczywistość i zachowania ludzi, ich wzajemny sposób komunikacji niczym znawca proksemiki, nauki z pogranicza psychologii i antropologii. Jego dojrzałe powieści przypominają kalejdoskop spraw doniosłych i mniej istotnych, w które wplata tęsknotę za tym, co go ukształtowało w młodości i pozwoliło wykazać się jako pisarzowi. Ta umiejętność asymilacji z górnośląskim terytorium sprawiła, że Janosch posiada nadzwyczajny dar oraz wyczucie wyrażania groteskowo-tragicznej doli człowieka.

Dla swoich krajanów Janosch nieraz będzie bezlitosny. Zapytany w wywiadzie o typowo górnośląskie cechy, odpowie: „Infantylna głupota. Brak potrzeb. Skłonność do anarchii”. Jednak sam nie będzie czuł się ani trochę lepszy. „Nie mógłbym stworzyć mojego sposobu myślenia, gdybym nie miał go we krwi”. Paradoksalnie, traumatyczne dzieciństwo, demony panoszące się w domu rodzinnym, dręczenie przez Kościół i poniewieranie przez rówieśników uformowało i ukonstytuowało Janoscha jako pisarza, który aby zaistnieć w świecie literackim, musiał opuścić swój *Niemandsland*, choć tak naprawdę mentalnie nigdy od niego się nie wyswobodził.

Janosch w swoich książkach dokonuje szczerego rachunku sumienia, zaglądając w głąb swej duszy. Twierdzi, że jego twórczość literacka



Wyrzucony z Niemandslądu

ma wymiar oczyszczającego *katharsis*. Chodzi o wyrzucenie z siebie całego piekła, które przez lata „parzyło” jego duszę, ciało i umysł. Choć to oczyszczenie jest porządkowaniem wspomnień, przywracają one jednak w myślach również niechcianą przeszłość. Otwarte rozmowy, które prowadziłam z Janoschem i pytania o pamięć historyczną i życiową, budziły w nim zamierzchłe historie, ale też „otwierały na nowo niezagojone rany z przeklętego dzieciństwa”.

Pisarz ciągle powtarzał, że ma wielki dar pamięci. To właśnie ta umiejętność pozwoliła mu zachować dystans do własnej historii życia, skumulować emocje i uwzględnić otaczającą go rzeczywistość, spojrzeć na nią z perspektywy czasu i nowych okoliczności. Janosch pisząc swoje pierwsze powieści, był już dojrzałym człowiekiem, pełnym empatii, dystansu do otoczenia, innych emocji od tych, które targały nim w dzieciństwie. Paradoksalnie, te bolesne rany z przeszłości stały się kierunkowskazem dla twórczości i jej główną inspiracją. Przywołany w powieściach świat lat 30. i 40. nie zniknął, lecz jeszcze bardziej się utrwalił w pamięci. Owe przeżycia zostały na nowo powtórzone i odtworzone w umyśle autora. Nie są one jednak doskonałe, tak jak omylny bywa człowiek, który niedoskonałości pamięci rekompensuje pokusą kłamstwa i konfabulacji.

Mimo wielu mistyfikacji, jego sofistycznej filozofii życia, ekstrawaganckich poglądów na świat i samokreacji uciemnzonego pustelnika, można zrozumieć jego nostalgię do domu, stojącego „hań kole Czarnawki”. W korespondencji mailowej podkreślał: „W głowie mieszkam wciąż w Zabrze. Tylko nogami chodzę tutaj”. ■

Angela Bajorek

– germanistka, pracownik naukowy Instytutu Neofilologii
Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Joanna Helander

Ostrygi czy krupnioki

87

Najważniejsze lata spędziłam w Rudzie Śląskiej, przy głównej ulicy, na podwórku, na którym nie rośło ani źdźbło trawy, a zapach, który kojarzę z dzieciństwem, to woń rozgrzanej w słońcu tery. Ale był jednak i ogródek, ten w Szrejberowcach, zapuszczony, z krzakami ciężkimi od tłustych wieprzków, z wysoką trawą.

Młodo Babcia ze strony Matki (tak przez nas nazywana, dla odróżnienia od Staryj Babci ze strony Ojca) opiekująca się nami, trojgiem rodzeństwa urodzonego w rok po roku, zaraz po wojnie, nie miała nigdy czasu na pielęgnowanie ogródka. Miała przecież jeszcze Dziadka, który zawsze o godzinie dwunastej przychodził z markowni Walentego na obiad. Nasz wysoki, przystojny Dziadek lekko kulał od wczesnej młodości – zasypało go na *grubie*. Korzyść z tego była taka, że resztę swego zawodowego życia spędził na *wyrchu*, nie pod ziemią.

Był też ogródek Ciotki Gryty w Orzegowie, w jednej części zagrządkowany, harmonijny, pełen piwonii, lwich paszczy, ponetek, a w drugiej za płotem z dumnym kogutem, który budził pół Orzegowa, z chlewikiem, gdzie mieszkała świnka, a nad nią gołębie, pasja Ujka Jorga, któremu zawsze towarzyszyła Szpilka – ratlerka, opasła jak ta świnka.

Jednak najbardziej tajemniczy ogród, a właściwie sad, znajdował się w Czerwionce, gdzie mieszkała najstarsza siostra Ojca. To tam w upalne lato pożerałam gruszki klapsy i dzieła literatury światowej. Najpierw tam, a kilka lat później w więzieniu w Myślenicach, które miało świetnie wyposażoną bibliotekę prowadzoną przez jedną z lepiej wykształconych więźniarek. Również dziś, po ponad sześćdziesięciu latach, ciągle mam ogródek z krzewami agrestu i wysoką trawą oraz płodną gruszą, ale tysiąc kilometrów na północ od Rudy i Czerwionki, w całkiem innej scenerii, na zachodnim wybrzeżu Szwecji, wśród bukowo-sosnowych lasów, fal morskich i granitowych skał. Może miałabym kury, gęsi i zielone kaczki, gdyby nie koczowniczy tryb życia, który prowadzi od pół wieku.

Dlaczego po niemiecku?

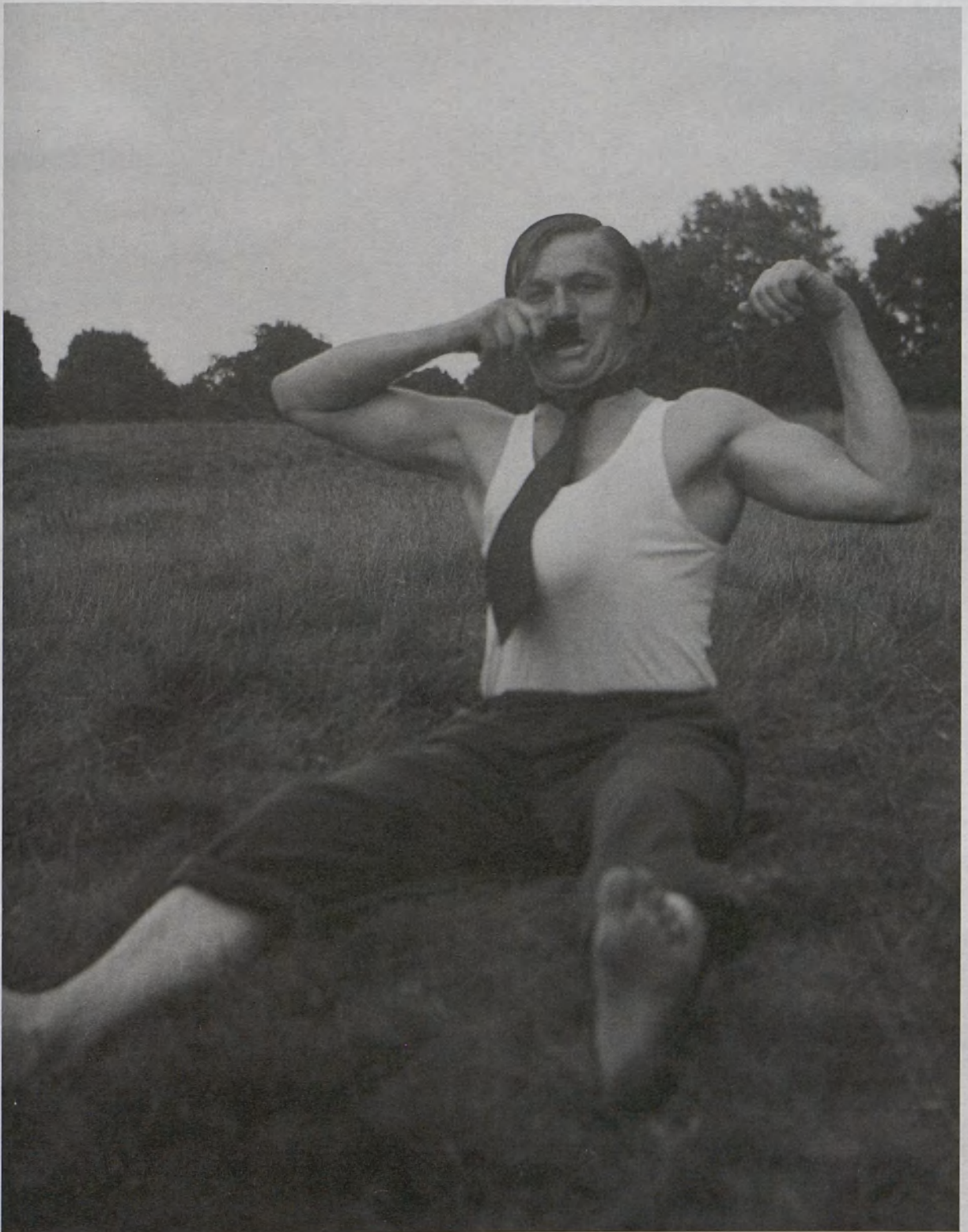
Rodzina naszej urodziwej Matki to oczywista czułość, *hacka* Ciotki Gryty i ciepło jej ciała, gra w otwarte karty, codzienna obecności Młodyj Babci. I śląska mowa. Ojciec był z nieco innego świata – pełnego tajemnic, nieświadomości, ironii, niespełnionych marzeń, nieufności, powątpiewania, ale i zbawczego poczucia humoru. Rozmowy we Wszystkich Świętych przy suto nakrytym stole w naszym mieszkaniu, w kamienicy Staryj Babci, gdzie i ona piętro wyżej mieszkała, odbywały się najczęściej po niemiecku. Było to tak oczywiste, że nikt z nas, dzieci, nie zastanawiał się nad tym i o to nie pytał. Wiele lat później, już po wyjeździe z Polski, zbierając materiały do książki o moim ojcu, zaczęłam zgłębiać tę tajemnicę. Niestety, nie było już nikogo, komu mogłabym zadać pytania.

Czasami na grób dziadka, męża Staryj Babci, który odbił sobie nerki tuż po wojnie, i na to ponoć zmarł, przychodziła jej siostra Tarantka. Paliła papierosy na cmentarzu, co uchodziło za świętokradztwo i wróżyła z kart. Nieczęsto u nas bywała. Mimo iż jej siostra była właścicielką kamienicy, ona sama mieszkała w pokoju bez okna, przy ulicy Janasa, wśród poszarzałych pierzyn, dokąd Matka posyłała nas z karpim w każdą prawie Wigilię. Dziś wiem, że Tarantka była jedyną siostrą Staryj Babci, która przeżyła wojnę i obóz w Gross-Rosen i po wojnie szukała schronienia u swej siostry.

Reszta rodzeństwa tych dwu zwaśnionych sióstr miała mniej szczęścia. Dwie pozostałe siostry, ich mężowie oraz czworo dzieci zostali pod koniec 1941 roku rozstrzelani w Kownie na Litwie, dokąd wywożono Żydów z Breslau. Jedyny brat przepadł w pół roku później, prawdopodobnie w Sobiborze. Jakim cudem cze kaprysem losu udało się Staryj Babci, jej trzem córkom i dwóm synom przeżyć epokę pieców, pozostanie tajemnicą. Bez wątpienia jej wczesna emigracja, czyli ucieczka z domu w Luboszycach koło Opola na wschód, najpierw do Gliwic, a później do Rudy, była pierwszym krokiem ku śmierci we własnym łóżku.

Jak stąd uciec?

Odkąd pamiętam, snulałam plany ucieczki z Rudy. W niszy okiennej w naszej sieni opowiadałam Lidzi i Dorze z drugiego piętra, stęsknionym za księżciem panienkom, niestworzone historie o dalekich podróżach. Były w tych opowieściach romanse, lecz nie było ślubów, była Joanna d'Arc, nie było kajdan macierzyństwa.



89

Janek Hajduga w Rudzie, koniec lat 30.;
zdjęcie zrobione prawdopodobnie samowyzwalaczem

“

Wyjeżdżałam z Polski uskrzydłona. Miałam 23 lata, opuszczałam na zawsze zaduch PRL-u, nie musiałam dłużej rozwiązywać problemów z *hasiokami* i wodą w piwnicy w kamienicy mojego ojca.



Ciotka Edyta (Edith)

Wszystko to, co było fabułą w moich gawędach, stało się rzeczywistością. Pierwszą daleką podróżą była emigracja do Krakowa. Mimo niewielkich szans i braku dodatkowych punktów za robotniczo-chłopskie pochodzenie, udało mi się dostać na wydział romanistyki oraz otrzymać miejsce w wieloosobowym pokoju w akademiku Nawojka. Przydzielono mi nawet stypendium, wprawdzie głodowe, ale dawało ono poczucie pewnej niezależności. Przybył również Książę, wprawdzie nie na rumaku, ale promem z morza. Były zaślubiny w Urzędzie Stanu Cywilnego w Nowym Bytomiu, ale po to, by móc starać się o dokument podróży pozwalający na opuszczenie Polski.

Małżeństwo z rozsądku nie jest całkiem chybionym pomysłem, w szczególności, jeśli jest zaaranżowane przez przyjaciół. Dla mnie było wyzwoleniem. Po kilkumiesięcznym pobycie, najpierw w areszcie na Siemiradzkiego w Krakowie, a potem w więzieniu w Myślenicach, po utracie możliwości kontynuowania studiów w Krakowie, dokąd niby mogłam po kilku latach wrócić, ale nie bardzo było jak i prawdę mówiąc po co, wybór

stał się prosty. Propozycja współpracy ze strony ubecji w Rudzie, w zamian za bliżej nieokreślone miejsce pracy, gdzie miałam donosić na kolegów, nie była alternatywą i przypieczętowała ostatecznie moją niezłomną decyzję o udaniu się na tak zwane wygnanie. Wtedy – o, dziwo – jakoś nie widziałam w mojej decyzji rodzinnej tradycji. To, co oczywiste, często umyka uwadze.

A przecież siostra mojego Ojca, Ciotka Edyta lub Edith, jak kto wołał, dwujęzyczna jak wszyscy w tej rodzinie, żona polskiego oficera, który zginął w Katyniu, też uciekła w swoim czasie z Rudy. Jej eleganckie kapelusze, i pewność siebie irytowały. W szczególności uczynnych sympatyków NSDAP. Kiedy więc donosi na *mischlingów* pierwszego stopnia, beczelnie prowadzących sklep w Rudzie przy Adolf Hitler-Strasie, stały się zbyt natrętne, Edyta podjęła drastyczną decyzję. Pewnej sierpniowej nocy opuściła wraz z córką Barbarą i pieskiem Barti katowickie mieszkanie i ruszyła w kierunku Monachium, w towarzystwie młodego socjalisty, żołnierza Wehrmachtu, bez pamięci zakochanego w tej osobliwej kobiecie. Towarzyszył do końca jej zbyt krótkiego życia.

Spotkałam ukochaną siostrę mojego Ojca tylko raz – przyjechała odwiedzić Rudę w 1956 roku; była inna niż rudzkie kobiety, pachniała inaczej, delikatnymi perfumami, ubrana była w sportowe spodnie i dufel z wełny wielbłądziej. Byłam nią zafascynowana, powiew innego świata, nieodgadnione możliwości ciekawszego życia, niezależność. W bracie swoim nie rozpoznała człowieka sprzed wojny, wytwornego młodzieńca pod muchą, pełnego inicjatywy i szeroko zakrojonych planów życiowych. Nie do końca zdawała sobie sprawę z poniżenia, w jakim ojcu trojga dzieci, pozbawionemu godziwej pracy, coraz bardziej uzależnionemu od wizyt w pobliskim *szynku*, przypadło wtedy żyć. Buty, które w jej obecności postawił, wprowadziła na „Trybunie Ludu”, ale na przedwojennym kredensie, który ciągle był jej własnością, przesądziły sprawę. Już więcej nie roztrząsała możliwości emigracji dla rodziny swego brata.

Spotkali się jeszcze tylko raz. W latach siedemdziesiątych w Moguncji, dokąd mój Ojciec pojechał na jej zaproszenie. Była to jego jedyna zagraniczna podróż po wojnie. W kilka miesięcy później Edith radykalnie przerwała swoje życie. Pewnej nocy powiesiła się w swojej wytwornej łazience.

Był też inny emigrant w naszej rodzinie. Wujek Janek alias Hans, brat mojej Matki. Wiele się o nim opowiadało, głównie anegdoty – dusza artysty i anarchisty, nieposkromiony temperament i bonvivant, fotograf amator, czasami *szmugler*. Przymusowo wciągnięty do Wehrmachtu, zdezerterował we Francji i zbiegł do Londynu, gdzie spędził resztę życia. Do Polski nigdy nie wrócił, a jego barwnych opowieści z czasów wojny wysłuchali nasi szwedzcy przyjaciele, którzy go odwiedzili w Londynie pod koniec lat sześćdziesiątych. Zachowały się prawie wszystkie listy Wujka Janka pisane do Rudy po śląsku, bez jakiegokolwiek porządku gramatycznego, specyficzna poezja pełna humoru, ale i poczucia winy, że nie wraca na Śląsk.

I jemu emigracja uratowała życie – pozostało po nim czworo dzieci i wiele wnuków, których ciągle nie jestem w stanie się doliczyć. Być może to jego czarno-białe fotografie, które pętały się po nieuporządkowanych szufladach naszych *biurek*, zainspirowały mnie do wyboru zawodu fotografa?

Utracić, czyli spełnić?

Wyjeżdżałam z Polski uskrzydłona. Miałam 23 lata, opuszczałam na zawsze zaduch PRL-u, nie musiałam dłużej rozwiązywać problemów z *hasiokami* i wodą w piwnicy w kamienicy mojego ojca, troszkę naiwnie, troszkę samozachowawczo otwierałam wrota wolności bez krzty wątpliwości. I tak też zdobywałam moje nowe miejsce na ziemi za morzem. Oszołomiona urodą skandynawskiej przyrody, chłonełam ten świat wszystkimi zmysłami, byłam szczęśliwą emigrantką. Ten kraj, pozornie bez skazy, uwiódł mnie całkowicie.

Na początku był język, który przyswoiłam sobie szybko i bez trudu. Nie bez znaczenia była tu przychylność nauczycielki szwedzkiego, która już w pierwszych moich wypracowaniach doszukała się odrobiny talentu stylistycznego i zachęcała do publikowania.

Jednocześnie czułe wsparcie ze strony rodziny mojego zaślubionego towarzysza życia (kiedyś powinnam napisać hymn pochwalny na temat teściowych) stwarzało poczucie zakotwiczenia w tym kraju, który rządził się jednak innymi prawami.

Z czasem musiałam zdecydować o kierunku studiów w tym dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Proponowano mi dwie możliwości, kucharka lub świetlicowa. Obydwa te zajęcia byłyby z pewnością dla mnie satysfakcjonujące. Chociaż może nie do końca spełniłabym się twórczo. Ale była i inna propozycja, wybór tego, czym się najbardziej interesuję bez względu na zapotrzebowania rynku pracy. Decyzja była oczywista, studia fotograficzne. Lepszego wyboru nie mogłam dokonać – połączenie rzemiosła, pracy w ciemni z pracą twórczą, oraz pisanem stało się moją pasją. I do dzisiaj jest. Chociaż doszedł do tego jeszcze film, który wymaga dodatkowo umiejętności organizacyjnych i krzepy fizycznej.

Mój pierwszy tekst, pisany już po szwedzku, ukazał się po pięciu latach pobytu na tak zwanej obczyźnie, po moim pierwszym powrocie do Polski, a właściwie do Rudy, która okazała się inspiracją na całe życie. Mój pierwszy album opublikowany w Szwecji, w dwa lata później, noszący polski tytuł *Kobieta*, spotkał się z bardzo przychylnym przyjęciem i utwierdził mnie w przekonaniu, że jednak troszkę o Polskę chcę opowiadać. Z czasem udało mi się również pokazać w Szwecji to, co w Polsce najwartościowsze w teatrze, filmie i poezji. A Teatr Ósmego Dnia, który wprowadził mnie w ten świat pod koniec lat siedemdziesiątych, niechcący przesądził również o intensywniej współpracy i burzliwej przyjaźni z reżyserem Bo Perssonem. To z nim zrobiłam pierwszy długometrażowy film o tej fascynującej i bliskiej mi grupie ludzi. Z czasem powstało wiele innych wspólnych dzieł, moje horyzonty dzięki jego inspiracji poszerzyły się nieco i objęły również inne kontynenty. Ale w moich nieustających peregrinacjach po Polsce ten niestrudzony obrońca tzw. praw człowieka towarzyszy mi nieustannie.

Nadal twierdzę, że jestem szczęśliwą emigrantką, chociaż nadużywanie tego słowa jest ryzykowne. Przecież gotowość na wypadek katastrofy – zapewne spadek po naszych sefardyjskich Żydach – gdzieś tam się w mojej duszy telepie. Niemniej doświadczenie emigracji nie ma w sobie ani cienia melancholii. Coś z pewnością utraciłam, ale o wiele więcej zyskałam. I ciągle intensywnie z tego doświadczenia czerpię. A może to utracone jest źródłem mej twórczości, czyli spełnienia?

Dziś z wielką przyjemnością czytam tak wiersze mojego ulubionego polskiego poety i przyjaciela Ryszarda Krynickiego, jak i nieżyjącego już niestety szwedzkiego przyjaciela i poety Görana Tunströma. No, może ich słowa trafiają w różne zakamarki serca, ale poruszają obydwa. Dziś nie mogłabym zrezygnować ani z ostryg, które zbieramy na naszej plaży na zachodnim wybrzeżu Szwecji, ani z krupnioka, którego nie mogę sobie odmówić, będąc na Śląsku.

W końcu wyemigrowali ze Śląska i moja siostra, i mój brat. Również Matka, mając sześćdziesiąt lat, nie mówiąc o Młodyj Babci, która w dziewięćdziesiątym roku życia zostawiła swoje *wertikoły*, spakowała jeden *kofer* i wyruszyła na zachód, do Moguncji, do swej córki, gdzie pogodnie spędziła cztery ostatnie lata swego życia. Ojciec nie zdążył wyemigrować, zmarł przedwcześnie, ale przynajmniej w swoim łóżku, w tej samej kamienicy, w której się urodził. Symbolicznie zaistniał jednak w Szwecji dzięki książce, której jest bohaterem. A raczej antybohaterem. Pozwolę sobie zacytować słowa Rity Tornborg, szwedzkiej pisarki polskiego pochodzenia, na temat *Gerarda K - listów z Polski*. „Jak należy potraktować tę idiomatyczną i precyzyjną szwedczyzną napisaną książkę? Czy powinno się ją zaliczyć do polskiej czy szwedzkiej literatury? Osobiście opowiadam się za przyznaniem jej praw obywatelskich w obu, powołując się na tę okoliczność, iż większość współczesnych autorów piszących w nie swoim języku rzadko kiedy robi to z wolnego wyboru, powodowana gorącą miłością do owego języka, jak Conrad czy Nabokov. Najczęściej bywają do tego zmuszeni przez taką czy inną katastrofę polityczną lub ostateczne zniechęcenie do ojczyznianych komplikacji”. ■

Joanna Helander

– fotografik, dokumentalistka, autorka książek i albumów, tłumaczka, mieszka w Szwecji

Okrężną drogą

Dnieje. Mglistoszare światło poranka wdziera się przez oba luki bydlęcego wagonu. Do domu, wracam do domu! Metalowe dźwięki kół odgrywają utęsknioną melodię: do domu. Moja ostatnia noc w Związku Radzieckim dobiegła końca. Przed nami polska granica, śląskie hałdy, pachnące siarką i potem, i chlebem.

Za tą granicą nikt na mnie nie czeka; wszyscy wymordowani, wiem o tym, nikt nie został już przy życiu. A jednak wracam, do mojego języka, do pustki, do ciszy cmentarza. Drzę cały z podniecenia i niepokoju. Za mną siedem lat wypędzenia, głodu, cierpienia, walki i samotności. Ale żyję. Czuję, jak krew tętni w żyłach. Serce bije, a w głowie dudni chaos myśli (...).

Bydłęcy wagon wypełniony jest powracającymi: trzydzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci. To jeden z dwudziestu wagonów: transport repatriantów nr 244; powrót polskich obywateli z Samarkandy, Taszkentu i Bucharu w październiku 1946 (...).

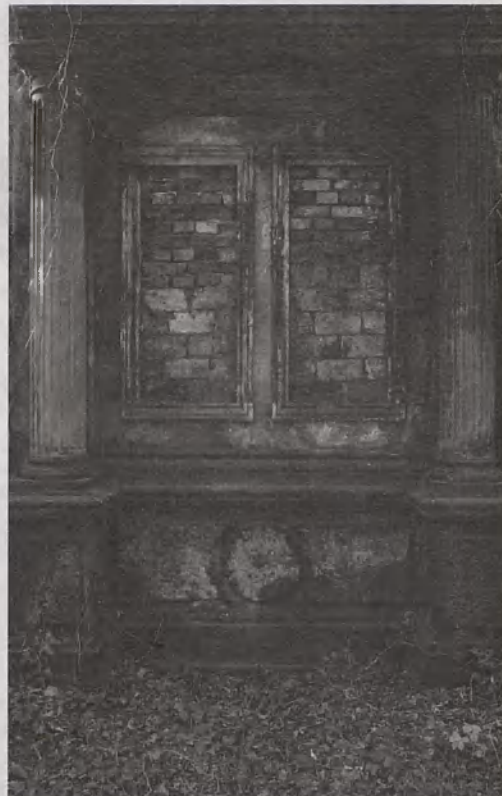
Wtedy, siedem lat temu, w więziennym wagonie, którym wywieziono mnie na Syberię, byłem zrozpaczony, śmierdziałem i byłem zawszony. Miałem dziewiętnaście lat, byłem po maturze i potrafiłem tyle co nic, a jeszcze mniej wiedziałem. Teraz mam twarde, zahartowane od pracy ręce, muskuły niczym twarde rzemienie, zmarszczki na czole i wokół ust, i zabliznione rany. Znam cenę bycia sytym i wiem, ile znaczy ciepły koc w mroźną noc. Potrafię ścinać drzewa, nosić ciężary, prowadzić pług; umiem strzelać, obchodzić się z bagnetem, rzucać granaty; potrafię kochać i umiem nienawidzić, bić się na pięści i, jeśli trzeba, wiem, jak przetrwać głód (...).

Co mnie czeka w tej nowej Polsce, gdzie nikt na mnie nie czeka? W co mam wierzyć? W pięcioramienną czerwoną gwiazdę, zapowiadającą początek nowej ery w Europie Wschodniej? Albo w sześcioramienną gwiazdę Dawida, o której szepcą niektórzy jadący ze mną w wagonie? Kim jestem? Proletariuszem, mieszczańinem, rewolucjonistą czy reakcyjnym epigonem? Czy jestem Polakiem albo Polakiem wyznania mojżeszowego, a może Żydem bez ojczyzny? Nie wiem. Nie mam Boga, nie mam żadnej pewności, pełen jestem sprzeczności. Komunizm czy kapitalizm? Wschód czy Zachód? Marks czy Herzl? Majakowski, Tuwim czy Białik? Która idea jest moja? Kto jest moim poetą? Wszyscy są mi bliscy, a zarazem dalecy. Jedno tylko jest pewne: mam dwadzieścia pięć lat i przeżyłem najkrwawszą z wszystkich wojen (...).

„Wiwat Polska!”, rozbrzmiewa nagle jakby jeden głos z dwudziestu wagonów. Słyszę wołania, śmiechy i płacz. Granica za nami. Jesteśmy w Polsce: katolicy, protestanci i żydzi, wszyscy, którzy po długoletniej rozłące powracają do polskiej ojczyzny.

Jedziemy – najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Jedziemy tam, gdzie słońce zachodzi za koroną lasu, który zdaje się nie kończyć. Ze łzami w oczach, i wstrzymując oddech, wyglądam na zewnątrz i widzę spustoszony krajobraz: spalone zagrody chłopskie, wsie zrównane z ziemią, wypalone czołgi bez kół i tysiące drewnianych krzyży na żołnierskich cmentarzach.

Przecinamy ulicę, za szlabanem stoi drabiniasty wóz. Na sianie rozsiadło się kilku facetów ubranych w żołnierskie kapoty. Jeden z nich przygrywa na harmonijce, inny pokazuje nam aż nadto znany nam znak: dłonią przejeżdża po szyi i wyciąga język. To trwało tylko krótką chwilę (...).



Noc. Męczące zimno budzi mnie ze snu. Siadam i rozcieram zeszytwniałe stopy, wkładam buty i dalej trzęsę się z zimna w tej ciemności (...). Pociąg jedzie teraz coraz wolniej (...). Nagle szarpnięcie, stoimy. Wysłuchuję daleki tętent końskich kopyt i skrzypienie drewnianych kół na polnej drodze. Ciszę rozdziera urywana salwa z karabinów maszynowych.

Potem słyszę głośnie rozkazy. Padają jakieś przekleństwa. Strzelanina zamienia się w huraganowy ogień. Z sąsiedniego wagonu, w który trafiły pociski, słychać okrzyki kobiet i przeciągły płacz dzieci. W naszym wagonie strach i przerażenie.

„Wszyscy na ziemię!”, rozkazuje rudzielec [z naszego wagonu – przyp. tłum. M.W.]. A na zewnątrz, już całkiem blisko, słychać rozkazy po polsku: „Dalej, chłopaki, po trzech do każdego wagonu. Hołotę, Żydów i komunistów na łakę! No, otwierać!”. Kolby karabinów wałęsają w przesuwne drzwi wagonu. „Otwierać! Skurwysyny! Parszywe żydki! Macie minutę, inaczej granatami wysadzimy te drzwi!”.

„Czego chcecie, do cholery?”, wykrzykuje rudzielec. „Boga żeście zapomnieli?”. „Tu jest tylko paru biedaków, przegnianych, co do domu wracają. Zostawcie nas w spokoju!”.

„Otwierać!”, odpowiada nam głos pełen nienawiści.

Nagła eksplozja wszystkich nas podrzuca do góry. Przerazający krzyk ranionych wytrąca nas z paraliżującego lęku.

„Brońmy się!”, wrzeszczy ktoś w ciemności.

„Nie, nie”, błaga jakaś kobieta. „Mamy małe dzieci. Jedziemy przecież do domu. Oddamy wam wszystko, pieniądze, odzież, zegarki! Tylko nie strzelajcie!”.

„Zamknij gębę!”, grzmi rudzielec i gwałtownie odpycha jakiegoś młodego chłopaka od metalowego rygla drzwi.

Co teraz, wielki Boże? Jak się ratować? Przecież oni wystrzelają nas co do jednego. Teraz pojmuję to, co zasłyszałem już za stacjach kolejowych na Ukrainie i w co jednak nie mogłem uwierzyć: mówiono tam o polsko-faszystowskich bandytach i mordercach, zwolennikach rozbitej armii Własowa i podkomendnych Stefana Bandery, o całej tej ludzkiej kupie gnoju, ludziach, których do szczytu zatrąlu długoletnie, bezkarne mordowanie naziistów i którzy wciąż tkwią w tym szaleństwie.

„Jezus Maria, Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi w godzinie śmierci naszej”, pojękuje jakaś kobieta. Pochodzi z Galicji. Wojna przegnała ją wraz z synem i dwoma córkami do Kazachstanu. Chłopak poległ na froncie, dziewczynki umarły na tyfus, w kołchozach Szymkent.



„Szema Israel, Adonai Elohenu, Adonai Echad”, wznosi swe modły jakiś starzec. W 1939 był polskim żołnierzem, dostał się do sowieckiej niewoli. Trzy lata wegetował w łagrach Workuty; teraz chce tylko do domu, do Lublina, miał tam kiedyś żonę i czwórkę dzieci, zagazowane i spalone w Majdanku. Popiół ich kości stał się chemicznym nawozem dla pól lubelskich chłopów.

„Brońmy się!”, zachęca nas rudzielec, trzymając w ręku łom. Stoi obok mnie i tupie o podłogę swoją drewnianą protezę. Nogę stracił w bitwie pod Stalingradem – włókniarz z Łodzi (...).

Nowa salwa przeszywa powietrze (...). Piekielny hałas niczym w piekle: eksplodujące granaty, strzały, zawodzenie, złąknione nawoływania, panika. Nagle granat rozrywa na kawałki drzwi od wagonu, do środka wpada zimne jak lód powietrze.

„Kobiety i dzieci za skrzynie”, rozkazuje rudzielec. „Bijmy się, towarzysze broni, na śmierć i życie!”.

Przewraca się kociołek, błyska złote oko światła lampki. Widzę, jak trzech mężczyzn z karabinami maszynowymi na piersiach wskakuje do wagonu. Błyskawicznie sięgam po siekiere, która potoczyła się pod piecyk, i znów znikam w ciemności.

„Jazda, wszyscy na lewo!”, wrzeszczy jeden z uzbrojonych (...). „Chłopaki, wyrzucać kufry, jaz-

da, szybko!”. Stoimy bez ruchu, ściśnięci. Za nami spazmatyczny płacz kobiet i dzieci (...). Światło lampki zatrzymuje się na twarzy starego Żyda z brodą, który teraz ręką zakrywa oślepięte oczy.

„Józek, Franek, patrzcie no, tutaj mamy jednego z pejsami. Podejdź no tu, święty mesjaszu”, wydiera się ten, co wygląda na przywódcę. Wszyscy zamieniamy się w kamień. Starzec robi krok w przód i wznosi ręce: „Przecież i wy ludzie, miejcie Boga w sercu”, przemawia błagalnym tonem i pada na kolana, przeszyty serią strzałów.

Rudzielec rzuca się z łomem do kontrataku. Rzucamy się za nim, uzbrojeni w pięści, noże, (...) a ja z siekierą. Mordercy strzelają. Potykam się o ciała, tracę równowagę na przesiąkniętej krwią podłodze, wstaję, wyczuwam przed sobą cuchnący wódką oddech bandyty, zamierzam się na niego siekierą (...). Leży teraz u moich nóg z roztrzaskaną czaszką (...).

Jesteśmy uratowani (...). Płaczę, nie wstydzę się też gniewu i współczucia z ofiarami, które po latach wypędzenia na progu ojczyzny znalazły śmierć. Z mojej podświadomości płyną dawno już zapomniane słowa kadisz, które ostatni raz wymawiałem jako dziewięcioletek nad grobem matki: „Jiskadaj wejiskadasz szmej raba waelma diwra chirutej wejamlch malchutej wechajechon uwejomechon

uwechaję dechol bejt israel baagala ubesman cariw weimru. Amen...". Za tych dopiero co zamordowanych, za miliony niewinnie zmarłych, za mojego ojca, za moich braci i moją matkę, która znalazła jeszcze miejsce w godnym człowieka grobie na żydowskim cmentarzu w Katowicach (...).

Przedemną przedziewiałe metalowe pręty na wpół otwartej bramy cmentarnej. Powoli kroczę aleją, rozmokniętą teraz przez śnieg i deszcz, pomiędzy nagimi kasztanowcami i dębami. Zachmurzone niebo sprawia, że na ten ogrodzony płotem kwadrat zmarłych pada mętne, ponure światło. Tu nie ma ciszy. Z pobliskiego dworca towarowego dobiega monotonny zgrzyt bydlęcych wagonów. Słychać dźwięk silników ciężarówek, nawoływania robotników, a od strony ulicy, w rzeźni, dobiega mnie kwik świń, instynktownie przeczuwających nadchodzącą śmierć.

Wszystkie te dobrze mi znane odgłosy i dźwięki brzmią tak jak dawniej, przed szesnastu laty, kiedy składaliśmy mamę do grobu. Poznaję ten rozłożysty, stary dąb z popękkanymi konarami i skręcam w boczną alejkę. Z mojej piersi wyrywa się tłumiony jęk: biały, marmurowy nagrobek zniknął – pozostał jedynie betonowy cokół i wykonane z kamienia ogrodzenie. Na grobie tylko bezładna kupa liści, gałęzi i chwastów. Klękam i grzebię rękoma w zmurszałym listowiu, aż odsłania się zmarznęta, czarna ziemia. Rozglądam się dookoła, wszędzie to samo: spustoszony, pohańbiony cmentarz. Marmur, granit i żelazne łańcuchy splądrowane, zniknęło wszystko, co dla wandalów spod znaku *hakenkreuza* przedstawiało jakąś wartość. Nie mogę zdobyć się na płacz, suche oczy pieką, serce staje mi w gardle. Za moimi plecami ktoś nerwowo pochrząkuje; podnoszę się z kolan i strzepuję brud z mojego płaszcza. Wysoki, chudy mężczyzna z fioletowym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi patrzy na mnie obojętnie.

„Nigdy tu jeszcze pana nie widziałem. Kogo pan tu ma?”, pyta zachrypniętym głosem.

„Matkę”, mówię z trudem.

„Niech jej ziemia lekka będzie. Przynajmniej umarła jak człowiek”.

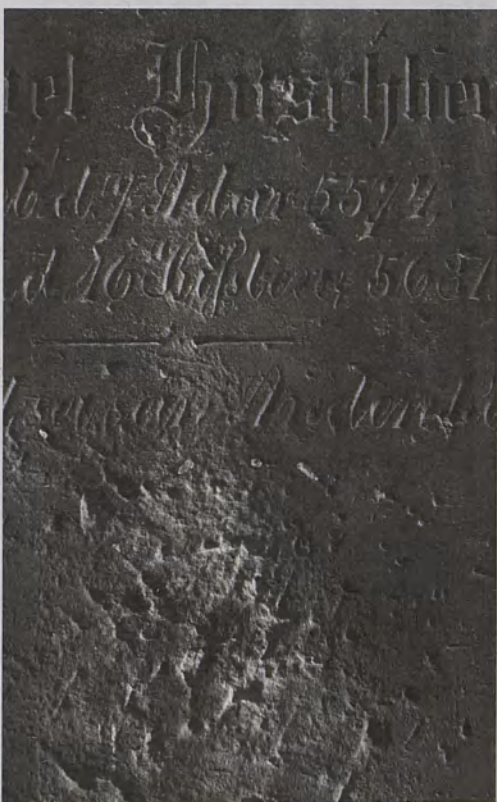
Okropny krzyk zarzynanych świń znów przecina powietrze. „Co za diabelski pomysł, by założyć cmentarz koło rzeźni”. Twarz dozorca wykrzywia maska wstrętu. „Od ponad roku próbuję oczyścić to śmieciowisko; żadnego ruchu, ani martwych, ani żywych. A pan chyba dopiero co wrócił?”, wypytuje.

„Dziś”, potwierdzam krótko. „Słuchaj pan, czy coś można z tym tu zrobić?”. Wskazuję na grób.

„Wszystko da się zrobić”, odburkuje. „Za pieniądze i ksiądz odmówi modlitwę, i człowiek zmieni się w drania”, filozofuje i głośno spluwa na ziemię. „Niektóre nagrobki się odnalazły, obok muru leży ich cała sterta”.

ANDRZEJ ANDRZEJEWSKI





„Ile?“, pytam zobojętniały.

„Za pięć tysięcy można by coś zorganizować“, odpowiada. „Chodź pan do mojej budy, muszę wszystko zapisać, i za dwa tygodnie jest gotowe, postawi się, na mur beton, a jak słońce wszystko stopi, posadzimy kwiatki, znów będzie pięknie“.

Godzinami przemierzam tak mi znane ulice [Katowic], chociaż noszą już inne nazwy. Rozpoznaję każdy dom, każde okno wystawowe; tramwaje, parki, restauracje i szkoły – ale żadnego człowieka. W mijanym tłumie nie dostrzegam żadnej znajomej twarzy. W tym miejscu stał niegdyś ratusz – cały budynek zrównano z ziemią – od Rynku aż do Pocztovej. Jako mały chłopak wystawałem tu wypatrując Marthy Eggerth i Jana Kiepurę, gdy po zawarciu małżeństwa wychodzili z budynku urzędu stanu cywilnego. Zanurzam się w sobie i próbuję podążać śladami raz na zawsze wymazanej przeszłości. Próbuję odpowiedzieć sobie na wciąż dręczące mnie pytanie: Po co tu przybyłem? Tylko po to, by odszukać grób mojej matki i od nowa postawić zrabowany nagrobek? Jeśli tylko taki był powód mojego powrotu, to decyzja ta była właściwa, bo nikt poza mną nie odwiedzi tych dwóch metrów kwadratowych na cmentarzu żydowskim, nikt poza mną nie spojrzy pamięcią wstecz i nie zwróci godności temu miejscu (...). Chcę tylko raz jeszcze zobaczyć ulicę mojego dzieciństwa i młodości (...), gdzie mieszkałem z rodzicami i braćmi (...). Przeglądam się twarzom ludzi przechodzących obok mnie. Kto z nich ma krew na rękach, a kto czyste sumienie? Kto z nich na myśl o oddalonym jedynie o 25 kilometrów stąd Auschwitz odczuwa radość, a kto podjął jakąkolwiek próbę uratowania choć jednego ze skazanych na to piekło? Anonimowe masy skrywają własną tajemnicę i tylko bezpośredni kontakt z tymi ludźmi może dać uczciwą, zakłamaną bądź dwuznaczną odpowiedź na te pytania. ■

Przekład: **Marcin Wiatr**

fragmenty powieści Alexandra Czerskiego *Der Umweg* (Okrężną drogą), Bleicher Verlag, Gerlingen 1980

Alexander (Max) Czerski

(ur. w 1920 w Katowicach – zm. 1986 w Izraelu)

– polski żołnierz kampanii wrześniowej, na początku okupacji sowieckiej wywieziony na Syberię, w 1957 roku wyemigrował z Górnego Śląska do Izraela, gdzie pracował jako dziennikarz i pisarz.

Redakcja zwraca się do spadkobierców p. Czerskiego z prośbą o kontakt. Mimo podejmowanych wysiłków, nie udało się nam go nawiązać.

W poszukiwaniu „świata nieogarnionych rzeczy”

Julian Kornhauser i Adam Zagajewski, czołowi twórcy Nowej Fali, liderzy krakowskiej grupy „Teraz”, spędzili w Gliwicach dzieciństwo i okres licealny, obydwa podjęli studia w Krakowie, z którym to miastem kojarzeni są zdecydowanie bardziej niż ze swoimi śląskimi początkami.

101

Próżno by szukać w ich wczesnej, „nowofalowej” twórczości śladów gliwickiej topografii czy wyraźnych biograficznych odesłań do okresu młodości nad Kłodnicą. Te pojawiają się dopiero w wierszach z drugiej połowy lat 90. Wcześniej obydwa rozliczą się z gliwickim okresem swojego życia w esejach wspomnieniowych: najpierw Adam Zagajewski w *Dwóch miastach* (1991), następnie Julian Kornhauser w książce pt. *Dom, sen i gry dziecięce* (1995).

Kornhauser urodził się w roku 1946 w Gliwicach, Zagajewski rok wcześniej we Lwowie, z którego jako czteromiesięczne niemowlę odbył wraz z rodzicami i siostrą dwutygodniową podróż do Gliwic – „przyjechaliśmy jak turyści, z walizkami – zostaliśmy dłużej”. Do „gorszego” (to epitet z *Dwóch miast*), brzydkiego i przemysłowego miasta, wspomnianego w jednym z wierszy jako „niewielkie, czarne miasto, w którym nawet pociągi zatrzymywały się niechętnie”. Od początku nowe i „obce” na długo zostało, także tekstowo, porzucone przez poetę na rzecz innych, większych i piękniejszych miast.

Wyjechać z Gliwic, jechać do Lwowa

Dla Kornhausera, którego matka była Ślązaczka, ojciec zaś Żydem zdomowionym od dziecka w Chorzowie, Gliwice były od zawsze własne, choć pełne tajemnic. Z zapamiętanym w wierszach: „gwarem olch i agrestu” czy widokiem słojów „pełnych gryłażowych cukierków”, smakowanych w sklepie prowadzonym przez rodziców w domu na „ulicy mojego dzieciństwa”, czyli Rybnickiej w Gliwicach, zamienionego później na mieszkanie przy ulicy Lełka. I choć mityczną „ulicę dzieciństwa” opuszczał poeta z żalem, to wiele lat później, w klasie maturalnej snuł już marzenia o wyjeździe. Wychodzący z dwu tak różnych światów pokoleniowi rówieśnicy opuszczali Gliwice powodowani tym samym pragnieniem, które trafnie w książce *Kos. O Adamie Zagajewskim*

PROFESOR TADEUSZ ZAGAJEWSKI



1912-2010

DOKTOR HONORIS CAUSA
POLITECHNIKI ŚLĄSKIEJ
CZŁONEK RZECZYWISTY PAN
CZŁOWIEK NIEZŁOMNEJ POSTAWY
WYBITNY RADIOTECHNIK
PIONIER POLSKIEJ
ELEKTRONIKI PRZEMYSŁOWEJ
DZIEKAN WYDZIAŁU ELEKTRYCZNEGO
WSPÓŁTWORCA I DZIEKAN
WYDZIAŁU AUTOMATYKI

102

W poszukiwaniu „świata nieogarnionych rzeczy”

opisał Tadeusz Nyczek: „Ten stan krążenia między opozycjami oferowanymi przez uproszczenia (i uroszczenia) otaczającej rzeczywistości i ucieczki od nich bądź w prywatną samotność, bądź w »większy świat« nieogarnionych rzeczy wyznacza główną oś twórczości Zagajewskiego. Kto wie też, czy nie jest podstawowym schematem duchowo-literackiej biografii całego Pokolenia 68”.

Zagajewski, który wspomina spacer po Gliwicach z członkami rodziny jako w gruncie rzeczy spacer po Lwowie, ucieka m.in. w słynnym poemacie *Jechać do Lwowa* do tego właśnie „raju utraconego”. Domowa mitologia Kornhausera zrodzona w śląskim tyglu kultur i języków wytyczyła z kolei prostą drogę do poetyckiej inicjacji wyrastającej z tego zakorzenienia: „Poproszony przez nauczycielkę, przeczytał na lekcji polskiego jeden ze swoich wierszy. Wydawało mu się, że na tę okazję najlepiej wybrać wiersz o Śląsku. Tak, wiersz o śląskich ulicach, latarniach, parkach i kominach. To było takie oczywiste. Nawet się nie zawahał przy wyborze. Kiedy czytał na głos te swoje cztery śląskie zwrotki, w których blade światło mieszało się z dymami, cała klasa wstrzymała oddech”. Obcesowa, gramatyczna uwaga nauczycielki unieważniła jednak ten oczywisty wybór, a to co odtąd trafiało do wierszy „dalekie

było od gliwickiego pejzażu, nie szumiała w nich Kłodnica, którą obserwował z mostu na ulicy Zwycięstwa, nie rosła w nich gęsta trawa z placu Grunwaldzkiego, nie przenikał ich chłód idący z małego cmentarza żołnierzy radzieckich, wyrastającego u wylotu ulicy Długosza. Nie, Śląsk nie zagościł powtórnie w wierszach J.”.

Kindheit w „czarnym mieście”

Ale na szczęście po wielu latach od tego doświadczenia Julian Kornhauser powrócił mimo wszystko w wierszach na Śląsk, gdzie „Kindheit i dzieciństwo, Gleiwitz i Gliwice, giną w mroku dziejów”, gdzie swojskie „pokrzywy i olchy, woń mleczów i ciasta”, „gwar olch i agrestów”, „trzcina nad Kłodnicą” i „groby rodziców”. Podobnie i Adam Zagajewski powrócił w wierszach z arkiadyjskiego wygnania do (nie-)swojego „czarnego miasta” z „czarną rzeką” i „nieczułymi ogrodami”, w których nawet „liście topoli są czarne”. W jego wspomnieniowym esej o topole są jednak srebrne, a park – jak czytamy – „należał do mnie”: „Starsze pokolenia wciąż patrzyły z lekceważącym pobłażaniem na kwiaty i drzewa ro-

snące w tym mieście. Liczyły się wyłącznie ogrody pozostawione na wschodzie. Ale ja znałem tylko tutejsze topole i jesiony, i lubiłem je coraz bardziej”. Przywrócenie Śląska w dojrzałym wieku wyobraźni poetyckiej Zagajewskiego i Kornhausera, ów ruch powrotny obydwu twórców z większego świata „nieogarnionych rzeczy”, owocuje nieoczekiwanymi, a jakże konkretnymi spotkaniami w czasoprzestrzeni. Teraz to ona właśnie pełna jest, paradoksalnie, nieogarnionych rzeczy, staje się już tym „większym światem”.

Należy do niego chociażby tytułowa *Czarna rzeka* z wiersza Zagajewskiego, o której w eseju pisał tak: „Podobały mi się te okolice – park, basen, a nawet całkowicie czarna rzeka, od lat zmieniona w ściek przemysłowy i pachnąca chemią, a nie wodą”. W innym miejscu notował, że „czarna rzeka płynie obojętnie przez miasto”. Inaczej u Kornhausera, dla którego „Kłodnica skuta szarym lodem” wzbudzała emocje, a „spoglądając na leniwą Kłodnicę i ginące gdzieś w oddali tory kolejowe, zastanawiał się nad przyczynami swojego bezwzględного losu”. W wierszu *Śląsk* „trzcina nad Kłodnicą” przynosi oczekiwaną odpowiedź, nieobojętnie przemawia.

Są jednak miejsca na mapie Gliwic, w których poetyckie spotkania po latach odbywają się w podobnym wymiarze. Należy do nich niewątpliwie palmiarnia. Dla Kornhausera – odrealnione miejsce spotkania wędrowca Zuckermana, ten „dziwny, fantastyczny zakątek nie pasujący zupełnie do otoczenia”. Wiersz-zachwyt poświęca jej Zagajewski, wspominając w nim „szary budynek o perłowym wnętrzu”, zawierającym „antologię powietrza tropików”. Palmiarnia pojawia się w przestrzeni wiersza „na przekór ceniom i sadzy”, staje w opozycji wobec „smutku niskich ulic i stadionów”. Po latach pozwala w rozpamiętywaniu, pracy anamnezy budować dystans do siebie, wyzwalać empatię, otwierać na „większy świat”.

Wspólnym dla obydwu poetów „miejscem szczęśliwym” było także kino „Potęga”, dające tytuł jednemu z wierszy Zagajewskiego, którego kłamrę stanowi ewokacja swoistej mistyki wyjątkowych niedziel: „Niektóre niedziele były białe – Wydaje się, że w niektóre niedziele Bóg był blisko”. We wspomnieniach Kornhausera pojawiają się „niedzielne poranki filmowe w kinie Potęga”, w którym „wbrew swojej nazwie sala kinowa była ciasna i wąska jak kiszka, ale chłopcom wydawała się przestrzenią utkaną ze snu i wyobraźni”. Podobną do kinowej nierzeczywistości rolę odgrywały znaczki, na których, jak wspomina Kornhauser, „rozpościerały się ogromne przestrzenie afrykańskich sawann, z dumą wznosiły się potężne budowle, uśmiechały promiennie twarze wielu zna-

nych osób”, przynosiły „świat ciepły i kolorowy”. „Czy zbierałem znaczki?”, pyta sam siebie Zagajewski w *Dwu miastach* i odpowiada od razu: „Tak, zbierałem znaczki. Chodziłem do klubu filatelistów”. A na nich „pasły się zebry i żyrafy”, „kwitły śliczne kwiatki”. Wpatrywanie się chłopców w te obrazy zapowiadało poniekąd przyszłość, „większy świat” wzywał: „Przebywając na poczcie czułem się poniekąd wielkim podróżnikiem, wędrującym po nieznanych obszarach, wsłuchanym w melodię daleką od gliwickich hałasów”.

Spotkać Różewicza albo Herberta

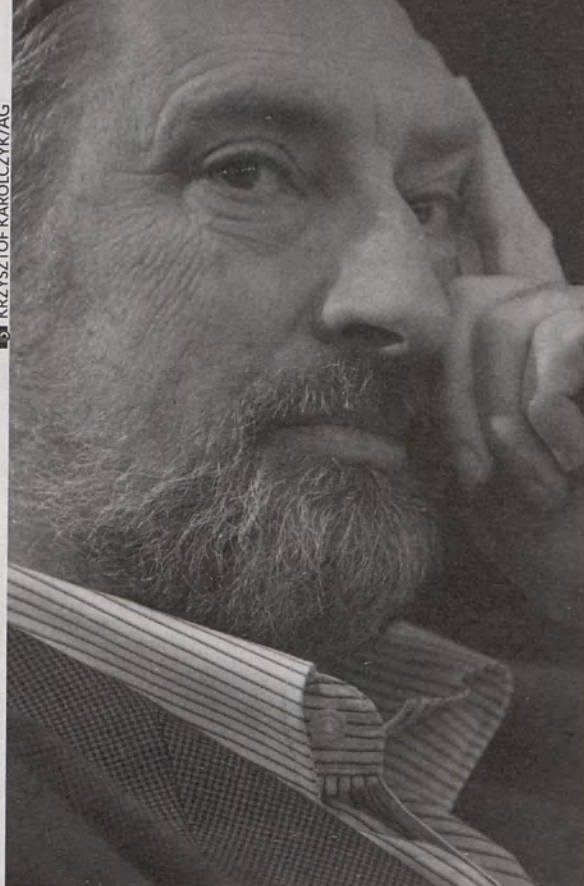
We wspólnej gliwickiej przestrzeni ważne były także spotkania z poetami. Z wiersza Zagajewskiego *Arkońska 3* dowiadujemy się bardzo konkretnie, że Różewicz mieszkał „na rogu Zygmunta i Słowackiego”. Tymczasem „J., wielokrotnie zachęcany przez profesora M. do odwiedzenia Tadeusza Różewicza, mieszkającego już od wielu lat w Gliwicach i to nie opodal ulicy Lelka, nigdy nie zdobył się na odwagę i nie zdecydował się na spotkanie z nim (...). Próbował wiele razy przełamać się, pokonać niewyjaśniony strach i ruszał w stronę domu, gdzie mieszkał autor *Niepokoju*, widział go nawet z bliska, ale zawsze, pokonywany przez treść, zawracał”. Pozostały spotkania z cenionymi wierszami i interpretacyjna próba *Róży*, oddalająca autora coraz bardziej od śląskiego pejzażu i zakorzenienia. Z zawodem wspomina Kornhauser spotkanie w szkolnej auli ze Zbigniewem Herbertem: „Poeta nie chciał czytać wierszy (...) Zapropomował esej o kulturze śródziemnomorskiej”. Ta „barwna opowieść o włoskiej kulturze” była jednak daleka „od tajemniczości, która zamieszkiwała poezję”.

To samo spotkanie, podczas którego Herbert czytał fragmenty *Barbarzyńcy w ogrodzie* (i jednak też kilka wierszy), inaczej zapamiętał Zagajewski: „Zrozumiałem wtedy albo przynajmniej niejasno poczułem, że można sprawy społeczne związać z niespołecznymi, że można mówić o czymś, co należy do wspólnoty w sposób, który wykracza poza tę kategorię”.

Różne uwarunkowane odmiennościami biografii „włączenia” obydwu poetów w Śląsk zaowocowały w tym samym czasie podobnym ze Śląska „wyłączeniem” w poszukiwaniu „świata nieogarnionych rzeczy”, podobnie jednak odnalezionych po latach w gliwickiej czasoprzestrzeni. ■

Dariusz Pawelec

– krytyk literacki, profesor w Zakładzie Poetyki Historycznej i Sztuki Interpretacji Uniwersytetu Śląskiego, dyrektor Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Śląskiej w Katowicach



Julian Kornhauser

Tąpnięcie

Ociosy popuściły po jednej stronie
od szóstej zaczęli my słyszeć stuki
słyszeć było jak nosili drzewo do obudowy
ale to nie było zabudowane tylko się tak zasklepiło
jednak wypatrzyli dołem że ta obudowa nie spadła na spąg
tylko gdzieś się zawieszała stronami
i oni rajbowali po prostu rękami darli ten kamień
tak żeby choć tę małą przestrzeń wykopać
ratownicy poszli cztery metry do przodu
i na zero było zawalone
na zero
no to krzyżyki nam postawili pod nazwiskami
kto może żyć w takim zawale
człowiek bez płuc

105

Śląsk

Pokrzywy i olchy,
woń mleczów i ciasta,
płonie dzieciństwo, rośnie smolna kulka,
nie kończąca się szosa,
śmigające rowery, słoje pełne
grylażowych cukierków, w białych workach mąka,
kaj żeś włoż, pierunie,
babcia przy piecu,
wija się szarfa i cofa,
piekarskie córki za oknem,
na stryszku łóżko i niemiecka książka,
odpowiedź śle trzcina nad Kłodnicą,
śpią sukienki do pierwszej komunii,
pociąg spieszy, wesołe pisklęta,
deszczowy poranek klnie na czym świat stoi,
spadają czerwone dachówki,
u wezgłowia najcichsze bery i bojki,
a potem, nagle, po latach,
wszystko, i trzciny, i ogniska,
kruche kukuruźniki i bunkry,
chowa się za rozkopanym podwórkiem,
z którego widać dwa rozdzielone murem
groby rodziców.

Na ulicy mojego dzieciństwa

dla Wolfganga Bittnera

Czy mojego?

A może dzieciństwa nie są naszą własnością,
tylko czasu, który nas spłodził i nazwał?

Jeszcze słyszę gwar olch i agrestu,
słodkiego kurzu rozgryzanego w ustach,
ale czy jestem jego posiadaczem
bezwzględny i jedyny?

Nasze dzieciństwa,
przedzielone zaledwie pięcioma latami,
zderzają się na gliwickiej ulicy
jak dwa szybkie samochody.
Kindheit i dzieciństwo, Gleiwitz und Gliwice
giną w mroku dziejów,
pozostawiając po sobie
gorzki smak historii,
zupełnie jak ów pęk kluczy niemieckich uciekinierów,
wiszący teraz wraz z tysiącem innych
w śląskim muzeum w Görlitz.

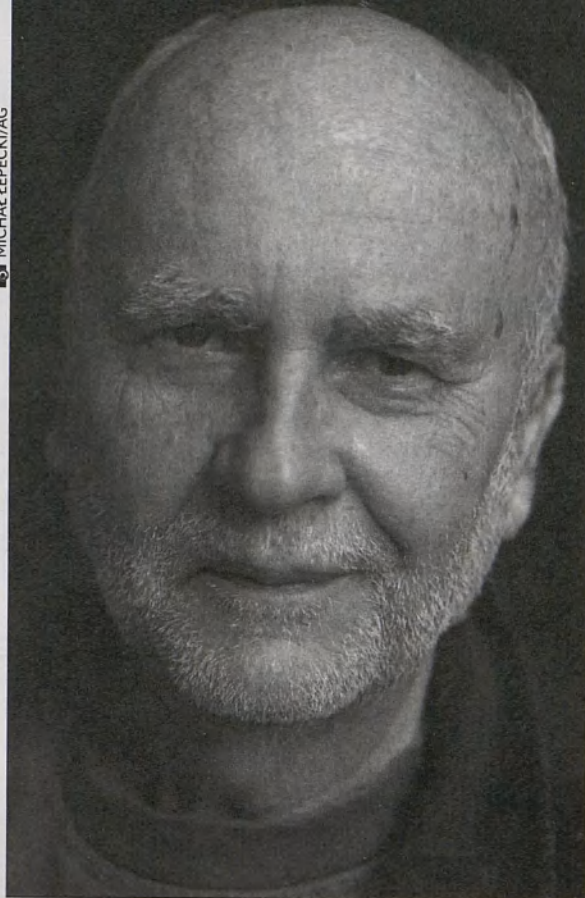
106

Z przeszłości

Katowice Zawodzie, Huta Ferrum,
ciąg kamienic z cegły.
Mijam tę stację tyle razy
i nie mogę sobie tu wyobrazić
mojej mamy z lizakiem w ręku.

Z frontu

Czy ta gwiazda Dawida
na pięknej, starej kamienicy w Zabrze
została tak starannie narysowana przez antysemitów,
czy jest jej prawdziwą ozdobą od lat?
Skąd to pytanie?
Może lepiej wpatrywać się
w brązowe gzymsy nad oknami?



Adam Zagajewski

Czarna rzeka

Czarna rzeka płynęła przez park.
Dalej ciągnęły się nieczułe ogrody
i gęste warkocze żywopłotów.
Tam gdzie śpiewały kosy mieściła się dawniej
filia obozu w Oświęcimiu, a pod trawą
pochowano bandaże z rosyjskiego szpitala,
dlatego łąka była wzdęta, wysoka.
Po niebie bezszelestnie płynęły
niewinne szybowce i padał deszcz,
lekki, beztroski jak łyż radości.

Palmiarnia

W tym niewielkim, czarnym mieście, twoim mieście,
w którym nawet pociągi zatrzymywały się niechętnie,
nie odwracając głowy od swych finalnych przeznaczeń,
w parku, jakby na przekór ceniom i sadzy,
stał szary budynek o perłowym wnętrzu.

Zapomnij o śniegu, o twardych uderzeniach mrozu,
tutaj powita cię wilgotna antologia powietrza tropików
i zagadkowy szelest ogromnych liści
splątanych jak leniwe węże –
ich znaczenia nie potrafi odczytać nawet egiptolog.

Zapomnij o smutku niskich ulic i stadionów,
o ciężarze nieudanych niedziel.
Przyjmij ciepły oddech, wiejący z wnętrza roślin.
Łagodny zapach spłowiących błyskawic
otoczy cię i zaprowadzi dalej, dalej.

Może zobaczysz rdzawe żagle okrętów, które nie płyną,
wyspy osnute różową mgłą, wieże zburzonych świątyń;
ujrzesz to, co stracone, czego nie było,
ale także tych, co żyją życiem takim samym
jak twoje.

Zobaczysz nagle świat w innym oświeceniu,
bramy cudzych domów uchylą się na moment,
myśli ukryte staną się widoczne, święta mniej uprzykrzone,
cudza radość bardziej zrozumiała, twarze
piękniejsze.

Zapomnij o sobie, oślepnij z zachwyty,
zapomnij o wszystkim i może wtedy wróci
głębsza pamięć i głębsze braterstwo,
i powiesz nie wiem, nie wiem jak się to stało –
palmy otworzyły moje chciwe serce.

Pierwsza Komunia

[Gliwice, ulica Piramowicza]

Ciemnoszare kamienice o trójkątnych wykuszach,
w pobliżu nieduży park i niemieckie rzeźby kamienne
(rodzaj pseudobaroku z lat trzydziestych).
Tutaj pani Kolmerowa zrobiła mi zdjęcie
zaraz po Pierwszej Komunii
na tle świeżo wypranego prześcieradła:
ten pyzaty chłopiec to ja. Jestem poważny,
wyprostowany, trzymam w dłoni świecę.
Jestem początkującym katolikiem,
który próbuje oddzielić dobro od zła,
ale nie wie, czym one się różnią,
zwłaszcza o świcie i o zmierzchu, kiedy
przez długą chwilę światło się waha.
Liście topoli w ogrodzie są czarne,
świat jest czarny, domy są czarne,
powietrze przezroczyste, tylko pościel biała.
Później nadejdzie kolorowa fotografia
i złagodzi kontrasty, może pozwoli
na zwykłe życie, wspaniałe święta,
a nawet na drugą komunię.

Arkońska 3

[W Gliwicach]

109

Pani Mazońska była naszą sąsiadką z parteru,
z Arkońskiej 3 (tuż obok mieszkał Pszoniak,
Różewicz na rogu Zygmunta i Słowackiego).
Miała farbowane rude włosy i złoto na palcach.
Jej mąż, wysoki i szczupły profesor politechniki,
podarował mi albumy ze znaczkami;
było wśród nich zielone Kongo, niebieska Francja
oraz sporo różowo-brązowej Drugiej Rzeczypospolitej.
Pani Mazońska zapraszała mnie niekiedy
na podwieczorek i przyjmowała, jakbym był dorosły,
rozmawiała ze mną poważnie i rzeczowo.
Ale ja nie byłem wcale dorosły.
Nie wiedziałem, kim byłem –
w lustrze widziałem tylko oczy,
które nie patrzyły na mnie.
Z drzew spadały kasztany, lśniące i czyste.
Za oknem, w trawie, w mikroskopijnym ogródku
biegały ciekawskie szpaki.
Na wieży kościoła i na wieży ratusza, na ścianach
naszych mieszkań, w płaskich zegarkach
pracował niestrudzony czas;
był wszechobecny – tajna policja
nie mogła się z nim mierzyć,
nawet myśl nie potrafiła go doścignąć.

Kino „Potęga”

Dla B. i W. Pszoniaków

Niektóre niedziele były białe
 Jak piasek bałtyckiej plaży.
 Rano słychać było kroki
 nielicznych przechodniów.
 Liście naszych drzew milczały uważnie.
 Gruby ksiądz modlił się za tych,
 co nie mogli przyjąć do kościoła.
 W kinach upajająco terkotał projektor,
 a kurz ukośnie wędrował przez światło.
 Natomiast chudy ksiądz potępiał epokę
 i wzywał do surowych ćwiczeń mistycznych.
 Niektóre damy trochę mdlały.
 Ekran w kinie „Potęga” gotów był przyjąć
 każdy film i każdy obraz –
 Indianie czuli się tu jak u siebie w domu,
 lecz sowieccy bohaterowie
 także nie mogli narzekać.
 Po skończonym seansie zapadała cisza
 tak głęboka, że policja niepokoiła się.
 Ale po południu miasto spało
 z otwartymi ustami, jak dziecko w wózku.
 Wieczorem niekiedy zrywał się wiatr
 i o zmierzchu burza migotała
 nierealnym, fioletowym blaskiem.
 O północy na umyte niebo
 wracał kruchy księżyc.
 Wydaje się, że w niektóre niedziele
 Bóg był blisko.

Ziemia

Jedni mówili po polsku, inni po niemiecku,
 tylko płacz był kosmopolityczny.
 Rany nie goiły się, długo pamiętały.
 Węgiel błyszczał jak zawsze.

Nikt nie chciał umierać, ale życie było trudniejsze.
 Było dużo obcości; obcość milczała.

Przyjechaliśmy jak turyści, z walizkami -
 zostaliśmy dłużej.

Nie należeliśmy do tej ziemi,
 ale wspaniałomyślnie przyjęła nas -
 przyjęła was oboje.

Wigilijny wieczór, w który kradliśmy cebule

Wtedy, w 1945, miałem cztery lata. Wojnę i okrucieństwa okupacji mieliśmy już za sobą. Jesienią musieliśmy opuścić Górny Śląsk, jadąc na dachu pociągu i zatrzymując się na krótko u znajomych w Poczdamie. Stamtąd, zgodnie z zarządzeniem władz, udaliśmy się do małej wioski Uckermark. To, co się wówczas wydarzyło, pamiętam jak przez mgłę. Wiele opowiadała mi później mama.

111

Przydzielono nam pokój w byłym domu dla służby w pobliżu pewnego gospodarstwa. Nam, czyli mojej mamie, cioci i jej ośmioletniemu synowi. Najpierw wchodziło się do ciemnego korytarza, w którym czuć było zapach stęchlizny. Na prawo mieszkała rodzina Kapitzke – małżeństwo z trójką dzieci w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Przypominam sobie dokładnie, że często panował u nich rozgardiasz. Pan Kapitzke był cholerykiem, cierpiał z powodu postrzału w głowę, krzyczał przy każdej okazji i bił nie tylko dzieci, lecz także żonę.

Na lewo mieszkaliśmy my, a obok nas, oddzielona jedynie zamkniętymi drzwiami, pani Reuchel, której mąż poległ na froncie. Jej córka była wątła, chorowita i często płakała.

Nasz pokój był wilgotny i nieduży. Stały w nim: stół, krzesła, łóżka, szafka na ubrania i kuchenna oraz piec. Ściany były poplamione, a podłoga spróchniała. Obok okna, z którego wiało, zwisały druty miedziane z oberwanej instalacji elektrycznej. Ponieważ kabel ciągle jeszcze był pod napięciem, kategorycznie zakazano mi i mojemu kuzynowi dotykać go.

Żywność można było nabyć tylko za talony. Lecz te odcinki na nic się nie przydawały. Jedyne sklepy w wiosce należały do pani Zernick, wdowy wojennej, którą, jak szeptało między sobą, zgwałcono podczas wkroczenia Armii Czerwonej. Naturalnie, nie wiedziałem wówczas, co to znaczy „zgwałcona”. Po zachowaniu i słowach dorosłych wywnioskowałem, że musiało to być z jednej strony coś złego, a z drugiej – coś podejrzanego, może nawet nieprzyzwoitego. W każdym razie, kiedy była o tym mowa, wszyscy zachowywali się bardzo dziwnie. Widocznie sami nie wiedzieli do końca, co o tym myśleć.

Pani Zernick była twardą, zaciętą i nieprzyjemną kobietą, która swoje urazy skrywała pod osłoną szorstkości. Nie lubiła mojej mamy i cioci. Prawdopodobnie zazdrościła im kilku ocalałych, modnych części garderoby, być może także szansy na rozpoczęcie lepszego życia. Doszło do tego, że miejscowi uważali uchodźców za zakłócających spokój pasażerów i włóczęgów. Zgadza się, przegraliśmy wojnę, mówili, ale czy powinno się z tego, co nam jeszcze zostało, oddawać coś obcym? – Nawet gdybym miała masło – powiedziała pani Zernick wrogo do mojej mamy – nigdy nie sprzedałabym go pani.

Zdaniem ludzi z wioski uchodźcy powinni wracać tam, skąd przybyli. Moja mama pożaliła się gospodyni, do której należał dom dla służby, na biedę i wzbudziła w niej współczucie. W każdym razie gospodyni zaproponowała jej: – Niech pani przyjdzie jutro po trochę mleka dla dzieci.

Nazajutrz, kiedy moja mama wróciła, płakała ze wstydu i rozczarowania. Wzięła mianowicie garnek ze sobą, jedyne naczynie, które posiadaliśmy. – Większego garnka nie mogliście już znaleźć? – oburzyła się gospodyni i łaskawie dała odrobinę chudego mleka, które ledwie co zakryło dno garnka.

Nim się spostrzeżliśmy, nadszedł 24 grudnia. Marzliśmy i głodowaliśmy. Moja mama i ciocia łaowały sobie głowę, jak temu zaradzić. Kiedy pewnego dnia szliśmy szosą do Prenzlau, kobiety odkryły pole z niezbranymi cebulami. – Lepsze to niż nic – powiedziała moja mama.

Poszliśmy więc kraść cebulę. Ziemia była zamrznięta, szczypiorek opadał, udało nam się jednak wydobyć kilka cebul, a także kilka ziemniaków. Kobiety ugotowały prawdziwie treściwą zupę, którą zjedliśmy na obiad.

Odpadki, czyli łupki z cebuli, wyrzuciliśmy na gnojowisko, które znajdowało się na ukos od naszych drzwi. Gospodarz, do którego należało cebulowe pole, doniósł na policję. Na szczęście zdążyliśmy zmyć talerze przed wizytą policjanta wiejskiego. Ale u rodziny Kapitzke znalazł całą torbę cebul. Nie pomogły pomstowania i przekleństwa pana Kapitzke. Złodziejski łup został zabezpieczony, spisano protokół, a także skargę z powodu obrazy urzędnika, której skutkiem miała być rozprawa sądowa.

Na początku moja mama bardzo się oburzyła. Jednak potem jej oburzenie zmieniło się w złość. „Co za wstyd”, pomyślała. „Cebule gniją na polu, a my musimy głodować”. Należy jeszcze dodać swoistą dumę, która wyraziła się w słowach: – Ci faceci – miała na myśli policjanta i gospodarza – przez cały czas uchylali się od obowiązku, siedząc w domu, podczas gdy nasi mężowie musieli nadstawiać karku na froncie.

Gdy policjant odszedł, moja mama i ciocia, nie namyślając się długo, poszły do lasu. Zmierzchało już, kiedy wróciły z choinką, chrustem i drewnem. Napaliliśmy w piecu i ubraliśmy choinkę. Ze srebrnego papieru z pudełka papierosów zrobiliśmy lametę, a z waty – włosy anielskie. Moja mama upiekła nawet na blaszce ciasteczka z mąki kukurydzianej, grysiku i odrobiny cukru. Kilka najładniejszych powiesiliśmy na choince.

Podczas gdy kobiety były zajęte, mój kuzyn i ja bawiliśmy się w elektryków. Udało mu się namówić mnie do dotknięcia wiszącego na ścianie kabla elektrycznego. Prąd poraził mnie tak mocno, że prawie zemdlałem. Pamiętam to wydarzenie jak dzisiaj. Wszyscy trozyczli się o mnie, dopóki nie poczułem się lepiej.

W końcu mogliśmy rozpocząć wieczerzę wigilijną. Przy świetle świec piliśmy gorącą wodę o ledwo wyczuwalnym smaku herbaty i cukru. Do tego jedliśmy twarde ciasteczka, które smakowały po prostu wybornie i zastąpiły każdy wyszukany smakołyk.

Później przyszedł do nas parobek, który mieszkał w pokoju na poddaszu. Był już stary i kulał, ponieważ kiedyś odmroził sobie w Rosji palce u stóp. Mimo to było widać, że interesuje się moją ciotką. Przyniósł ze sobą piątkę chleba i smalec ze skwarkami jako prezent. Śpiewaliśmy *O du fröhliche* i *Cicha Noc*, *Święta Noc*, i objadaliśmy się. Mama opowiadała o moim tacie, który leżał ciężko ranny w szpitalu wojskowym na Zachodzie. Tam właśnie chcieliśmy się udać za parę dni. Kobiety płakały i modliły się, abyśmy cało i zdrowo dotarli na Zachód. Ich modlitwy zostały wysłuchane. ■



Pierwodruk:
*Gleiwitz heißt heute
Gliwice. Gliwice
zwano kiedyś Gleiwitz.*
Mediamorphosis Wrocław,
wyd. II, 2004

Śląski los

dla J.K.

Rok po zakończeniu wojny urodzony na Górnym Śląsku,
który nazywano niegdyś Oberschlesien:

J. jest Polakiem, jest Ślązakiem,
mówi po polsku, mówi po niemiecku,
ma żonę Polkę i ciotkę Żydówkę
w Izraelu, jedyna krewna żydowska,
jaka przeżyła, oprócz ojca: polski Żyd
z Krakowa, cztery lata obozu w Dachau,
pierwsza żona i syn
zamordowani w obozie Bełżec.

Ojciec nienawidził Niemców (nie wszystkich),
po wojnie poślubił Niemkę,
matkę J., na Górnym Śląsku, dawniej Oberschlesien.
Ojciec uczył go polskiego,
matka uczyła go niemieckiego,
jeden wujek był niemieckim żołnierzem,
drugi był w polskiej Armii Krajowej,
obaj mieszkają w Niemczech.

J. jest agnostykiem.
W domu rozmawiano o szkole, jedzeniu,
o pogodzie, o sąsiadach,
o Polsce, o Niemczech...
Rozmawiali o wierze i religii.
Rozmawiali o wojnie i pacyfizmie.
Rozmawiali o tolerancji i humanizmie.
Nigdy nie rozmawiali o obozach koncentracyjnych.

Przekład: **Edward Białek**

(Pierwodruk: Wolfgang Bittner, *Überschreiten die Grenze. Gedichte und ein Reise-Essay. Granicę przekroczyć. Wiersze i eseje z podróży*.
Red. Anna i Tomasz Soróbką, Edward Białek. Mediamorphosis
_ Athena-Verlag, Wrocław _ Oberhausen 2004, s. 150)

Wolfgang Bittner

– pochodzący z Gliwic niemiecki poeta i prozaik,
autor książek dla młodzieży



ZBIGNIEW KADŁUBEK

SŁOWA I KRAJOBRAZY

Pojedynczość diaspory diaspory

Odwirowani z domowego, wypchnięci za drzwi
ojczyzny, przepłoszeni. Wykorzenieni ze swej
sadyby ludzie diaspory.

114

Przez przypadek, przez historię, przez formułkę modlitewną, przez pomyłkę, przez dwóch, trzech dyktatorów, przez chleb, którego zabrakło, przez gęsty totalitaryzm albo wyjątkowo rzadki kolor oczu, przez uczynnych sąsiadów, miłych ludzi, którzy zaczęli nagle mówić innym językiem, choć wcześniej mówili tak samo jak oni.

Wrzuceni w podwójną obcość, a więc w sam środek metafizyki. Bo muszą – nie mają wszak teraz innego wyjścia – wyrwać się stale swej kondycji biologicznej. Biologia przestała cokolwiek znaczyć. Ach, biologia, biologa została w ich domach, hen daleko w ojczyźnie, za górami, za lasami, w rodzinnych stronach, ukochanych pejzażach. Tam jest ich krew. Tam prochy dziadów. Tam jest biologia najczystsza, tam jest przyroda, tam świat, z którym więc potrafią odczuwać radośnie każdą porą skóry w każdej porze roku. Ale tu? Tu na obcej ziemi? Tutaj ludzie funkcjonują, przeczolgują się, pracują, dobrze przędą, balansują, płacą podatki, chodzą do szkoły, ale nie żyją. Nie żyją, bo mają do dyspozycji wyłącznie metafizykę. Wpatrzeni w zaświaty utraconego raju. Pielęgnują intymność swoich wspomnień. Hołubią drobiny egzystencji, z której ich wyproszono, wygnano, wysiedlono, wypędzono. Unoszą się na tych wspomnieniach nad obczyzną, przyjemną w pewnym sensie obczyzną, i lecą niczym wędrowne ptaki do swoich macierzy.

Ale teraz są tu nowi. Dopiero tu przybyli. Wsłuchują się z napięciem i strachem w szmer deszczu na dachu domu, którego jeszcze nie znają, w którym są, ale w którym trudno im zamieszkać. Każdy pokój jest czarnym lochem. Odblask ogniska domowego gaśnie w ich wspomnieniach. Tutejsze ognisko jeszcze nie może ich ogrzać. Nikt już domu, tu na obczyźnie, nie pamięta inaczej, jak tylko ze słów i opowieści; zapachów potraw, zapachy zaś też coś opowiadają o tym dawnym żywocie uważanym kiedyś za tak oczywisty...

Nomadyzmu nie wyssali z mlekiem matki ci osiadli z całego serca ludzi. Ani tułaczki. Dlatego przede wszystkim żywią żal do geografii. Przede wszystkim wiodą spór z geografią. Dlaczego je-

steśmy tu? Dlaczego nie jesteście tam? Dlaczego ktoś nas narysował na mapie w innym miejscu, niż w tym właściwym, z którego jesteście? Gafa kartografa! Dlaczego na mapie wszystko jest tak żałośnie łatwe? Dlaczego rzeki to tylko nitki? Jesteście głęboko o tym przeświadczeni, mamy na to dowody – mówią sami do siebie – że każde wygnanie i w jego następstwie życie na obczyźnie wchodzi w jakiś niezrozumiały dla nikogo układ z geografją. Wygnania to są konszachty dyktatur z geografami. Przestępstwa polityków bawiących się globusami. Diaspora jest następstwem przemieszczenia i przesunięcia. Nie tylko na mapie. Przesuwa się od razu także coś w sercu. W słowach przemieszcza się sens. O, mapy! One dużo mówią o nieszczęściu opuszczania ukochanych miejsc. Na przykład ktoś taki, jak Horst Bienek pisze: „Dziadek, gdy go odwiedzaliśmy w jego domu przy ulicy Rudzkiej, z lękiem przyglądał się mapie...”.

Sprawa niemożliwości życia u siebie, surowy zakaz zbliżania się do własnego domu, sprawa diaspor, błąkania się wśród innych, objiania się o cudzoziemców jest poważna. Jednak w tej chwili uświadamiam sobie, że stan diaspor, jeśli można się tak wyrazić, nie jest całkowicie związany z mapą, geografją, wykluczeniem z tego, co ojczyzniane. Oczywiście, stan diaspor dotyczy przede wszystkim jakichś wspólnot, społeczności, grup, narodów, plemion, które się rozpadają, które rozchodzą się, odchodzą od tego, co domowe i przychodzą do obcości, w której zaczynają żyć, izolując się bardziej lub mniej, by niczego nie uронić ze starej ojczyzny. Irracjonalny wiek XX przysporzył diaspor. Ale stan diaspor dotyczy także pojedynczego człowieka. I on musi w jakimś sensie żyć w taki sposób, jak gdyby żył w diasporze.

Dusza jest obca na ziemi. Człowiek w ogóle to *perpetuus viator*, przechodzień, gość na czas niedługi na jakimś skrawku ziemi. Świat, ten świat, Rybnik, Górny Śląsk, Europa, takie, jakie są, nie są moim światem. Odczuwam silną obcość świata nawet wtedy, gdy jest to tak zwany mój świat, gdy znam okolicę od dzieciństwa, gdy wiem, jakie drzewa rosną w lesie w Jaśkowicach.

Nie mieszcę się w żadnym MY w stu procentach. Gustaw Herling-Grudziński w *Najkrótszym przewodniku po samym sobie* napisał: „Świat, w którym żyjemy, jest trudny i kolczasty, i musimy od niego dość często uciekać. Niektórzy w sztukę, inni w religię, a inni w jedno i w drugie”. Uciekam od świata i jego urządzeń. Sam dla siebie staję się diasporą. Nie idzie bynajmniej o ucieczkę w religię albo w literaturę, jak sprawę diagnozuje Herling-Grudziński. To by było zbyt proste. Sam sobie jestem rozproszonym, odejściem w miejsce dalekie. Sam dla siebie jestem uwięzieniem.

Sądziłem dawniej, że diasporyczna skłonność mojego umysłu jest czymś szczególnym. Ale to nieprawda. Wielu ludzi nosi w sobie diasporyczną tęsknotę. Nie spełnię siebie, jeśli będę tylko sobą. Muszę być przeto kimś innym, jeśli zależy mi na stworzeniu czegoś większego ode mnie ze mnie. Moja identyfikacja z miejscem – Śląskiem, Lizboną, Polską, Sycylią – nie powinna być totalna, moja tożsamość koniecznie potrzebuje wymykania się sobie. Bez rozrzużenia i rozgonienia tego, co mi znane, w ogóle nie mam szans zagościć w Domu. Muszę pozostać postronny – w pojedynności diaspor. ■



KRZYSZTOF KARWAT

BLISKO STĄD

Nasi solenizanci

Pierwszy skończył dziewięćdziesiąty rok życia, drugi – osiemdziesiąty, a ten najmłodszy miałby sześćdziesiąt pięć lat. Florian Śmieja, Piotr Lachmann, Stanisław Bieniasz... Coś ich łączy poza pisarską profesją i śląskimi korzeniami, rozszczepionymi między Gliwicami a Zabrzem?

116

Może teatr? Wszak profesor Śmieja, jako wybitny hispanista, tłumaczył m.in. Garcję Lorkę a wiele prac naukowych poświęcił adaptacjom, przekładom i recepcji nie tylko Calderóna de la Barca, Lachmann stworzył pionierski videotetr „Poza”, a Bieniasz pozostał w pamięci przede wszystkim jako dramaturg, który zdołał uchwycić powojenny „śląski los”.

Więc teatr? Ach, nie. Zostawmy go na boku, bo przecież nie o nim powinienem dziś pisać, skoro – pokłonimy się Szekspirowi – to „teatr życia”, w którego wir tych trzech Ślązaków wpadło, nigdy nie przestał działać na mą wyobraźnię. Widziałbym bowiem w ich biografiach – tak różnych, co nie tylko z metryki urodzenia wynika – rodzaj metafory, a zarazem lustro, w którym kolejne pokolenia mych ziomków mogłyby się przejrzeć.

Ziomków? To chyba nie to słowo. Przecież ja nie mam i nigdy nie miałem „swoich ziomków”. Bo kim by oni mieli być? Polakami? Polakami i Ślązakami jednocześnie? Niemcami? Niemcami i Ślązakami jednocześnie? A może tylko Ślązakami? – słyszę, jak ktoś mi dobiegł podpowiada? Nie wiem... Z tej trójki każdy jest inny. To, co nazywamy tożsamością (narodową, regionalną), rozrastało się w nich odmiennie. Tylko los równie bezwzględnie igrał ich życiem, wyprowadzając poza miejsce urodzenia i wychowania na takie zakręty, z jakich – zdawałoby się – nie sposób wyjść na prostą, czyli powrócić na „ojczyzny łono”.

Wszystkie próby segregowania i definiowania podobnych życiorysów, niby tak precyzyjnie ujmowane przez socjologów czy politologów, nie wyczerpują tego, co działo się ze Śmieją, Lachmannem i Bieniaszem. I co musiało dziać się w nich! Co – na przykład – mógł czuć 15-letni Florian, gdy jako polskiego gimnazjalistę mundurowi, ozdobieni w hitlerowskie swastyki, zwiłali go z tarnogórskiej ulicy, by za chwilę powieźć na roboty przymusowe, uczynić z niego po paru latach zbiega i wygnańca, ostatecznie zaś – żołnierza polskiego na Zachodzie.

dzie, który potem jednak do Polski Ludowej, jak tylu innych, już nie powróci. A Śmieja zdołał zachować na obczyźnie – w Anglii i do dziś w Kanadzie – nie tylko krystaliczną polskość i śląskość, ale również stały kontakt z krajem i regionem. Interesuje się wszystkim, co dzieje się w jego małej ojczyźnie. I w ogóle nie stracił orientacji w tym, co tutaj ważne, niosące nadzieję. I nie gubi również z pola widzenia tego, co jałowe i może dla nas być groźne. Słowem – trzyma rękę na pulsie. Można odnieść wrażenie, że Śmieja nigdy Śląska nie opuścił.

Dowody znajdziemy w jego wierszach i tekstach krytycznych czy publicystyczno-literackich, zwłaszcza tych wychodzących poza pole jego naukowych i uniwersyteckich zobowiązań. To imponujące i – przynajmniej dla mnie – dość tajemnicze, bo ów mechanizm, który nie pozwala mu pozostać obojętnym na to, co dzieje się z Polską i Śląskiem, tkwi w niepojętym związku uczuciowym, emocjonalnym z krajem, który przecież zniknął z jego codziennego życia 75 lat temu. Jak można było go przez tyle lat utrzymać?!

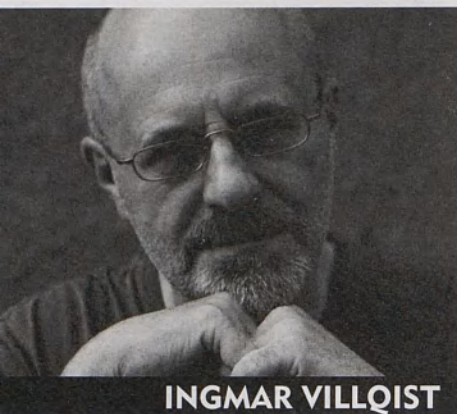
Peter Lachmann urodził się w niemieckiej rodzinie, w niemieckim Gleiwitz. W czasie wojny stracił ojca, a w roku 1945 – przechrzczony na Piotra – pozostał na Górnym Śląsku. Tutaj studiował i tutaj związał się ze studenckim ruchem artystyczno-teatralnym, zaś jego mentorem stał się mieszkający wówczas w Gliwicach Tadeusz Różewicz. Rychło jednak Lachmann wyemigrował do Niemiec, stając się tłumaczem i popularyzatorem polskiej literatury współczesnej. Bodaj po dwudziestu latach jednak powrócił do Polski. Ale już nie na Śląsk, a do Warszawy.

Nadal w jego wierszach i esejach pobrzmiewają śląskie tematy. Bo Lachmann stanął jako człowiek i jako artysta w swoistym rozkroku – między Niemcami a Polską. Co w jego życiu było przypadkiem naznaczonym przekleństwem historii, co splotem dramatycznych okoliczności, a co świadomym wyborem? Ktoś zna odpowiedź?

Stanisława Bieniasza z tej trójki znałem najlepiej. Żył krótko, ledwie pięćdziesiąt lat. Zdażył napisać kilka ważnych sztuk teatralnych, parę przełomowych dla rozumienia kulturowej pograniczności dzisiejszego Górnego Śląska esejów i kilka książek prozatorskich, w tym wartościową powieść *Niedaleko Königsallee*. Właściwie nigdy nie uzyskałem od niego satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie zdecydował się w roku 1981 na wyjazd do Niemiec. Bo komuna była paskudna, choć przecież taka była i nie tylko jemu się nie podobała? A w jego intencji – warto o tym pamiętać – miał to być wyjazd „na zawsze”. Przecież jako ledwie trzydziestolatek już nie był wtedy debutantem, osiągnął nawet pewne sukcesy literackie i przede wszystkim oczekiwał na premierę swego *Starego portfela*, który z taką pasją zrealizował w Teatrze Telewizji Kazimierz Kutz (na emisję tego spektaklu trzeba było poczekać parę lat, do czasu obrad Okrągłego Stołu).

Co takiego się stało, że Bieniasz nie znalazł jednak dla siebie miejsca w Niemczech, choć szybko opanował język i bynajmniej biedy klepać tam nie musiał? Dlaczego nie zmieścił się w środowiskach śląskoziomkowskich? Z powodów ideowych? Politycznych? „Polskich”? I dlaczego – to pytanie najważniejsze – po kilkunastu latach powrócił z rodziną do Zabrza, by poniekąd od nowa rozpocząć tu życie?

Trzy różne biografie. Typowe dla Górnego Śląska i nietypowe jednocześnie. Nie każdy jest bowiem pisarzem, więc nie każdego stać, by na obczyźnie dostąpić – jak oni – „emigranckiej ekspiacji”. Z ich doświadczeniami nam tutaj łatwiej żyć. ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

Tylko jedno słowo

Dziś rzadko już o nich myślę, czasem coś samo się przypomni; potrzeba silnego bodźca, żeby ich wspominać; żyją gdzieś tam, starzeją się jak ja, ale są bardzo daleko.

Znikali niepostrzeżenie; zaraz po maturze; w ciągu roku, dwóch, później, różnie; byli, a potem się rozplywali. Nie, dzięki Bogu, nic nie stało się złego; po prostu wyjechali do Niemiec. Czy mieli wpływ na tę decyzję, zapewne nie; byli zbyt młodzi, decydowali rodzice, a jakie oni mieli powody; narodowościowe – pochodne historycznych traum, ekonomiczne, kulturowe; nigdy się tego nie dowiemy; trzeba każdego z nich zapytać z osobna. Pewnie i o to, czy trwając tam od dziesięcioleci wypełnili podręcznikowe definicje diaspory; czy mają poczucie śląskiej lub polskiej tożsamości, odrębności, wspólnego losu, są solidarni z innymi członkami wspólnoty, czy nie, a jak z religią? Zostali przyjęci, wchłonięci w nowy świat; czy zaznali odrzucenia, wyparcia, może stali się przeźroczyści, lub ich odmienność wzbogaciła kolorowy kulturowo pejzaż nowej ojczyzny?

Odpowiedzi na te i inne pytania zapisano już w uczonych sprawozdaniach. Cóż mi jednak z tego poza poczuciem wyparowywania tych postaci z pamięci; postaci, które były wtedy dla mojego przepoczwarzania się z chłystka w istotę coraz bardziej świadomą tego, że jest – najważniejsze. Patrzę na starą czarno-białą fotografię; moja licealna klasa we wnętrzu turystycznego „Jelcza”; gdzieś jedziemy albo skądś wracamy; rok 1978 albo 1979; poroziadani na fotelach, na podłodze; kilku stoi, ktoś gra na gitarze; inny kryje butelkę wina pod sztruksową kataną (ale tak, żeby było widać na zdjęciu, że ją tam ma), przytulone pary, samotnicy z nosami przy szybach; kilkadziesiąt skrywanych marzeń i różnych celów w przyszłym życiu; pędzący przez świat autobus pełen młodych, bardzo osobnych, ale tak spójnych z sobą światów; diaspora bezwzględnej wiary, nadziei w przyszłość i wszyscy patrzą w obiektyw. Gdyby dziś, jakimś cudem, zebrać bohaterów tej szkolnej fotografii, posadzić na tych samych miejscach w muzealnym „Jelczu” i powtórzyć zdjęcie, okazałoby się, że ponad połowy już nie ma, to znaczy są, ale od dekad gdzie indziej; zniknęli.

Ile takich szkolnych autobusów wypełnionych nierychłymi maturzystami wyparowało ze Śląska w latach 80.; ktoś policzył ten długi sznur rozśpiewanych autokarów mknących ku zachodniej granicy? Ilu takich obecnych-nieobecnych na szkolnych zjazdach, mimo usprawiedliwień podpisanych przez historię, życie, rodziców? Cóż mnie obchodzi, czy stworzyli tam gdzieś daleko taką czy inną diasporę. Nic. Na bankiecie po jednej z moich premier w Niemczech podeszli do mnie; On i Ona; przedstawili się; przypomnieli, że znaliśmy się dobrze z chorzowskich, szkolnych czasów; nie poznałem od razu, bo bardzo się zmienili; mówili świetnie po niemiecku i tak też wyglądali. Zaprosili mnie następnego dnia do siebie, do domu; na kolację. W hotelu; wyczytałem z ich wizytówek, że pełnią w tym mieście bardzo ważne funkcje. Ich dom, w drogiej dzielnicy na obrzeżach miasta, zaprojektował znany architekt; byłem przekonany, że powspominamy tylko we trójkę stare dzieje; jednak kolację, w ich pięknym ogrodzie, wydali dla kilkunastu gości; z których wielu było wczoraj na popremierowym bankiecie; On i Ona ucieszyli się, gdy przyjechałem; przedstawili przyjaciółom i zostawili samego; sączyła się skądś muzyka, powoli zapadał zmierzch; było bardzo miło; usiadłem przy basenie, paliłem, przyglądałem się gościom i dwóch bliźniaczkom, srebrnym limuzynom drzemącym w wybrukowanej zatoczce przy ogrodzeniu. Kiedy goście już się żegnali i podjeżdżały taksówki, On i Ona zaprosili mnie jeszcze do domu; posiedzieliśmy chwilę w salonie przy rozsuniętych drzwiach do ogrodu; żartowaliśmy; mówili świetnie po niemiecku; zadzwonili po taksówkę dla mnie; wyszliśmy do hallu; staliśmy w otwartych drzwiach; cieszyłem się, że to jest ICH wieczór, może byłem im w tym poczuciu do czegoś potrzebny, a może nawet niezbędny; do potwierdzenia, „usprawiedliwienia”, do czegokolwiek.

Moja taksówka podjechała pod bramę; już żegnaliśmy się i wtedy, nie pamiętam kto; może Ona, ja albo On; powiedział jakieś słowo *po naszymu*; do musiał być odruch, bo roześmialiśmy się prawie równocześnie; więc padło jeszcze jedno słowo, potem drugie, trzecie; pół zdania, dwa i pytania; jedno po drugim, coraz szybciej i szybciej; „A co, kto, a pamiętasz, a co z tym, tamtym; co oni, tamci i jeszcze inni”; zalewając, dławiąc mnie tą swoją ciekawością stali tuż przy mnie; podchodzili, odstępowali, skubali za rękaw marynarki, parskali śmiechem; zmienili formę, choreografię, modulację głosów; coś im odpowiadałem, wyglądałem się i wtedy, nagle, w jednej chwili, coś zaczarowało ten korytarz; znad wschodniej granicy nadleciał, zwabiony naszymi serdecznymi śmiechami, ciepły, dobry wiatr; wpadł do tego korytarza i wdmuchnął weń nasz wspólny, odległy, przeszły śląski czas; wypełnił nas i to miejsce bez reszty; rozgonił wszystko, co było pomiędzy; bo to okazywało się zbędnym dodatkiem do tych pytań, *wiców*, śmiechów, rozszerzonych źrenic, dreptania wokół siebie. Bardzo wtedy byliśmy blisko z sobą; razem; jak wtedy. Ile ta nasza wzbudzona z nagła i niespodziewanie wspólnota w korytarzu mogła trwać? Minutę? Na pewno nie dłużej. Zapiszczał mój telefon: „Taksówka czeka”. Pojechałem na lotnisko; uciekłem, zostawiłem ich samych rozgrzanych niespodziewanym śmiechem, biorących głębokie wdechy, zdezorientowanych; przestępujących z nogi na nogę, chcących zatrzymać mnie do jutra, przez tydzień; jak tylko będę.

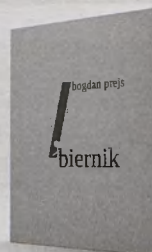
Uciekłem; ale zdążyłem jeszcze wyrwać spomiędzy nich, stojących w progu, zabrać z sobą do taksówki ten wyczarowany znienacka, wypożyczony na krótko zamierzchły czas; bo mnie on jest teraz bardziej niż im potrzebny. Ale zawsze mogę się nim podzielić – jakby co. ■



Zbigniew Kadłubek

**Fado. Piosenka
o duszy**

Księgarnia św. Jacka Katowice
2015, s. 118



Bogdan Prejs

Biernik

Instytut Mikołowski, Mikołów
2015, s. 47



Henryk Waniek

**Jak Johannes Kepler,
jadąc do Żagania
na Śląsku, zahaczył
o Księżyc**

Silesia Progress, Kotórz Mały 2015,
s. 239



**„Zaranie Śląskie”.
Seria I. Nr 1/2015**

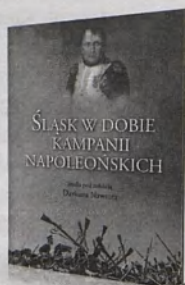
Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”,
Katowice, s. 103



Jolanta Król

**Dobrym aktorem można
być wszędzie, czyli
subiektywny portret
Jacentego Jędrusika**

Stowarzyszenie Miłośników Chorzowa
im. J. Ligonii, Chorzów 2015, s. 204



Seria pod red.
Dariusza Nawrota

**Śląsk w dobie kampanii
napoleońskich**

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”,
Katowice, s. 103



Krystian Gałuszka

Modre ajnfarty

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”,
Katowice 2015, s. 53



Robert Ciupa, Lucja Marek

**Górnośląski azyl.
Pielgrzymki stanowe
do Piekar Śląskich
w materiałach Służby
Bezpieczeństwa**

Instytut Pamięci Narodowej Oddział
w Katowicach, Katowice 2015, s. 79



Krystian Gałuszka

Trakt@biblioteki

Biblioteka Śląska, Katowice
2015, s. 39



Pod red. Moniki i Sebastiana
Rosenbaumów

**Górny Śląsk i Wielka
Wojna. Fotografie
Antona Kubika**

Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej,
Opole-Gliwice-Tarnowskie Góry, s. 231

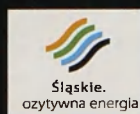
I OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ PIOSENKI AUTORSKIEJ



OTPA

4-5.12.2015

ORGANIZATOR:



PARTNERZY:

UNIwersytet Śląski
w Katowicach



SAUNA SOUND STUDIO

PATRONI MEDIALNI:

